

Pataricia  
Rice

Klejnot

## *Rozdział pierwszy*

Myślałeś kiedy o ożenku, Reginaldzie? - spytał młody mężczyzna, który rozsiadł się wygodnie w gospodzie „Pod kogutem i wroną” przy trakcie londyńskim.

- Dlaczego miałbym o tym myśleć? - Jego towarzysz był bardzo zaskoczony, jakby zapytano go właśnie, czy turecki cesarz nosi gorset. Odstawił kubek i z niepokojem spojrzął na przyjaciela. - Matka znowu nie daje ci spokoju?

Młodzieniec uchylił się od odpowiedzi.

- No wiesz, mężczyzna powinien się kiedyś ożenić.

Reginald parsknął pogardliwie. Niektórzy ludzie parskając upodabniają się do zwierząt, ale Reginald z pewnością do takich osób nie należał. Odziany w kosztowne irchowe spodnie, dwurzędowy surdut do konnej jazdy i jedwabny szal wyglądał co najwyżej wyniośle, gdy wydawał z siebie ten nieelegancki dźwięk. Jego ciemne włosy były co prawda okropnie rozczochrane, ale i ten drobny mankament należało przypisać porywistemu wiatrowi, przed którym schronił się właśnie do gospody.

Młody elegant założył nogę na nogę i przyjrzał się pozostałym gościom zajazdu. Zarówno jego poza, jak i lekceważący ton głosu, świadczyły o tym, że nie spodziewa się jakiegokolwiek rozsądnej odpowiedzi na swe wyzwanie.

- Podaj mi choć jeden dobry powód, dla którego miałbym się ożenić.

Jego towarzysz kręcił się nerwowo i bezustannie skubał nakrochmalony kołnierz. Krochmal, będący według arbitra męskiej mody, Brumella, nieodzownym atrybutem dżentelmena, zostawiał czerwone pręgi na szyi Darleya, który z zawiścią patrzył na lekko pomięty, ale śnieżnobiały szal Reginalda. Reginald powiedział kiedyś Brumellowi, że wolałby raczej nosić konopny wór niż nakrochmalone ubrania, lecz to tylko przysporzyło mu sławy niezwykłego eleganta. Darley był pewien, że gdyby to on powiedział coś takiego, zostałby na zawsze wykluczony z towarzystwa.

- No... mężczyzna powinien się ożenić, żeby mieć dzieci. Reginald spojrzał nań z pobłażaniem.

- A niby po co? Gdybym chciał założyć ochronkę, Madelyn zrobiłaby to znacznie lepiej ode mnie i to za niewielkie pieniądze. Poza tym ja nie potrzebuję dziedzica - to obowiązek Charlesa.

Darley z posępną miną pochylił się nad swym piwem.

- Żona zajmowałaby się domem, sprzątaniami, pilnowałaby kucharek i w ogóle...

Reginald bawił się coraz lepiej.

- Sprzątaniami zajmują się służące, a jeśli chodzi o utrzymanie dyscypliny, to nikt nie robi tego lepiej niż Jasper.

Młodszy z dwójki mężczyzn poluzował nieco apaszkę

i ostrożnie pokręcił głową, starając się nie ocierać o sztywny kołnierz.

- No to zostaje jeszcze zabawa. Mężczyzna powinien mieć u boku żonę, kiedy zajmuje się zabawianiem innych. Dobra gospodyni może być bardzo przydatna.

Reginald zamówił kolejny kufel piwa. Kelnerka przyglądała im się z zainteresowaniem od momentu, gdy tylko weszli do gospody, więc obsłużyła ich teraz błyskawicznie. Gdy oddaliła się już od stolika, rzucając na pożegnanie figlarny uśmiezek, Reginald powrócił do absurdalnego pomysłu przyjaciela.

- Dlaczego miałbym przyjmować gości w domu? Nie ma tam nic interesującego, nie ma też z kim pogadać. Mężczyźnie do szczęścia wystarczy dobry klub, dobre wino i kompania dobrych przyjaciół. Na pewno będzie się wtedy bawił lepiej niż w towarzystwie kobiet, gdzie musiałby wysłuchiwać tych głupiutkich rozmówek i szczerzyć zęby w sztucznych uśmiechach.

Darley poddał się ostatecznie.

- No tak, i ty oczywiście zawsze masz Madelyn, kiedy chcesz się przespać z jakąś kobietą. Chciałbym być w twojej sytuacji.

Reginald przesłał mu spojrzenie pełne współczucia.

- Życie jedynaka rzeczywiście bywa niewesołe, ale nie jesteś jeszcze hrabią. Powiedz swojej mamie, że szukasz idealnej hrabianki i że nie będziesz żenił się z byle kim.

Darley wciąż był niepokieszony.

- Łatwo ci mówić, bo sam nie widziałeś swojej matki od lat. Gdyby ta kobieta dręczyła cię dzień i noc tak jak mnie, zmieniłbyś pewnie zdanie. Doszedłem już do wnios-

ku, że gdybym znalazł sobie jakąś łagodną, cichą pannę, byłoby mi z nią o wiele lepiej niż w domu.

- Może i tak, ale wiem z doświadczenia, że nawet najłagodniejsza osoba może zamienić się w potwora, kiedy zwiążesz się z nią na stałe. Na twoim miejscu byłbym ostrożny, bo możesz znaleźć się w jeszcze gorszych opałach niż teraz. - Reginald dopił piwo i sięgnął po kapelusz. - Zdaje się, że słońeczko wyrzało wreszcie zza chmur, więc muszę ruszać. Obiecałem Charlesowi, że wpadnę na urodziny małego dziedzica. Jestem mu tak wdzięczny za to, że zechciał pojawić się na tym świecie, że spełnię każde jego życzenie. Nie daj się spętać jakiejś miłej pannie przed moim powrotem.

Darley westchnął żałośnie i z tęsknotą wpatrywał się w drzwi wyjściowe. Piętro wyżej jego matka i siostra przyozdabiały prywatny salon, a on jedynie przez szczęśliwy przypadek spotkał tutaj przyjazną duszę. Podniósł kubek w pożegnalnym geście i przyglądał się, jak jego przyjaciel znika za drzwiami - wesoły, serdeczny kompan, który nigdy niczym się nie martwił.

Być może Darley byłby równie beztroski i śmiały jak on, gdyby chociaż dorównywał mu wzrostem. Niestety metr i siedemdziesiąt centymetrów czyniły go co najwyżej przeciętnym, a gdyby nie fakt, że jest synem arystokraty, prawdopodobnie większość jego znajomych płci przeciwnej w ogóle by go nie zauważała. Nie był tak dobrze zbudowany jak Reginald - ramiona surduta musiał więc wypchać poduszkami. Jego śniada cera nie odpowiadała gustom większości, długi i cienki nos zaś z pewnością nieraz już został przyrównany do bocianiego dzioba.

Oczywiście Reginald także nie był ideałem męskiej

urody, ale mimo to cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet - pewnie dzięki odpowiedniemu wzrostowi i szerokim ramionom. Kobiety lubią czuć się bezradne i bezpieczne w objęciach potężnych mężczyzn, takich jak Reginald, pomyślał Darley i obrzucił ponurym spojrzeniem swe buty z cholewami. Może dałoby się podwyższyć trochę obcasy.

Szkoda, że nie mamy ze sobą naszych nowych ubrań, Marianno. Widziałas, jak elegancko wyglądała ta pani w powozie? Jakiż miała wspaniałą futrzany kołnierz! A te pióra! Wszystko doskonale ułożone. Myślisz, że osiągnę kiedyś takie szczyty elegancji?

Odkąd w wieku lat czternastu Jessica przestała rosnąć, straciła bezpowrotnie szansę na osiągnięcie jakichkolwiek szczytów, ale Marianna powstrzymała się od wypowiedzenia głośno tej uwagi. Po cichu zaś pogratulowała sobie roztropności i pomyślała, że coraz lepiej wchodzi w swoją nową rolę. Ta dawna Marianna z pewnością powiedziałaaby bez namysłu wszystko, co czuła.

- Szkoda byłoby psuć nową suknię, kiedy i tak nikt nie mógłby nas zobaczyć. Wiesz, że nie mamy pieniędzy na następną, a przecież ty zawsze wylewasz coś na siebie albo ciągniesz brzegi po ziemi. Biedna Lily nie może sobie poradzić z tymi wszystkimi plamami, zwłaszcza na jedwabiu.

Jessica z rezygnacją wyjrzała za okno, gdzie zapadał już zmierzch. Skończyły dzisiaj nieco wcześniej z obawy przed burzowymi chmurami, które pojawiły się na horyzoncie. To zaś oznaczało, że następnego dnia jeszcze nie dotrą do Londynu.

- Mówiłaś, że przyjedziemy wcześniej, żeby mieć więcej czasu na dokonanie wyboru, ale czy naprawdę myślisz, że nam się uda, Marianno? A co zrobimy, jeśli nic z tego nie wyjdzie?

Marianna nie musiała patrzeć do lustra, by zrozumieć, że jej się na pewno nie uda. I nie chodziło tu wcale o ciemne oczy, włosy i cerę - o wiele gorszy był jej cięty języczek i bystry umysł. Mężczyźni niczego nie bali się bardziej niż kobiet, które przerastają ich dowcipem i inteligencją. Jessica nie miała jednak podobnych problemów.

- Na pewno sobie poradzisz, Jessie, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Będziesz wyglądała dokładnie jak te panie w żurnalach mody, wiotka i delikatna, cała w czarujących uśmiechach i tak słodka, jak tylko mężczyzna może sobie wymarzyć. Nie będziesz się mogła opędzić od zalotników. Musisz tylko wybrać jakiegoś bogatego.

Jessica aż klasnęła z podniecenia i ponownie odwróciła się w jej stronę.

- Ale nie jestem taka mądra jak ty, nie mam posagu ani żadnych koneksji rodzinnych.

Rzeczywiście, była to przysłowiowa łyżka dziegciu w beczce miodu, Marianna postanowiła jednak nie mówić o tym głośno.

- Bzdura - protestowała gwałtownie. - Nasza matka miała doskonałe koneksje, inaczej nie wyszłaby za mojego tatę. Jeśli ona mogła znaleźć sobie markiza, to ty z pewnością zasługujesz na hrabiego.

- Tak, ale twój ojciec był młodszym synem hrabiego, a mój zwykłym szlachcicem. Wiesz dobrze, jaka to wielka różnica.

I to bardzo biednym szlachcicem, dodała w myślach

Marianna. Biednym i bez głowy do interesów. Takie złośliwe uwagi nie pasowały do jej nowego stylu zachowania, ale w końcu mogła myśleć, co chciała, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Jej nieodżałowany ojczym był człowiekiem hojnym i niezwykle uprzejmym - Marianna uważała, że właśnie ta uprzejmość mogła zrównoważyć jej charakterek. Biedny James Oglethorp był tak oszołomiony swym niespodziewanym związkiem z wdową po markizie, że oddał jej wszystko, co posiadał. Fakt, że jedynym majątkiem wdowy była tylko drobna suma, z której utrzymywała siebie i córkę, nie stanowił dla niego żadnej przeszkody - do chwili gdy po dwóch kolejnych latach kiepskich zbiorów sam pozostał bez pieniędzy. Marianna była pewna, że jej przybrany ojciec umarł ze złamanym sercem, gdy nie został mu już ani jeden pens, którym mógłby obdarzyć swą ukochaną.

W ten sposób znalazły się nagle w bardzo nieciekawej sytuacji. Matka nie była już ani na tyle młoda, ani bogata, by znaleźć sobie jakiegoś dobrego męża. Wszystko pozostawało więc w rękach Jessie i Marianny, i tylko one mogły uratować rodzinę przed całkowitą nędzą.

Marianna postanowiła stanowczo, że to właśnie ona wszystkim się zajmie. Jessica była zbyt romantyczna i mogła zakochać się w pierwszym lepszym bogaczu, jakiego poznają - Marianna z pewnością nie zrobiłaby takiego głupstwa. Uważnie przysłuchiwała się wszystkim plotkom z Londynu i wiedziała już, na jakich mężczyzn powinna zastawić sidła. Teraz musiała tylko przyjrzeć się bliżej kandydatom i wybrać spośród nich tego jednego, jedyne. Była dość przebiegła, by domyślić się szybko, jakie kobiety podobają się owemu wybranćowi i stać się



taką właśnie, przynajmniej do chwili gdy będzie już po wszystkim. Nieszczęsny, nie zdąży się nawet zastanowić, a już będzie żonaty.

Marianna uważała, że jest to jedyny rozsądny sposób na zdobycie odpowiedniego męża. Inaczej bowiem nieposkromiony język wcześniej czy później zdradziłby jej prawdziwą naturę. Będzie słodka, głupiotka i uległa do chwili, gdy obrączka znajdzie się na jej palcu, a kieszenie męża pod jej kontrolą. Wtedy właśnie zacznie go sobie wychowywać.

Mimo to musiała jakoś pocieszyć Jessikę. Klepiąc siostrę po ramieniu, persadowała jej łagodnie:

- Oglethorpowie zawsze mieli zapewnione miejsce w rządzie, odkąd tylko rząd w ogóle się pojawił. Będziesz wspaniałą żoną polityka, jestem o tym przekonana. Musisz się tylko uważnie rozglądać i znaleźć takiego, który ci się spodoba. Wtedy wystarczy, że się do niego uśmiechniesz, a on sam padnie ci do stóp. W czerwcu obie będziemy już mężatkami, sama zobaczysz. A teraz zostań tu, a ja poszukam Lily i dowiem się, dlaczego nie ma jeszcze kolacji.

Ponieważ pokoje gościnne były bardzo małe, lady Grace i Lily nie mieszkały razem z Jessiką i Marianną, lecz wynajęły osobny apartament. Przypuszczając, że Lily jest już w kuchni, i nie chcąc niepotrzebnie przeszkadzać matce, Marianna ruszyła w dół wąskiego korytarza.

Matka nie czuła się dobrze od czasu, gdy umarł jej drugi mąż. Marianna sądziła, że główną przyczyną owego przygnębienia były ich nie istniejące finanse. Miała też nadzieję, że gdy rodzina znów będzie miała zapewnione dostatnie życie, lady Grace poczuje się lepiej. Na razie jednak nie należało jej niepokoić.

Frontowa sala gospody była o tej porze niemal zupełnie pusta. Większość gości spożywała właśnie kolację w pokoju jadalnym albo w prywatnych apartamentach. Ostatni dyliżans zapewne także już odjechał, więc nie oczekiwano nowych przybyszów. Marianna spojrzała na swą znoszoną suknię podróżną z brązowej wełny i pomyślała, że nikt nie zwróci na nią uwagi, jeśli szybko przemknie do kuchni. Jej ubranie nie różniło się teraz zbyt od ubrań Lily.

Zanim jednak ruszyła z miejsca, ktoś otworzył drzwi wejściowe, wpuszczając do środka porywisty wiatr i krople deszczu.

- Hej, panienko! Nie uciekaj tak szybko. Bądź tak dobra i powiedz mi, czy są tu jakieś wolne pokoje. Wcale nie chce mi się podróżować w taką pogodę.

Marianna otworzyła szeroko oczy i odwróciła się powoli, by zobaczyć, cóż to za bezczelny osioł wydziera się tak głośno. Nieznajomy miał na sobie płaszcz podróżny z peleryną, ale kapelusz musiał zgubić gdzieś po drodze. Jego koszula była lekko pomięta i nie nakrochmalona, buty zaś pokrywała gruba warstwa błota. Młodzieniec był wprost nieprawdopodobnie wysoki, a jego uroda i arogancja znajdowały odbicie w manierach. Z pewnością uważał, że kobiety powinny go traktować jak dar niebios. Marianna widziała już takich hultajów. Uśmiechali się słodko do naiwnych dziewcząt z prowincji, swym nieodpartym urokiem szybko pozbawiali je rozumu i cnoty, a kiedy ich ofiary znalazły się już w błogosławionym stanie, porzucali je lub żyli na ich koszt, dopóki nie pojawiła się następna zdobycz. Marianna nie darzyła mężczyzn szczególną sympatią, takich łotrów zaś po prostu nie cierpiała.

- No to ma pan pecha. Ale proszę spróbować w stajni, może tam się panu spodoba.

Po tych słowach ponownie ruszyła w stronę kuchni, ale wielka dłoń w skórzanej rękawicy chwyciła ją za ramię i przytrzymała w miejscu. Marianna spojrzała na nieznajomego ze zdumieniem i oburzeniem.

- Czym sobie zasłużyłem na tak niemiłe przyjęcie?  
- Młodzieniec zwolnił uścisk i zaczął ściągać przemoczone rękawice.

- Istnieje pan. To wystarczający powód.

Nie mówiąc już nic więcej, dziewczyna obróciła się na pięcie i po raz kolejny podażyła na zaplecze gospody.

- Mam nadzieję, że nie potrzebujesz tej pracy! - wołał za nią nieznajomy. - Bo zamierzam opowiedzieć gospodarzowi o twoim zachowaniu.

Wściekłość zabarwiła policzki Marianny soczystą czerwienią - jak on mógł wziąć ją za zwykłą służącą! Jej suknia nie należała może do najbardziej eleganckich, ale z pewnością nie wyglądała w niej jak służebna dziewczka. Nie namyślając się wiele, jeszcze raz zwróciła się ku nieznajomemu.

- Kiedy pan tu wszedł, nazwałam pana w myślach ryczącym osłem. Muszę sobie pogratulować niezwyklej przenikliwości. Proszę, niech pan porozmawia z gospodarzem. Ja też chętnie z nim pomówię i zaproponuję, żeby umieścić pana w stajni. Właśnie tam zawsze trzymamy zwierzęta.

Reginald uniósł wysoko brwi i nie ochłonał ze zdumienia, dopóki dziewczyna nie zniknęła w drzwiach kuchni. Z pewnością zbyt szybko pospieszył się z jej oceną, ale zemsta młodej kobiety była równie zaskakująca, co gwałtowna i złośliwa.

## *KLEJNOT*

Mimo to Reginald nie mógł powstrzymać uśmiechu. Być może sytuacja ta mniej by go rozbawiła, gdyby nieznajoma była trochę brzydsza. Jednak w tych pięknych ustach, stanowiących część równie pięknej twarzyczki otoczonej burzą wspaniałych ciemnych włosów, nawet tak ostra odprawa nabierała smaku, który on potrafił docenić.

Pewnie służyła u jakiejś ważnej damy. Jeśli tak, to była zapewne równie nieosiągalna jak jej pani.

Zbywając cały incydent wzruszeniem ramion, Reginald uderzył w dzwonek przy drzwiach, by przywołać gospodarza. Rzadko miał okazję wymieniać obelgi i złośliwości z przedstawicielkami płci pięknej. Nie widział też powodu, dla którego miałyby to robić teraz - w przeciwnym wypadku poszedłby za nią do kuchni i przekonał się, czy równie łatwo znosi zniewagi, jak je wyrządza.

## *Rozdział drugi*

Marianna zapięta ciężki, pleciony naszyjnik ze złota i przyjrzała się z uwagą swemu odbiciu, sprawdzając, czy wspaniały osadzony w złocie rubin wygląda dobrze na tle jej śniadej skóry. Odwracając się od lustra pochwyciła spojrzenie Jessiki, która ze smutkiem i zazdrością wpatrywała się w wytworny klejnot. Marianna poprawiła delikatnie drobne perły na szyi swej siostry.

- Wiesz przecież, że chętnie bym ci go podarowała, gdyby to miało jakiś sens. Ale po pierwsze, złoto nie pasuje wcale do twojej cery, a po drugie, masz dopiero siedemnaście lat. Młoda, niezamężna dama nie powinna nosić klejnotów. Ja mam już dwadzieścia dwa lata i na tyle też wyglądam, więc muszę wykorzystać te nieliczne atuty, które mi jeszcze pozostały. - Odwróciła się na moment do lustra i skrzywiła lekko, patrząc na wspaniały klejnot. - Szkoda tylko, że nie mogę go sprzedać. Byłoby nam trochę łatwiej przetrwać ten ciężki okres.

Jessica pokręciła gwałtownie głową, rozrzucając kaskadę złotych loków.

- Nie. Przecież to wszystko, co zostało w spadku po twoim ojcu. Na pewno jest stare i bardzo wartościowe. Nie możemy tego sprzedać. Mama chyba oszalałaby z rozpaczy.

Marianna westchnęła z rezygnacją. Była zbyt wielką realistką, by pozwalać sobie na sentymenty związane z rodzinnymi pamiątkami, wiedziała jednak dobrze, że jej siostra ma rację. Mama rzeczywiście byłaby zrozpaczona, gdyby sprzedały ten naszyjnik, choć według Marianny nie różnił się on niczym od wielu innych świecidełek. Uważała, że mniejszy klejnot byłby równie efektowny jako ozdoba, a część otrzymanych pieniędzy mogłyby wraz z siostrą wydać na jedwabie i muśliny tak potrzebne w polowaniu na męża.

- No cóż, jeszcze nie jesteśmy w najgorszej sytuacji. Suknie uszyte przez Lily będą musiały nam wystarczyć przez jakiś czas. Gdybyśmy tylko były bardziej podobne do siebie, mogłybyśmy się wymieniać ubraniami - westchnęła Marianna ż żalem, wciągając długie rękawiczki.

Jessica spojrzała na swą suknię z białego tiulu i delikatnego jasnoniebieskiego jedwabiu, a potem uśmiechnęła się do Marianny, która odziana była w nieco wyzywającą złotą suknię z bordowymi wykończeniami.

- Nie sądzę. Nawet gdybyś była blondynką, nie założyłabyś tego na siebie.

Tak było w istocie. Jessica często wypowiadała głośno prawdy, o których Marianna wolała nie myśleć. Starsza siostra zmarszczyła brwi i jeszcze raz krytycznie przyjrzała się swemu odbiciu, bawiąc się przy tym wachlarzem, tak jak nauczyła ją matka.

- Nigdy nie będę wystarczająco słodka i głupiutka, żeby spodobać się lordowi Darley. Może powinnam raczej zapolować na pana Henry'ego. Podobno jest dosyć bogaty, a jako że ma już swoje lata, to może nie zależy mu tak bardzo na młodziutkiej żonie.

Jessica ruszyła do drzwi.

- Nie pleć głupstw. Pan Henry ma już dobrze po czterdzieście, a do tego jest zezowaty. Lord Darley to bardzo przystojny, młody mężczyzna, a ty, zdaje się, wpadłaś mu w oko. Żałuję tylko, że nie jestem dość śmiała, żeby ściągać na siebie uwagę mężczyzn, tak jak ty to robisz. Boję się nawet spojrzeć im prosto w oczy.

Marianna mogłaby jej powiedzieć, że kiedy będzie nieco starsza i bardziej pewna siebie, z pewnością doskonale sobie poradzi, ale jej siostra nie chciałyby tego słuchać. Wolała wierzyć, że będzie w stanie pomóc rodzinie, wychodząc szybko za bogatego kawalera. Marianna z kolei uważała, że Jessica powinna poczekać, aż znajdzie się w nieco lepszej sytuacji, co pozwoli jej wybrać mężczyznę, który pasowałby do jej delikatnej natury. Dlatego właśnie ona musiała szybko zrealizować swe małżeńskie plany. Potem Jessica mogłaby odetchnąć prawdziwą swobodą i cieszyć się życiem jak inne dziewczęta w jej wieku.

Lord Darley był idealnym kandydatem. Bogaty wicehrabia, szukający podobno żony, szybko padł ofiarą śmiałego uśmiechu Marianny, a potem równie łatwo dał się zwieść wstydliwie opuszczonym rzęsom ślicznej panny. Marianna słuchała pilnie wszystkiego, co mówił wicehrabia, poświęcała mu niemal całą uwagę, nie obrażając przy tym reszty towarzystwa, i nigdy nie wypowiedziała choćby jednego źle dobranego lub złośliwego słowa w jego

obecności. Szybko odkryła, że młody arystokrata był trochę nieśmiały w stosunku do kobiet, ale wyglądał na dobrego i poczciwego człowieka, co czyniło zeń odpowiedniego kandydata na męża. Co prawda był trochę za niski i nie dość stanowczy jak na jej gust, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, że lord Darley z pewnością wyciągnąłby jej rodzinę z biedy i nie protestowałby zbyt, gdyby zaraz po ślubie Marianna objawiła skrywaną dotąd głęboko inteligencję. Doprawdy wszystko układało się dokładnie po jej myśli.

- Czy mama jest już gotowa? Dobrze będzie, jeśli się troszeczkę spóźnimy, ale powinnyśmy mieć dość czasu na znalezienie partnerów do tańca po kolacji. Więc jeśli mama nie czuje się dobrze, wyjdziemy wcześniej, ale nie możemy stracić najlepszej części wieczoru. - Marianna poprawiła rękawiczki i ruszyła zdecydowanym krokiem do drzwi.

- Lily układała jej fryzurę, kiedy wychodziłam. Myślę, że mama czuje się teraz trochę lepiej. Spotkała przynajmniej kilku starych przyjaciół, z którymi będzie mogła poplotkować, kiedy my zajmiemy się tańcem. Przedtem bała się, że nikt jej nie rozpozna po tylu latach nieobecności.

Marianna musiała przyznać w duchu, że Jessie znowu trafiła w samo sedno. Nie rozmyślała nad tym jednak zbyt długo, gdyż już spieszyła do wyjścia. Jedyne służący, który był jednocześnie lokajem, woźnicą i stróżem całego ich domu w Londynie, nie należał do ludzi cierpliwych, a jak wiadomo londyńczycy byli o wiele bardziej zarozumiali i gburowaci niż służba na wsi. Prawdę mówiąc, obie siostry nieco się go obawiały.

Oprócz domu wynajęły także powóz. Dom co prawda nie znajdował się w bardzo eleganckiej dzielnicy, a powóz



był prosty i tani, jednak zarówno młode panny, jak i ich mama uważały, że nie powinny zbyt się zadłużać i udawać kogoś, kim w rzeczywistości wcale nie były. Marianna pozwoliła sobie na mały podstęp jedynie dla podkreślenia swojej urody, wiedząc, że tylko wygląd i odpowiednie wychowanie są jej atutami w tej grze. Ponieważ nie posiadała żadnego posagu, który mógłby przyciągnąć kilku odpowiednich kandydatów na męża, postanowiła wykorzystać do maksimum to, co miała.

Lady Grace ucięła sobie jeszcze krótką drzemkę przed kolacją, dlatego też przyjechały na miejsce później niż większość zaproszonych gości. Kiedy weszły do elegancko przystrojonego salonu, właściwie nikt nie zauważył ich przybycia. Marianna wcale się tym jednak nie przejmowała. Nawet gdyby pojawiły się tutaj jako jedne z pierwszych, i tak nikt nie zwróciłby na nie uwagi. Lady Grace i panna Jessica Oglethorp nic nie znaczyły w tak znakomitym towarzystwie. Mogły tutaj wejść tylko dzięki powiązaniom matki z rodziną jej pierwszego męża. W innym przypadku nie pomogłoby im nawet arystokratyczne pochodzenie Marianny, gdyż w istocie tytuł po jej ojcu przeszedł na jedną z kuzynek, a nie na nią. Nie była więc hrabianką ani markizą, tylko zwykłą lady - oczywiście, do ślubu. Rozejrzała się niespiesznie dokoła, szukając lorda Darley. Jego żona będzie wicehrabiną, a w przyszłości może i hrabiną.

Młody arystokrata niemal natychmiast podszedł do trójki dam, jakby właśnie na nie czekał. Marianna była mu szczerze wdzięczna za ten pośpiech. Pomyślała nawet, że kiedyś może naprawdę nauczy się kochać tak miłego człowieka. Było jej przykro, że musi go oszukiwać i ukry-

wać przed nim swą prawdziwą naturę. Wiedziała jednak z całą pewnością, że ani on, ani jego matka nie chcieliby w rodzinie kobiety, która czytuje poezje Coleridge'a i książki Hanny More, i która uważa większość arystokratów za nic niewartą zbieraninę leni i zarozumiałców.

- Lady Marian! - zawołał radośnie lord Darley, biorąc ją za rękę. Jakby po krótkim namyśle dodał jeszcze uprzejmy ukłon, skierowany do reszty jej rodziny. - Lady Grace, panno Jessiko, miło mi panie widzieć. - Kiedy obie kobiety odkloniły się nieśmiało i dyskretnie oddaliły w drugi koniec sali, młodzieniec zwrócił się do obiektu swego zainteresowania. - Zdaje się, że humor jest dzisiaj pani dopisuje - powiedział Darley i od razu się zarumienił, zrozumiałwszy, że nie przystoi wyrażać się tak w towarzystwie młodej damy.

Marianna udała, że niczego nie zauważyła. Jakby nieco zawstydzona, rozłożyła wachlarz i skryła za nim twarz.

- Pan mnie onieśmiela, sir. Ten bal zapowiada się naprawdę wspaniałe, nieprawdaż? - Udawanie idiotki nie przychodziło jej łatwo, ale rezultaty były zadowalające, gdyż lord Darley najwyraźniej odzyskał pewność siebie.

- Istotnie, jest wspaniały. Czy zechciałaby pani choć raz zatańczyć ze mną tego wieczoru? Mam nadzieję, że nie pytam o to zbyt późno.

Podawała mu swój karnecik.

- Jak pan widzi, niedawno przyszłam. Oczywiście może pan wybrać, co pan zechce, sir, choć wydaje mi się, że pan Henry prosił a nie już o kotyliona.

Arystokrata napisał swoje nazwisko przy pierwszym tańcu po kolacji i spojrzawszy na nią ze śmiałym błyskiem w oku.

- Czy mogę poprosić także o ostatniego walca, czy też już zarezerwowała go pani dla jakiegoś specjalnego gościa?

Marian żałowała, że nie potrafi rumienić się na zawołanie. Niestety, nie opanowała jeszcze tej sztuki i teraz pozostało jej tylko schować się za wachlarzem i udawać, że nie może powstrzymać rumieńca.

- Będę zaszczycona. Muszę jednak wiedzieć, że nie pocztyta mi pan za złe, jeśli moja matka poczuje się zmęczona, i będziemy musiały wyjść wcześniej.

Każdy idiotyczny uśmiech Marianny dodawał młodemu lordowi pewności siebie.

- W takim razie musi pani zatrzymać dla mnie jeszcze jeden, wcześniejszy walc, a gdy pani mama będzie znużona, proszę mnie przywołać. Gdy nic takiego nie będzie miało miejsca, razem przeczekamy ten taniec.

- Pan jest nazbyt uprzejmy, lordzie Darley. Nie wyobraża pan sobie nawet, jak bardzo cenię pańską troskę.

Młodzieniec ukłonił się raz jeszcze i wyciągnął rękę, chcąc podprowadzić ją do matki. Marianna nieśmiało podała mu dłoń.

- Może pani okazać swą wdzięczność przyjmując moje zaproszenie na przejażdżkę po parku jutrzejszego ranka. Kupiłem właśnie parę przednich siwków i nie mogę się już doczekać, kiedy je wypróbuję. Będę zaszczycony, jeżeli zechce mi pani towarzyszyć.

Marianna zatrzepotała rzęsami, udając całkowite zaskoczenie.

- Och, to byłoby cudowne, sir! Proszę opowiedzieć mi o tych koniach. Kupił je pan u Tattersalla?

Ponieważ konie były ulubionym tematem młodego arystokraty, a przy tym jedynym, na który mógł mówić długo

i ze znajomością rzeczy, lord Darley z zapałem zaczął opisywać Mariannie swój nowy nabytek. Tak niezwykle ożywienie cichego zazwyczaj i nieśmiałego młodzieńca wzbudziło zainteresowanie całego towarzystwa, ale dwoje młodych ludzi zupełnie nie zwracało uwagi na zdumione szepty.

Wkrótce pojawił się przy Mariannie pan Henry, domagając się zarezerwowanego wcześniej kotyliona. Kilkunastu młodych dżentelmenów poszło jego śladem i zajęło wszystkie tańce, jakie pozostały jeszcze w karnecie młodej damy. Marian mogła wreszcie zwrócić uwagę na Jessikę, która właśnie próbowała ukryć się w odległym zakątku sali. Starsza siostra posłała Darleyowi błagalne spojrzenie. Ten natychmiast zrozumiał jej prośbę, ukłonił się uprzejmie i ruszył w stronę panny Oglethorp, by prosić ją o taniec.

Marianna odetchnęła z ulgą i przepełniona wdzięcznością dla młodego lorda, który nie pozwolił stać jej siostrze w kącie, dała się uprowadzić na parkiet. Gdyby pan Darley został jej mężem, mogłaby nawet nieco powstrzymywać swój ostry języczek, bo któż chciałby dokuczać człowiekowi, który spełnia nie wypowiedziane życzenia?

Dobry humor nie opuszczał jej przez kilka następnych tańców, to jest do chwili, kiedy dostrzegła stojącego przy wejściu wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Wzdrygnęła się zaniepokojona i odwróciła wzrok - choć nie pamiętała, skąd zna tego eleganckiego młodzieńca, wiedziała, że kiedyś już się z nim spotkała, i na pewno nie było to miłe spotkanie.

Z drugiej strony jednak starała się być szalenie czarująca dla wszystkich młodych mężczyzn, których poznała w ciągu ostatnich kilku tygodni, nawet dla tych bez pieniędzy

i rozumu. Pomyślała więc, że ten dziwny niepokój to wynik ciągłego podenerwowania. Wszystko przebiegało po jej myśli. Nie widziała żadnego powodu, dla którego ten właśnie człowiek miałby myśleć o niej źle.

Jednak przy każdej okazji obserwowała go ukradkiem. W sali pełnej sztywnych, idealnie wyprasowanych fraków, nakrochmalonych kołnierzyków i wymyślnych fularów, on jeden jakby zupełnie nie przejmował się konwenansami i czuł się zupełnie swobodnie w rozpiętym surducie, zwykłym fularze i kołnierzu, który z pewnością nie miał żadnej styczności z krochmalem. Jego postura i nienaganne maniery sprawiały jednak, że był nie mniej elegancki od otaczających go mężczyzn - już sam ten fakt onieśmiał Mariannę. Ona musiała poświęcić wiele czasu i wysiłku, by stać się prawdziwie elegancką damą, a osiągnęła to naśladowując strój i zachowanie tych, których najbardziej podziwiała. Ten młodzieniec najwyraźniej sam ustalał własne kanony elegancji.

Marianna przerwała wreszcie te smutne rozmyślenia i postanowiła, że nie da się zbić z tropu człowiekowi, który z pewnością nie należał do jej klasy społecznej. To musiał być jakiś markiz albo książę, ktoś zbyt ważny i zbyt elegancki nawet jak na to towarzystwo. Nie wiedziała, dlaczego tu przyszedł, ale była przekonana, że nieznamy wkrótce opuści tę salę, i że nigdy już nie będzie miała okazji spotkać go znowu. Uśmiechnęła się z satysfakcją do Darleya, który podszedł właśnie, by upomnieć się o zamówiony wcześniej taniec.

Marianna nie widziała już chmurnego grymasu na twarzy młodzieńca, który obserwował uważnie, jak arystokrata bierze ją za rękę i prowadzi na parkiet.

Reginald zwrócił się do wysokiej damy, która stała tuż obok niego.

- Czy to ta młoda kobieta, o której pani wspominała? Wydaje mi się, że gdzieś już ją widziałem, choć nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Lady Agatha Darley uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Pojawiła się tutaj tuż po twoim wyjeździe. To córka świętej pamięci markiza Effingham. Zdaje się, że jej matka pochodzi z rodziny hrabiego Avon. Znakomite koneksje, nie uważasz? Mogłaby być troszeczkę młodsza, ale Geoffreyowi to nie przeszkadza. Podejrzewam, że jej przybrany ojciec zostawił im niewiele pieniędzy, a teraz samotna wdowa chce wydać córki za męża. Oczywiście nie za byle kogo, ale Geoffrey nie musi martwić się o pieniądze - to jego atut, a ta młoda dama wydaje mi się przemiłą i czarującą osobką.

Reginald zmarszczył brwi i przyglądał się uważnie młodej parze, wirującej na parkiecie. Dziewczyna niemal dorównywała wzrostem Darleyowi, który z błogim uśmiechem wpatrywał się w swą partnerkę. Kiedy jej twarz ukazała się na moment oczom Reginalda, ten omal się nie zachłysnął. Świat nie mógłby pomieścić dwóch takich samych kobiet. Wielkie, ciemne oczy i bujne kasztanowe włosy należały w tych stronach do rzadkości, tak jak i śniada cera. Nawet bogato złocona suknia nie mogła odmienić złośliwej służącej, którą spotkał kiedyś w gospodzie.

Z pewnością nie była przemiła ani czarująca. Ciekawe, w jaki sposób oszukała poczciwego Darleya.

## *Rozdział trzeci*

Darley był tak uprzejmy, że poprosił jednego ze swych przyjaciół, by towarzyszył Jessice w czasie kolacji. Dzięki temu młoda dama nie musiała spędzić całego balu przy matce i jej znajomych. Jessica zdobyła się na nieśmiałe, lecz pełne wdzięczności spojrzenie, rzucone w kierunku lorda, po czym zwróciła swe niebieskie oczy ku młodemu człowiekowi w nieprawdopodobnie wysokim kołnierzu, gdyż ten to młodzieniec miał być jej towarzyszem. Młody człowiek zaczerwienił się najpierw jak burak, ale po chwili odzyskał pewność siebie, posadził Jessikę przy stole i dopytywał się, na który spośród wielu przysmaków miałaby ochotę. Marianna obserwowała wszystkie te błazeństwa kątem oka, uśmiechając się w duchu, choć cały czas udawała, że jest całkowicie pochłonięta opowiadaniem Darleya, który rozwodził się nad stajniami jakiegoś innego arystokraty. Wysłuchując nie kończących się peanów na cześć owych wspaniałych koni, których właścicielem był niejaki Reginald Montague, Marianna czuła, jak już zbiera

w niej niechęć do tego człowieka, choć jeszcze go nawet nie poznała.

Może potrafiłaby zainteresować Darleya sztuką. Z pewnością miał wspaniałą pamięć, skoro bez trudu mógł wyrecytować tyłu przodków jakiegoś konia wyścigowego. Może zapamiętałby nazwiska wszystkich ważnych artystów i zaczął kolekcjonować dzieła sztuki. Mieliby wtedy wspólne zainteresowania i wspólny temat do rozmów. Być może udałoby się jej nawet namówić go do czytania, ale na to zbyt nie liczyła. Jeszcze jako mała dziewczynka zrozumiała, że mężczyźni rzadko zajmują się literaturą piękną.

Planując tego rodzaju zmiany w charakterze i zainteresowaniach Darleya, Marianna nie zauważyła zbliżającego się ku nim eleganckiego dżentelmena, którego dostrzegła wcześniej przy drzwiach. Zajęta zdobywaniem serca młodego lorda, zdołała zapomnieć o nieznanym. Gdy ten pojawił się przy ich stole, zachęcony przyjaznym gestem Darleya, zniknęły wszelkie nadzieje na to, że kiedykolwiek będzie jej dane zapomnieć o nim zupełnie i na zawsze. Zielonoszare oczy, które spoglądały na nią groźnie z wysoka, stały się lodowato zimne, gdy Darley przedstawił ich sobie.

Reginald Montague.

Ryczący osioł z gospody.

Najbliższy, najdroższy przyjaciel Darleya.

Katastrofa.

Marianna walczyła ze sobą, by nie zamknąć oczu, i odmawiała w duchu błagalną modlitwę, patrząc niewinnie w nieprzyjazne oczy młodzieńca. Jednocześnie oceniała szybko swoje szanse, jakie atuty jeszcze zachowała, a jakie



straciła bezpowrotnie. Wszystko zależało teraz od tego, czy pan Montague okaże się prawdziwym dżentelmenem. Jeśli opowie Darleyowi o ich spotkaniu, to wszystko stracone, jeśli zaś przemilczy to i będzie się starał odciągnąć od niej swego przyjaciela innymi sposobami... Marianna wiedziała, że dzięki swym kobiecym sztuczkom jest w stanie rozwiać wszelkie wątpliwości zasiane w sercu Darleya przez jego eleganckiego kompana. Wiedziała też, że podoba się matce młodego lorda. To przeważało szalę na jej korzyść.

Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby powstrzymać tego osła od mówienia. Już od trzech tygodni rozsnuwa sieci wokół Darleya i nie ma wiele czasu do stracenia. Oczywiście brała też pod uwagę innych kandydatów - była przecież rozsądną kobietą - ale żaden z nich nie dorównywał młodemu arystokracie. Nie pozwoli, by ten wstrętny birbant stanął na jej drodze.

- Lady Marian - Montague zakończył oficjalną procedurę przedstawiania ukłonem najskromniejszym z możliwych do przyjęcia. Nie dodał doń żadnych wymyślnych komplementów, do których Marianna już przywykła. Nie była może jakąś niezwykłą piękną, ale była nowa w tym towarzystwie, a młodzi panowie zazwyczaj z radością witali wszelkie nowe twarze w kręgu znajomych. Zazwyczaj także szybko tracili początkowy entuzjazm, ale wystarczało im go przynajmniej na powitania. Ten młodzieniec nie zdobył się nawet na to.

- Panie Montague - odparła Marianna słodkim głosem i uśmiechnęła się niewinnie. - Lord Darley opowiadał mi o pańskich stajniach. Jest pan zapewne bardzo szczęśliwym człowiekiem, a przy tym musi pan mieć ogromną wiedzę na temat koni.

Komplementy dotyczące koni, czyli pasji i miłości większości mężczyzn, zwykle działały na nich kojąco i zyskiwały jej ich przychylność. Marianna usiadła na swoim miejscu i czekała na reakcję Reginalda.

Ten skłonił tylko lekko głowę i zwrócił się do Darleya.

- Zobaczmy się dzisiaj wieczorem w klubie?

Ten mężczyzna był wyjątkowo nieuprzejmy. Marianna nie przywykła do takiego grubiaństwa. Pomyślała, że gdyby kopnęła go pod stołem w goleń, pewnie w ogóle by tego nie zauważył. Człowiek o tak sztywnym kręgosłupie chyba nie miał już czucia poniżej pasa.

Niemal roześmiała się głośno do swych myśli. W ostatniej chwili zakryła usta, ale Reginald musiał posłyszeć cichy chichot, gdyż rzucił jej czujne spojrzenie. Marianna udała, że nic się nie stało, i odwróciła się do młodego adoratora Jessiki, komplementując jego elegancki strój. Młodzieniec zaczerwienił się, ale bez wahania podjął temat i rozpoczął uczoną dyskusję na temat dobrych londyńskich krawców.

Kiedy tylko Montague odszedł od ich stolika, Marianna z ulgą powróciła do towarzystwa lorda Darley. On potrafił przynajmniej prowadzić interesującą rozmowę; nie jękał się i nie zacinając przy każdym niemal słowie. Biedna Jessica. Marianna obiecała sobie, że znajdzie dla niej odpowiedniego towarzysza, gdy już zdobędzie Darleya - do czego może nigdy nie dojść, jeśli ten Montague wszystko wypaple.

Marianna słuchała z przerażeniem, jak młody lord wygłasza peany na cześć swego przyjaciela. Cóż znaczyła tak zwyczajna kobieta jak ona w porównaniu z człowiekiem, który znał najlepszych krawców, miał najlepsze wina i konie, który był po prostu wzorem prawdziwego męż-

czyzny? Nie miała już wątpliwości, komu Darley chętniej uwierzy, jeśli dojdzie do konfrontacji.

Niech diabli wezmą jej nieposkromiony języczek! Trzymała go na wodzy przez całe trzy tygodnie - szkoda, że nie zaczęła o dzień wcześniej. Każda perlista pochwała, która spływała z ust Darleya, zwiastowała nadchodzącą katastrofę. Musiała mocno ugryźć się w język, żeby nie zapytać, dlaczego - skoro Montague był takim ideałem - Darley nie poślubi właśnie jego. Z pewnością stanowiliby dobraną parę.

Wreszcie Marianna nie mogła już dłużej milczeć i postanowiła powiedzieć coś we własnej obronie. Zagryzając wargę i opuszczając skromnie wzrok, westchnęła cichutko. Wykorzystując krótką przerwę w potoku słów płynących z ust arystokraty, szepnęła nieśmiało:

- Nigdy nie ośmieliłabym się sama zawrzeć znajomości z tak niezwykłym człowiekiem jak pan Montague i pewna jestem, że w porównaniu z nim muszę być dla pana szalenie nudną i pospolitą osobą. Nie sądzę, bym kiedykolwiek była w stanie przyswoić sobie choć połowę tej wiedzy, którą on na pewno posiada.

Darley wyglądał na zakłopotanego. Wziął ją za rękę i pogładził delikatnie.

- Och, niech pani nie będzie taką gąską. Oczywiście, że nie jest pani w stanie tego zrobić. Przecież jest pani kobietą. A jeśli Reginald może być uznawany za ideał, to tylko dzięki temu, że urodził się mężczyzną. A pani jest wcieleniem wszystkich cech, które uważam za najcenniejsze dla płci pięknej.

Gdyby Marianna mogła być teraz sobą, zbeształaby go, informując jednocześnie, że kobieta - każda kobieta - jest dziesięć razy lepsza od takiego nadętego osła, który zna się

tylko na koniach i modzie. Zamiast tego uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, wzięła go za rękę i pozwoliła wyprowadzić się z jadalni. Była pewna, że zanim dojdzie do oczekiwanego ślubu, jej język cały pokryty będzie bliznami.

Z ogromną ulgą stwierdziła, że pan Montague nie zaszczycał już tego balu swą okropną osobą. Matka czuła się na tyle dobrze, że mogła poczekać do ostatniego walca, więc Marianna spędziła resztę wieczoru rozmawiając z Darleyem i oczywiście tańcząc. Zauważyła też, że plotki na ich temat krążyły już wśród towarzystwa. Uśmiechała się więc jeszcze milej do swej ofiary, niemal mdłała w jego ramionach, słowem czyniła wszystko, by Darley widział ją jako swą wicehrabinę. Była przekonana, że doskonale nadaje się do tej roli.

Reginald Montague popijał powoli brandy, a jego oczy ciskały błyskawice w stronę hałaśliwych graczy, którzy zajmowali stoły wokół niego. Czekał tu już od dłuższego czasu na Darleya, który nie mógł oderwać się od swej najnowszej namiętności. Młody hrabia był zbyt pocziwym człowiekiem, by dostrzec sidła, jakie zastawiała na niego przebiegła panna, i zbyt nieśmiały w stosunku do kobiet, by dojrzeć cokolwiek poza ich urodą i dobrymi manierami. Dwie paskudne wiedźmy, które próbowały niedawno pochwyć go w swe szpony, zostały bezlitośnie przepędzone przez lady Agathę. Tym razem mała oszustka zdołała opętać nawet tę do tej pory nieprzejednaną kobietę. Ilu ludzi zdążyła już nabrać na swoje chytre sztuczki? Czy tylko on znał prawdziwą naturę tej damy?

Jeśli w ogóle była damą. Pamiętając jej strój i fakt, że była całkiem sama w gospodzie o dość podłej reputacji, Reginald miał sporo wątpliwości co do pochodzenia i prowadzenia się tej kobiety. Młoda ślicznotka, którą nazywała siostrą, z pewnością wyglądała całkiem niewinnie, ale nie można przecież sądzić tylko po pozorach. Nawet ta fałszywa lady Marian wodziła wszystkich za nos i dzięki swej eleganckiej sukni uchodziła za damę godną najwyższego szacunku. Jednak zdradzały ją bezczelne spojrzenia i niewyparzony język. Przedstawienie, które odgrywała specjalnie dla Darleya, było doskonałe, tak dobre, że Reginald podejrzewał, że jest ona zawodową aktorką. Może uda mu się wkrótce dowiedzieć, kim jest naprawdę. Tak, to chyba będzie najlepszy sposób - przedstawić Darleyowi fakty, a nie tylko subiektywne opinie.

Gdy Reginald podjął już tę decyzję, oczekiwał Darleya z mniejszą niecierpliwością. Nie zamierzał opowiadać mu o nikczemnym zachowaniu jego bogdanki. Teraz mógł już zatrzymać swą opinię tylko dla siebie. Jutro przejdzie się na Bow Street i wynajmie odpowiednich ludzi, a ci już z łatwością dotrą do prawdy. Jeśli ta kobieta nie jest córką Effingham, powie o tym najpierw lady Agacie, a ta postąpi według własnego uznania. Darley zazwyczaj przychyłał się do zdania tej mądrej damy.

Do czasu przybycia młodego lorda Reginald był już całkiem spokojny, a brandy i dobre intencje rozgrzewały go od wewnątrz i dodawały animuszu. Kiedy jego przyjaciel usiadł po przeciwnej stronie stołu i zapytał krótko: „No i co myślisz?”, pan Montague zdobył się na serdeczny uśmiech i odparł:

- Myślę, że zjadłbym dobry befsztyk na kolację, myślę o tym, którego konia wystawić w najbliższym wyścigu, i o tym, czy pójść na przyjęcie do lady Jersey czy też na mecz bokserski, i o jeszcze wielu fascynujących rzeczach.

Darley skrzywił się i spróbował piwa, które postawił przed nim kelner.

- Mówię o lady Marian. Co myślisz o niej? Wiem, że nie siedziałeś z nami długo, ale jestem pewien, że zgodzisz się ze mną, że to prawdziwy klejnot, ba, diament!

Chyba w postaci węgla, pomyślał Reginald, ale nie powiedział tego głośno, wiedząc, że jego przyjaciel poczułby się urażony. Odrzekł więc zgodnie z prawdą:

- Jest bardzo atrakcyjna. - Jak na brunetkę, poprawił się w duchu. Brunetki nie były w modzie. Jego osobiście bardziej interesował charakter niż kolor włosów danej kobiety, ale on był przecież dość osobiwą i wyjątkową jednostką w ogóle społeczeństwa.

- Prawda? Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Bałem się, że wyszedłeś tak szybko z balu, bo jej nie polubiłeś. Ale ona była na tyle delikatna i wielkoduszna, że w ogóle tego nie skomentowała - a sam przyznasz chyba, że było to trochę nieuprzejme.

Reginald przypomniał sobie właśnie dziwne parsknięcie tej młodej damy, które przepełnione było w jego opinii szyderstwem i kpina, ale i on postanowił być wielkoduszny i nie komentować tego głośno. Podejrzewał, że rzekoma lady Marian była nie tylko oszustką, ale i intrygantką. W czasie gdy policjanci będą zajmowali się jej pochodzeniem, on przeprowadzi własne śledztwo. Może uda mu się pokrzyżować jej plany i odciągnąć od niej Darleya.

- Nie wiedziałem, że jest kimś ważnym - powiedział

Reginald, odpierając zarzut swego przyjaciela. - Następnym razem przyjrzę się jej lepiej.

- Jeśli mam się ożenić, to nie znajduję już nikogo lepszego - oświadczył z zapałem Darley. - Mógłbym rozmawiać z nią bez końca. Wiesz, jak płacze mi się język, kiedy muszę rozmawiać z kobietami, ale przy niej to zupełnie co innego. Podziela nawet moje zainteresowanie końmi i podsunęła mi kilka ciekawych pomysłów. Doskonale się rozumiemy. Poza tym nie ma ogromnej rodziny, która do końca życia czepiałaby się moich rękawów. Ma tylko matkę i siostrę, obie bardzo nieśmiałe i rozsądne. Nie musiałbym marnować czasu na rozmowy z ojcem idiotą ani wyciągać z długów braciszka hulaki.

Reginald wstał od stołu, tłumiąc w sobie jęk rozpacz. Nie podejrzewał wcześniejsze sprawy mają się aż tak źle. Nie powinien był siedzieć tak długo w Somerset. Gdyby Darley nie był jego najbliższym przyjacielem, bez namysłu zostawiłby go na pastwę losu. Ale wicehrabia był jedynym spośród jego towarzyszy, który wraz z nim pobierał nauki, a także rozumiał i akceptował jego obecną pozycję. Reginald bardzo sobie cenił jego przyjaźń. Nie chciałby jej stracić przez małą, sprytną oszustkę.

- A co z obecnym markizem? Czy nie będzie zainteresowany małżeństwem kuzynki, jeśli rzeczywiście się nad tym zastanawiasz?

Darley opróżnił szklanekę i wraz z przyjacielem ruszył do wyjścia.

- Z tego co wiem, Effingham to stary zrzęda, który nigdy nie wychodzi z domu. Lady Marian i jej rodzina nigdy nie mówią o nim źle, ale od razu widać, że wcale go nie obchodzi, co się z nimi dzieje. Wygląda na to, że żyją

bardzo skromnie. Zamierzam poprawić ich sytuację, jeśli mi tylko pozwolą.

Wyszli na ulicę oświetloną przez setki gazowych latarni i ruszyli w stronę parku, w okolicach którego Reginald kupił niedawno małe mieszkanie. Nawet o tej porze ulice pełne były ludzi. Dżentelmeni wracali z klubów lub właśnie do nich spieszyli. Po trotuarze przemykały powozy, którymi różne modnisie i wypacykowani młodzieńcy zdążali na zabawy i bale. Obszarpani ulicznicy wystawiali niemal na każdym rogu, wypatrując okazji do zarobienia choćby pensa - a to przytrzymali na moment konia, a to zmiotli z chodnika nawóz, by eleganccy panowie nie pobrudzili wyglansowanych butów. Policjant chrapał smacznie w swojej budce, nieświadom, że grupa pijanych wyrostków przygląda mu się uważnie, ocenia jego wagę i kłóci się o to, kto pierwszy spróbuje strącić go z krzesła.

Reginald i Darley nie zwracali uwagi na tętniące wokół nich nocne życie. Opuścili zalane sztucznym światłem aleje i zanurzyli się w mroczne okolice parku, wciąż prowadząc swą chaotyczną dyskusję.

- Masz jeszcze mnóstwo czasu, Geoff. Nie spiesz się tak bardzo do małżeństwa, bo potem możesz tego żałować. Pamiętasz tę klacz, którą tak bardzo chciałeś mieć, bo pochodziła z arystokratycznej linii i była zadziwiająco tania? Okazało się, że to wredna, złośliwa kobyła, która rodzi same pokraki. Gdybyś wcześniej próbował dowiedzieć się o niej czegoś więcej, zaoszczędziłbyś sobie kłopotów.

Przepełniony radością i wielkodusznością, które daje szczęście, Darley roześmiał się głośno, słysząc to porównanie.

- Porozmawiam z jej służącymi i dowiem się, czy nie



jest złośliwa, ale nie sądzę, żebym mógł sprawdzić, jakie rodzi dzieci.

Rozbawiony tą uwagą Reginald pozwolił sobie na uśmiech. Cieszył się przy tym, że Darley nie był aż tak zaślepiiony, by stracić poczucie humoru.

- Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale to może być jedna z zalet, dla których warto poślubić wdowę. Jeśli rzeczywiście interesuje cię potomstwo, to powinieneś ożenić się z kobietą, która dowiodła już swych możliwości, rodząc syna, albo jeszcze lepiej dwóch.

Darley parsknął śmiechem, a potem nie zmieniając tempa ani tonu wypowiedzi rzekł cicho:

- Nie oglądaj się teraz, ale zdaje mi się, że ktoś nas śledzi.

Reginald machnął niedbale laską, którą trzymał w dłoni.

- Wiem. Nie idzie mu to najlepiej, prawda?

- Pewnie nie ma jeszcze doświadczenia. Może zajmuje się tym dopiero od niedawna. I może powinniśmy wybić mu to z głowy, póki jeszcze nie zaczął na dobre.

- Myślałem dokładnie o tym samym. Poczęstuję cię łykiem brandy z mojej butelki, kiedy zatrzymamy się pod tamtym drzewem.

Udając pijacką lekkomyślność stanęli w głębokim cieniu drzewa i gęstych zarośli, na skraju parku. Reginald wyciągnął z kieszeni buteleczkę i podał ją Darleyowi.

Młody mężczyzna, który deptał im po piętach, znał się na swym rzemiośle o wiele lepiej, niż przypuszczali. Wytoczył się nagle z ciemności, wpadł na Darleya, wymamrotał jakieś pijackie przeprosiny i już zaczął się od nich oddalać, kiedy Reginald wyciągnął rękę i pochwycił go za kołnierz.

Podnosząc złodziejaska o cal nad ziemię, arystokrata poprosił uprzejmie:

- Portfel, sir. Obawiam się, że przywłaszczył pan sobie portfel tego dżentelmena.

Zawieszony w powietrzu młodzieniec wymachiwał nerwowo nogami, próbując dosięgnąć chodnika. Wreszcie wydobył z siebie piskliwy bełkot:

- To jee...moaa... wina, drodzy panowie...praszaaam...

Było zbyt ciemno, by stwierdzić cokolwiek poza tym, że winowajca był niewysokim człowieczkiem odzianym w poszarpane resztki eleganckiego surduta i że okropnie cuchnął. Ponieważ nawet w szanującym się towarzystwie można było spotkać wiele osób, które gardziły kąpielą, smród ten nie był niczym nowym. Jednak fakt, że nieznajomy nie mówił charakterystycznym slangiem miejskich obwiesiów, był zastanawiający.

Reginald odmówił sobie przyjemności potrząsania złodziejaskiem, aż ten wypuści portfel, i zwrócił się do przyjaciela:

- Darley, przeszukaj go.

Młody łobuz znowu zaczął się szarpać. W pobliskich krzakach rozległ się jakiś cichy szelest, a młodzieniec podniósł ręce w geście oburzenia. Tym razem przemówił wyraźniej, ale już z akcentem miejskiego cwaniaka:

- Nic nie zrobiłem, mistrzu. Jestem tylko biednym człowiekiem, co nie ma szczęścia za grosz. Przeszukajcie mnie, jak chcecie. Wypiłem troszeczkę, to prawda, wiem, że to niedobrze, ale poza tym nic nie zrobiłem.

Reginald westchnął głośno i postawił winowajcę na ziemi, wciąż jednak trzymając go za kołnierz.

- Przeszukaj krzaki, Darley. Powinniśmy byli zawołać policjanta, żeby się zajął tym hultajem.

Wichrabia zaklął, kiedy gęste gałęzie uczepliły się jego eleganckich mankietów, ale w końcu odnalazł niewielki portfel, który jeszcze przed chwilą spoczywał w kieszeni jego płaszcza. Podniósł go nad głowę, by pokazać Reginaldowi, że odzyskał już zgubę, po czym schował go z powrotem.

- Więc jak, budzimy tego gamonia, który udaje policjanta?

Złodziej zaczął się trząść ze strachu.

- Nic nie zrobiłem! Szukałem pracy, naprawdę. Nie mam czym zapłacić tym w Newgate, no wiecie, w więzieniu. Rzucą mnie psom. Zabiorą mi ubranie, a wtedy to już na pewno nikt nie da mi pracy.

Jeśli chłopiec rzeczywiście nie miał czym zapłacić dozorcóm więzienia w Newgate, to z pewnością straciłby nie tylko swój poszarpany surdut. Reginald wahał się przez chwilę. Oczywiście nie zamierzał pozwolić, by kieszonkowiec wrócił na ulicę i nadal uprawiał swój proceder, ale nie chciał także, by młody człowiek zrujnował sobie całe życie dla kilku monet, które nic nie znaczyły dla Darleya. Milczał na tyle długo, że złodziejaszek zaczął odzyskiwać nadzieję. Skan i przerobienie poną.

- Jestem dobrym lokajem, naprawdę. Służyłem u świętej pamięci markiza Effingham, a on dobrze mnie wszystkiego wyuczył. Ten nowy markiz nie chce żadnej służby. Myślałem, że znajdę coś w Londynie, ale nie dostanę przecież referencji od nieboszczyka, a bez tego nikt mnie nie chce przyjąć.

Reginald i Darley wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nie musieli nic mówić. Obaj wiedzieli, że Darley ma starego i zaufanego lokaja, pracującego dla rodziny od

lat, ale Reginald nigdy jeszcze nie zatrudniał służącego. Zastanawiali się już kiedyś razem, czy nie powinien nająć kogoś poza wszechstronnym Jasperem, który był raczej sekretarzem i księgowym niż lokajem. Wyglądało na to, że właśnie nadarza się okazja.

- Teraz cię puszczę, ale jeśli tylko zaczniesz biec, zawołam policjanta. Jeśli nie będziesz uciekał, to jutro rano rozważę twoją prośbę o pracę. Zazwyczaj nie zatrudniam kieszonkowców, ale dzisiaj jestem niezwykle wielkoduszny. Zobaczymy, czy jutro rano będzie podobnie.

Wypuścił z dłoni kołnierz winowajcy.

Złodziejaszek rozejrzał się dokoła nerwowo, stanął na palcach i pozostał na miejscu, dochodząc najwyraźniej do wniosku, że nie ma nic do stracenia.

- Nazywam się Michael O'Toole. Jeśli mnie pan weźmie do siebie, zajmę się pańskimi ubraniami i rano będą jak nowe.

Reginald zmarszczył brwi.

- Prędzej zaniknę cię w komórce na miotły i szmaty, niż pozwolę ci dotknąć mojej szafy. No dobrze, chodźmy już. Wystarczy jak na jeden wieczór.

Trójka mężczyzn ruszyła w głąb cichej, spokojnej uliczki. Młody złodziej omal nie wykręcił sobie szyi, kiedy rozglądał się bez przerwy dokoła i podziwiał masywne kamienne budynki, zdobione bramy i utrzymane w idealnej czystości schody. Wreszcie westchnął z zachwytem i podniekscytowany oczekiwał, co przyniesie mu los.

## *Rozdział czwarty*

Mamy zaproszenia do Devonshire - oznajmiła lady Oglethorp, trzymając koperty z taką czcią, jakby to był święty Graal, a w jej głosie brzmiał zachwyt, który towarzyszyłyby z pewnością tak cudownemu zdarzeniu. - Przecież młody książe nie może mnie znać. Jak to możliwe?

Rzeczywiście, było to dość dziwne, ale Marianna wcale się nad tym nie zastanawiała, odbierając zaproszenia z rąk matki. Były tam nazwiska całej trójki, wszystkie starannie wykaligrafowane. Nie mogło być mowy o pomylce.

- Może ma sekretarza, który zebrał listy gości z wszystkich wydanych ostatnio przyjęć, i teraz wysyła zaproszenia każdemu, kto się tam znalazł. Książęta to dziwni ludzie. Może wcale ich nie obchodzi, czy znają swoich gości.

Oczy Grace nagle zapłonęły nadzieją.

- On nie jest żonaty. Może postanowił, że czas poszukać żony i teraz zaprasza wszystkie ewentualne kandydatki.

Marianna wątpiła, by tak było w istocie. Zamyśliła się głęboko, ale nie przychodził jej do głowy żaden inny powód, dla którego miałyby ich spotkać tak niespodziewane wyróżnienie. Nigdy nie wierzyła, by historia Kopciuszka mogła się zdarzyć w rzeczywistości.

Oszołomiona Jessica wpatrywała się w gruby papier welinowy.

- Co zakłada się na bal u księcia? - spytała niepewnie.

Po tym pytaniu w pokoju zapadła kamienna cisza. Na pewno nie nosi się tam sukni uszytych przed dziesięcioma laty. Na pewno nie nosi się też sukni uszytych przez własną służącą, choćby była ona genialną krawcową. Przed balem u księcia szło się do modystki i zamawiało wytworne ubrania, godne fortuny właścicielki i tak niezwyklej okazji. Ich zasoby finansowe jednak pozwalały im co najwyżej na zakup koronkowych pończoch.

- Coś wymyślę - oświadczyła stanowczo Marianna. To ona zajmowała się finansami rodziny. Znała wartość łoju i wosku, i kupowała świece tylko po odpowiedniej cenie. To ona sprzedała ostatnie konie Oglethorpów, by pokryć koszty podróży do Londynu. Ona też znajdzie pieniądze na odpowiednie suknie balowe.

- Tylko nie rubin - szepnęła Jessica, kiedy jej siostra ruszyła w stronę gabinetu.

Tylko nie rubin. Ten klejnot stał się niemal ostatnią deską ratunku. Koniecznie musi doprowadzić lorda Darley do ołtarza, zanim będą musiały pozbyć się rubinu.

Ani przez moment nie łudziła się, że zdoła wyjść za księcia. Wszystkie ambitne i zapobiegliwe matki w Londynie od dawna już próbowały zastawić sidła na olśniewa-

jącego księcia Devonshire. Walka o jego względy była zacięta i bezlitosna, a Marianna w ogóle się w niej nie liczyła. Jednak zaproszenie na książęcy bal było swego rodzaju nobilitacją, która mogła im się w przyszłości bardzo przydać. Choć nie mierzyła tak wysoko, pomyślała o Jessice, która była śliczną dziewczyną i mogła szukać szczęścia nawet w najwyższych sferach, choć nazywała się tylko Oglethorp. Dzięki obecności na balu u księcia uświadomi to wszystkim zarozumiałym damulkom.

Gdy Marianna znalazła się już w swoim gabinecie, otworzyła skrzynię, którą przewieziono tu na jej prośbę z ich domu w Wiltshire. Ponieważ zawsze interesowała się literaturą, nikt nie kwestionował potrzeby przetransportowania do Londynu całej skrzyni książek, choć sprawiało to dodatkowy kłopot. Ani matka, ani Jessica nie zdawały sobie sprawy, że w istocie kufer ten zawiera pozostałości ich fortuny. Pan Oglethorp odziedziczył po jednym z lepiej od niego wykształconych przodków niezwykle cenną bibliotekę.

Nie zносиła rozstawać się z nimi. Pieściła delikatnie oprawne w skórę księgi z minionych wieków. Przeczytała wszystkie, oprócz łacińskich i greckich. Nigdy nie miała okazji, by nauczyć się obcych języków, ani współczesnych, ani martwych. Łatwiej przychodziło jej więc sprzedawanie tych książek, których nie mogła przeczytać, choć zapewne nie były one tak cenne jak wiele innych. Jej palce odnalazły stare tomy, leżące na dnie skrzyni.

Wiedziała, że obecnie panuje moda na średniowieczne, iluminowane manuskrypty. Sprzedała już kilka. Z ciężkim sercem pozbywała się tych ostatnich, gdyż były jeszcze wspanialsze od poprzednich. Fantastyczne ilustracje godne

najwyższego podziwu. Starannie wykaligrafowane litery świadczyły o latach ciężkiej pracy, spędzonych nad każdą z tych ksiąg. Zamiana owych prawdziwych dzieł sztuki na pieniądze potrzebne do zakupu sukni balowych graniczyła niemal ze świętokradztwem, ale Marianna musiała myśleć najpierw o żywych, a potem dopiero o zmarłych. Matka i Jessica chciały iść na bal. Stare książki upchane w wielkiej drewnianej skrzyni w ogóle ich nie obchodziły. Tylko Marianna kochała je i cierpiała, gdy zmuszona była pozbyć się ich na zawsze.

Wcześniej już poczyniła pewne przygotowania, wiedząc, że ten smutny dzień kiedyś nadejdzie. Znała nazwiska i adresy kilku poważanych kupców i antykwarejuszy. Teraz musiała się tylko zdecydować, które z jej ukochanych owieczek pójdą na rzeź - reszta była prosta.

W końcu wybrała kilka rzadkich woluminów z piętnastego i szesnastego wieku, na których kupno miała już chętnych. Wiedziała, że pieniądze, które za nie uzyska, nie wystarczą na trzy suknie od modystki. Westchnęła więc ze smutkiem i wyjęła ze skrzyni jeszcze jedną niewielką książeczkę. Zawierała ona piękne rysunki przeróżnych ziół i kwiatów wraz z opisami ich zastosowania. Marianna zaczytywała się kiedyś w tych niezwykle ciekawych opisach, choć nie przyszło jej to łatwo, gdyż książka napisana była w języku staroangielskim, a wymyślne, ozdobne litery często w niczym nie przypominały współczesnego pisma. Jeszcze jako dziewczynka wyobrażała sobie, jak jakiś mnich przez całe życie prowadzi obserwacje i badania nad ziołami, a potem każe to zapisywać swojemu uczniowi, który z zapałem chłonie wszystkie nauki mistrza.



Ta książka zawierała pieśń o historii, miłości i cierpliwości. Ale była o wiele cenniejsza niż wszystkie współczesne książki, które leżały obok niej.

Nie powinna być aż tak samolubna. Nie powinna zatrzymywać tego skarbu dla siebie, podczas gdy mógł on przesądzić o losach jej rodziny. Zawinęła go starannie w bawełnianą szmatkę i włożyła do torby, w której spoczywały już inne książki na sprzedaż.

Zamierzała wysłuchać najpierw opinii kilku antykwaruszy i dopiero wtedy zdecydować, który z nich jest najuczciwszy i który najlepiej zna się na rzeczy. Miło byłoby poznać kogoś, kto ceni i kocha książki tak jak ona, ale nie liczyła na to zbyt. Mężczyźni zamieniali się w chciwych kupców, kiedy w grę wchodziły cenne woluminy.

Marianna przywołała służącą, kazała zaprząć konie do powozu, włożyła czepek i spencer, i przygotowała się do wyjścia. Lord Darley był tego dnia zajęty, więc nie spodziewała się, by chciał ją gdzieś zaprosić. Matka i Jessica też miały swoje sprawy i Marianna nie była im do niczego potrzebna. Miała więc cały dzień dla siebie. Szkoda tylko, że musi go spędzić na tak niemiłym zajęciu.

Godzinę później, kiedy przemierzyła sporą część Londynu i miała już za sobą rozmowy z trzema antykwarusami, marzyła o tym, by znaleźć się jak najdalej od tego okropnego miejsca. Ci ludzie byli potworami, niewyobrażalnie skąpyimi potworami. Nie mieli ani odrobiny szacunku, ani odrobiny wrażliwości, w ogóle nie pojmowali, jak cenne książki chce im zaoferować. Spoglądali z pobłażaniem na jej niemodną suknię, przrzucali niedbale poźółtkę

karty książek, by sprawdzić, w jakim są stanie, po czym wymieniali śmiesznie niskie ceny, niemal tak niskie jak te, które oferowano jej w Wiltshire. Marianna spodziewała się, że wykształceni mieszkańcy wielkiego miasta chętnie zapłacą więcej za tak wyjątkowe egzemplarze.

Po pewnym czasie zauważyła, że kwoty oferowane przez antykwariuszy były podobne. To nasunęło jej przypuszczenie, że między odwiedzanymi przez nią sklepami biegał jakiś chochlik, który ostrzegał sprzedawców, że wkrótce pojawi się tam młoda kobieta z książkami. Fakt, że ci sami ludzie polecani byli przez różnych księgarzy z Wiltshire umocnił ją jeszcze w tym przekonaniu. Trudno jej było uwierzyć, by wszyscy się znali i tak samo wyceniali książki, ale tak to właśnie wyglądało.

Rozżłoszczona tym podłym spiskiem, Marianna zacisnęła zęby i kazała woźnicy zatrzymać się przy kolejnym sklepie z drogocennymi starociami. Co prawda nie miała go na swej liście, ale znajdował się w bardzo bogatej dzielnicy. Widziała, jak jakaś dama w modnych muślinach wychodzi właśnie ze środka, niosąc pod pachą starannie zapakowaną paczuszkę. Kilka innych osób w drogich i eleganckich ubraniach podziwiała klejnoty ułożone na wystawie. Oznaczało to, że sprzedawca cieszył się poważaniem w towarzystwie. Marianna postanowiła sprawdzić, co powie o jej książkach.

Lily załamała ręce, kiedy stanęli przed szyldem antykwariatu, a Mariannie zrobiło jej się żal. Lily była bardziej członkiem rodziny niż służącą. Pracowała za bardzo małe pieniądze, a czyniła to z takim oddaniem i cierpliwością, że podbiła serca wszystkich domowników.

Chodziła spać późno, by pomóc swym paniom przy rozbieraniu, a wstawiała wcześniej, by naprawiać, cerować i prasować ich suknie. Zasługiwała teraz na odrobinę wypoczynku.

- Wracam za minutkę, Lily. Może zostaniesz tutaj i pooglądasz sobie kapelusze różnych dam, a ja sprawdzę tylko, czy właściciel jest w środku.

- Nie mogę tego zrobić, proszę pani. Nie powinna pani wchodzić tam beze mnie. To nie wypada.

Marianna wyszła z powozu, korzystając z pomocy woźnicy. Odwróciła się szybko do Lily, by ją zatrzymać.

- Widziałam, jak do środka weszła właśnie moja przyjaciółka. To chyba będzie odpowiednie towarzystwo, prawda?

Oczywiście skłamała, ale nie wahała się kłamać, kiedy mogła w ten sposób uszczęśliwić innych ludzi. Zastanawiała się już kiedyś nad odwiecznym problemem nieuczciwych środków i uczciwego celu, i doszła do wniosku, że wszystko zależy od konkretnego przypadku, od konkretnych środków i konkretnego celu. W tym przypadku środki były zupełnie nieszkodliwe, a przynosiły wspaniałą pożytek.

Lily oparła się wygodnie i uśmiechnęła z zadowoleniem, a Marianna szybko przeniosła ciężką torbę przez szacowną bramę „Antykwariatu Arystotelesa”.

Powinam mieć służącego, pomyślała, kiedy stanęła na grubym, tureckim dywanie. Cenne kryształki, zamknięte w szklanych pudłach przywodziły jej na myśl kosztownie wyposażone salony wielkich domów, w których ostatnio bywała. Wspaniałe obrazy olejne, przyozdabiające ściany sklepu, przypominały jej muzea, które odwiedzała przy każdej okazji. Do takich miejsc nie wchodziło się bez

lokaja lub służącej, w dodatku w starej sukni i ze zniszczoną torbą. Z pewnością to wnętrze nie przypominało sklepików tych skapców, z którymi dzisiaj rozmawiała.

Z przerażeniem pomyślała, że na pewno wszyscy na nią patrzą i krytykują jej wygląd. Zaczęła się powoli cofać do wyjścia, by uciec, zanim ktokolwiek ją rozpozna. Może wróci tu później w lepszej sukni i wypożyczy od kogoś lokaja, który poniesie jej książki. Wówczas zyska sobie o wiele większy szacunek sprzedawcy, zanim przystąpi do targów. Może w takim miejscu w ogóle nie obsługiwano podobnych jej ludzi. Może przyjmują tutaj tylko królów i królowe. Poczwała, jak żołądek kurczy jej się ze strachu i już odwróciła się do wyjścia, kiedy z wnętrza sklepu dobiegł ją znajomy głos.

- Lady Marian, prawda?

Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna udać, że nic nie słyszała. Może wtedy on uwierzy, że się pomylił. Ale mężczyźni tacy jak on nigdy się nie mylą, pomyślała, krzywiąc twarz ze złością - mylą się tylko kobiety, takie jak ona. To najlepszy przyjaciel Darleya. Spróbuje nie powtórzyć tego samego błędu i będzie nadzwyczaj uprzejma. Zresztą słyszała już jego kroki za plecami. Ułożyła usta w najmilszy ze swych uśmiechów i odwróciła się, by go przywitać.

- Dzień dobry, panie Montague - powiedziała łagodnie, nie ozdabiając tego pytaniami w rodzaju „Jak tam sprze-  
daż?” czy „Wypił pan już dzisiejszą porcję świeżej krwi?”. Utrzymywała równowagę ducha powtarzając te pytania tylko w myślach, podczas gdy młody elegant w kosztownym oliwkowym surducie i skórzanych bryczesach mierzył ją wzrokiem.

- Przyszliśmy sprzedawać, prawda? - spytał, dojrawszy jej torbę.

Marian omal się nie zakrztusiła, słysząc, jak wracają do niej jej własne słowa, choć nawet ich nie wypowiedziała. Ten człowiek miał język węża. Uśmiechnęła się słodko, co natychmiast spotkało się z podejrzliwym spojrzeniem Reginalda.

- W takim razie musiałam się pomylić. Proszę mi wybaczyć, sir. Powóz już na mnie czeka.

Bardzo lubiła wypowiadać to zdanie. Czuła się wtedy jak prawdziwa księżniczka.

Obok Montague'a pojawił się nagle krępy mężczyzna w kamizelce ze srebrnymi guzikami i monoklem, który dyndał na końcu srebrnego łańcuszka. Obrzucił spojrzeniem dwójkę młodych ludzi i bez słowa ostrzeżenia otworzył torbę, którą Marianna postawiła na dywanie.

Marianna krzyknęła zdumiona i już miała go odepchnąć, jednak powstrzymało ją przeciągłe gwizdnięcie, pełne podziwu i szacunku. W tej samej chwili poczuła na ramieniu dłoń Montague'a.

- Jacobs zna się doskonale na tych rzeczach. Jeżeli dostarcza pani albo sprzedaje starocie, to właśnie on powinien je zobaczyć.

Mężczyzna zwany Jacobsem z nabożną czcią wyjął z torby średniowieczny manuskrypt. Położył go ostrożnie na szklanej ladzie i zanim dotknął go ponownie, założył cienkie białe rękawiczki. Kiedy przewracał stronicę książki, na jego twarzy malowała się fascynacja granicząca z uniesieniem.

- Oczywiście nie zamierza pani tego sprzedawać - wymamrotał, nie odrywając rozbieganego spojrzenia od manuskryptu.

Marianna czuła na sobie ciężkie spojrzenie stojącego obok dżentelmena. Niełatwo było wprawić ją w zakłopotanie, ale w tej chwili walczyła o zachowanie godności. Całe towarzystwo z pewnością wiedziało, że Oglethorpowie nie są zamożni. Nie zdradzi żadnej tajemnicy, jeśli przyzna się, że musi sprzedać manuskrypt. Jej zakłopotanie brało się stąd, że chodziło właśnie o tę konkretną książkę. Wolałaby raczej pozbyć się wszystkich klejnotów rodzinnych. Każdy miłośnik książek pogardzałby nią za to, co zamierzała zrobić.

- Muszę - wyszeptała, w duchu posyłając Montague'a do wszystkich diabłów. O wiele łatwiej było złościć się za jej upokorzenie na tego młodzika niż na łagodnego sprzedawcę, który tak podziwiał jej cenny manuskrypt.

Jacobs pozwolił, by jego monokl wypadł i podniósł wzrok na Mariannę. Jednym spojrzeniem ocenił jej znoszone ubranie, starą torbę i zasmucony wyraz twarzy. Nie odzywając się do niej ani słowem, przywołał kogoś z wnętrza sklepu:

- Przyniesz pani herbatę i krzesło. Powiedz też woźnicy, żeby przyjechał za pół godziny.

Montague spytał sarkastycznie:

- Bo ma pani powóz, prawda, lady Marian? Nie chciałbym, żeby ten biedny chłopiec tracił czas szukając go na darmo.

Zagryzła wargę i zaczęła się modlić w duchu. Czuła, że jej nerwy są napięte do granic możliwości i lada chwila może dojść do katastrofy. Naprawdę bardzo chciała powiedzieć temu ryczącemu osłowi, co o nim myśli. Powstrzymała się jednak, posłała mu ciężkie spojrzenie i usiadła na krzesło, które podsunął jej chłopiec.

Montague wziął sobie drugie krzesło i nie czekając na zaproszenie przysiadł się do niej, po czym nachylił się nad torbą, by przejrzeć resztę jej zawartości.

- Co pan właściwie robi, panie Montague? - spytała ostro. Nikt nie byłby w stanie zachować całkowitego spokoju w towarzystwie tak aroganckiego potwora.

- Sprawdzam, ile warta jest pani dusza, lady Marian - odparł niedbale, przeglądając starą, ręcznie ilustrowaną kopię „Odysei”.

- To nie pańska sprawa, panie Montague. - Z trudem oparła się pokusie, by wyrwać mu książkę z ręki. Będzie się zachowywała, jak przystoi prawdziwej damie. Zrobi to, choćby miała zwariować.

Jacobs wciąż pochłonięty był lekturą starego manuskryptu, zaniedbując przez to pozostałych klientów. Chłopiec, który przyniósł Mariannie herbatę, pospieszył obsłużyć jakiegoś młodego dżentelmena, zainteresowanego misternie rzeźbioną szkatułką z kości słoniowej.

- To jednak jest moja sprawa, lady Marian. Kolekcjonuję stare książki. Te są nadzwyczaj rzadkie i wartościowe. Czy ma pani jakiś dowód własności?

Marianna zrozumiała w tej chwili, co znaczy zagotować się ze złości. Ogarnięta wściekłością, spoglądała groźnie na człowieka, który tak bardzo ją obraził. Całkiem możliwe, że był dosyć przystojny. Miał mocno zarysowaną szczękę, na środku brody delikatny rowek i gęste, ciemne brwi, którymi poruszał niemal nieustannie. Nigdy nie widziała, żeby się uśmiechał, ale jego usta wyglądały tak, jakby zawsze gotowe były do śmiechu. Niczego nie pragnęła w tej chwili bardziej, jak rozbić mu ten arystokratyczny, patrycjuszowski nos. Pragnęła tylko krwi - jego krwi.

Zaciskając pięści aż do bólu, odwróciła się do pana Jacobsa.

- Przepraszam pana, ale najwyraźniej trafiłam w niewłaściwe miejsce. Jeśli odda mi pan łaskawie mój manuskrypt, będę mogła natychmiast wyjść.

Jacobs otworzył usta ze zdumienia i posłał błagalne spojrzenie w stronę aroganckiego młodzieńca. Zdawało się, że jest bliski płaczu. Marianna żałowała, że nie są tylko we dwoje. Może wróci tu później i zastanie go samego. W tej chwili wyciągnęła jednak rękę po swoją książkę.

Montague podał jej filiżankę z herbatą.

- Nie robi pani tego. Złamałaby pani serce Jacobsowi. Poza tym sądzę, że wszyscy sprzedawcy, z którymi pani dotąd rozmawiała, dawali pani tylko połowę sumy, której naprawdę warte są te książki.

Marianna rzuciła mu spojrzenie zimne jak lód.

- Owszem, ale żaden z nich nie oskarżył mnie o kradzież. Byłabym panu wdzięczna, gdyby zechciał pan włożyć tę książkę do torby.

Montague wcale nie zamierzał wypuścić z dłoni „Odysei”.

- Chciałem tylko wiedzieć, czy ma pani jakieś dokumenty dotyczące tych skarbów. Tak rzadkie dzieła są o wiele cenniejsze, kiedy mają udokumentowaną historię.

Marianna zacisnęła dłonie na filiżance i starała się nie patrzeć na Reginalda. Zawsze żałowała, że nie może przeczytać książki, którą właśnie przeglądał. Ilustracje zapierały jej dech w piersiach. Próbowała przypomnieć sobie o księciu, balu i jej rodzinie.



- Należały do mojego ojczyma, sir. Nie wiem, czy zechciałyby wstać teraz z grobu, żeby opowiedzieć panu ich historię. Co nie znaczy wcale, że kiedykolwiek ją znał - dodała gorzko. Nie była w stanie wyrazić swego upokorzenia, złości i smutku, ale martwy już od lat człowiek i tak nie przejmowałyby się sarkazmem zawartym w jej słowach.

Montague uniósł lekko gęste brwi.

- Nie kolekcjonował książek?

- Nie wiedział nawet, co posiada. W przeciwnym razie sprzedałby je, tak jak sprzedał wszystkie obrazy. - Udawanie przed nim nie miałoby sensu. Potrzebowała tej szczerości, by zrównoważyć napięcie, jakie towarzyszyło jej od kilku minut - niełatwo być uprzejmym dla człowieka, którym się pogardza, ale przed którym czuje się także strach.

- Ale pani wiedziała? - Nawet nie starał się ukryć niedowierzania, z jakim zadał to pytanie.

Gdyby tylko mogła go czymś uderzyć. Albo rzucić w niego filiżanką. Albo chociaż powiedzieć otwarcie temu osłowi, co o nim myśli. Poczuliaby się o wiele, wiele lepiej. Marianna zacisnęła pięści i zacięła usta. Nie mogła mówić ze złości. Posłała mu tylko miażdżące - przynajmniej chciała, by takie było - spojrzenie.

W jego szarzielonych oczach pojawiła się na moment wesołość, jakby zrozumiał jej kłopotliwe położenie. Zaraz jednak miejsce uśmiechu zajęła zimna pogarda i Reginald Montague znów był sobą.

- To oczywiste, że gdyby zbierała pani książki, znałaby pani wartość tak dobrej biblioteki. A gdyby wiedziała pani, że antyki stały się ostatnio bardzo cenne, to bez trudu oszacowałyby pani ich cenę. Gdyby zaś była pani praw-

## *KLEJNOT*

dziwą miłośniczką książek, nawet nie przyszyłoby pani do głowy, by się z nimi rozstawać.

To była przysłowiowa kropla, przepełniająca kielich. Tylko dzięki ogromnej sile woli Marianna zdołała odstawić filiżankę, po czym wyrwała książkę z rąk Reginalda i podniosła się z miejsca.

- Moja opinia nie zmieniła się ani na jotę, panie Montague. Nadal uważam pana za ryczącego osła.

Włożyła książkę do torby i sięgnęła po manuskrypt.

Jacobs cofnął się o krok i przycisnął książkę do piersi, jakby wcale nie zamierzał jej oddać.

## *Rozdział piąty*

Sytuacja stawała się nieznośna. Marian była zbyt rozsądną kobietą, by po prostu bezradnie się rozpłakać, ale czuła, że jej oczy stają się niebezpiecznie wilgotne. Nie mogła wyjść bez manuskryptu. Nie mogła też zostać w towarzystwie pana Montague'a. Właściwie łązy mogły się okazać jedynym rozwiązaniem, ale nie chciała dać swemu prześladowcy tej satysfakcji.

- Panie Jacobs, proszę. Muszę już iść.

Podeszła do niego, wyciągając rękę, co miało być stanowczym i nakazującym gestem. Obawiała się jednak, że wygląda to raczej jak błaganie.

- Niech pani nie będzie śmieszna. - Montague nie wyciągnął „Odysei” z torby, ale wstał, kiedy i Marianna to uczyniła. - Dam pani za to czterdzieści funtów. Jestem pewien, że to więcej niż ktokolwiek dał pani za wszystkie te książki. Ten manuskrypt powinien znaleźć się w muzeum, gdzie zostanie otoczony należytą troską i gdzie wszyscy będą mogli go podziwiać.

Oświadczenie to przeraziło Jacobsa nie mniej niż żądanie zwrotu książki. Choć z pewnością nie należał do ludzi gadatliwych, jego gesty i miny były wystarczająco wymowne. Przycisnął książkę jeszcze mocniej i cofnął się o kolejny krok. Gdyby nie miotały nią w tej chwili całkiem inne emocje, Marianna wybuchnęłaby śmiechem.

Czterdzieści funtów. To była kwota ponad dwa razy większa od tej, jaką oferowano jej w innych sklepach. Wystarczyłaby na kupno trzech sukni i różnych dodatków, a jeszcze zostałyby coś na czarną godzinę. Jednak w żadnym wypadku nie mogła przyjąć pieniędzy od Montague'a.

Kiedy przez moment milczała, jakby zastanawiając się nad ofertą aroganckiego młodzieńca, Jacobs zdołał wreszcie wykrztusić:

- Pięćdziesiąt funtów, panienko. Dam za to pięćdziesiąt funtów.

Zaskoczona Marianna rzuciła mu zdziwione spojrzenie. Podejrzewała przez chwilę, że ci dwaj prowadzą jakąś grę, że Jacobs ocenia wartość książki, a pan Montague, bogaty kolekcjoner, dobija targu. Gniewny grymas, który pojawił się na obliczu Reginalda, położył jednak kres tym spekulacjom.

Po chwili milczenia Marianna skinęła niepewnie głową.

- Dziękuję panu, panie Jacobs. Jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Antykwariusz odetchnął z ulgą i uradowany pospieszył na tyły sklepu, by przynieść pieniądze. Ani na moment jednak nie wypuszczał z dłoni drogocennego manuskryptu.

Montague spojrział na nią z imponującej wysokości metra i dziewięćdziesięciu centymetrów.

- On nie jest dżentelmenem. To tylko bogaty mieszczanin.

O Boże, jak ona nie cierpiała tego człowieka! Posłała mu tylko lodowate spojrzenie i przemilczała tę idiotyczną uwagę.

On jednak postanowił zmusić ją do mówienia.

- Lepiej zrobiłaby pani sprzedając klejnoty. Sporo ludzi kupuje je znacznie chętniej niż książki.

Najwyraźniej chciał utrzcć jej nosa. Nie widziała powodu, dla którego nie miałaby mu odpowiedzieć tym samym. Nie zmieniając wyczekującej pozycji i nie odrywając spojrzenia od drzwi, za którymi zniknął Jacobs, odparła zimno:

- Klejnoty? Chyba bierze mnie pan za kogoś innego. Gdybym miała jakieś klejnoty do sprzedania, już dawno bym się ich pozbyła. - Niech wie, że zrobiła już wszystko co w jej mocy, zanim zniżyła się ostatecznie do sprzedaży książek.

- Widzę, że jest pani nie tylko wyrachowana, ale i fałszywa, moja mała złośliwa aktoreczko - odrzekł uprzejmie Montague. - Rubin i diament, które nosiła pani na ostatnim balu, mogłyby przynieść niezłą fortunę.

Każda inna kobieta już dawno by zemdłała. Marianna wiedziała, że może to być bardzo wygodny sposób na uniknięcie tak nieprzyjemnych sytuacji. Z pewnością rozmowa z tym dżentelmenem w ogóle nie miała sensu. Jeśli on rzeczywiście był dżentelmenem, bo jego zachowanie świadczyło o czymś zupełnie innym. Więc gdyby nagle zasłała, położyłaby wreszcie kres jego nieznośnej gadani-  
nie. Z drugiej strony jednak z niechęcią myślała o teatralnym upadku na podłogę. Zresztą była przekonana, że pan

Montague nie trudziłby się i nawet nie próbowałby jej łapać.

Właśnie na myśl o tym, jak Montague chwyciłby ją w ramiona, zrobiło jej się słabo. Był bardzo wysoki i nie wyglądało na to, by szeroki tors, który krył się pod oliwkowym surdudem, zapewnił jej miękki upadek. Starła się nie myśleć o tym, co znajduje się pod ubraniem tego młodzieńca. Najwyraźniej wszystkie te obelgi zmąciły jej na chwilę zmysły.

- To nie pańska sprawa, ale ten naszyjnik należy do mojej matki i jest jedyną pamiątką, jaka została po moim ojcu. Gdybym znała jakiś sposób, by go sprzedać nie łamiąc jej przy tym serca, już dawno bym to zrobiła. O wiele wygodniej jest mieć własny powóz i konia, niż nosić na szyi kamień.

Montague uniósł brwi. Docinał jej i uragał na wiele sposobów, ale ona wcale nie zachowywała się tak, jak tego oczekiwał. Nie doczekał się żadnych łez, dramatycznych omdleń czy jadowitych obelg. Właściwie nie dowiedział się niczego od tej tajemniczej, małej harpii - oprócz tego, że bardzo potrzebowała pieniędzy i że potrafiła zachowywać się jak Meduza, gdy tylko zechciała.

Omam nie przyznał się przed sobą, że jej inteligencja i siła charakteru budzą w nim pewien podziw i szacunek. Próbował udawać, że nie widzi rozpaczy, z jaką rozstaje się z ukochanym manuskrytem, ale jej reakcja na propozycję sprzedania klejnotów wskazywała już dobitnie, gdzie leżą jej priorytety. Dobrze wiedział, jak ciężko pozbywać się cennych rzeczy, i tak jak ona nie lubił zbędnych ozdób. On także wolałby zatrzymać dla siebie skarb pięknych słów niż złote błyskotki. Ale prędzej da sobie uciąć rękę niż

przyzna się przed nią do tego. Oczywiście było, że ta kobieta nie jest słodką idiotką, z jaką chciałby się ożenić Darley. Kobieta ze stali i kamienia zameczyłaby młodego hrabiego.

Kiedy powrócił Jacobs, Montague ostentacyjnie odliczył pieniądze, które miała dostać Marianna. Ona udawała, że w ogóle nie zwraca nań uwagi, jednak jej oczy śledziły każdy ruch arystokraty. Gdyby spróbował schować do kieszeni choćby szylinga, skoczyłaby na niego jak tygryś, broniąca swych młodych. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ten rodzaj głodu nie był wywołany chciwością, lecz zbyt długim postem.

Kiedy Montague skończył liczenie, schował sakiewkę do kieszeni surduta, podniósł torbę z książkami i wyciągnął rękę do młodej damy.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odwiozę panią do domu, lady Marian. Damy nie powinny samotnie przewozić tak dużych sum przez cały Londyn. Pani powóz powinien już czekać.

Reginald widział, jak w jej oczach pojawia się najpierw wściekłość, a potem podejrzliwość. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zacznie warczeć i nie wyciągnie sztyletu z tej małej, koronkowej torebki, czy też będzie pamiętać, gdzie przebywa i zachowa się jak każda dama. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

Zdecydowawszy, że nie jest godzien uprzejmości, z jaką traktowała Darleya, odwróciła się do niego plecami i wyszła, oczekując, że podrepcze za nią niczym wynajęty tragarz.

To zirytowało go bardziej niż chciałby przyznać. Gra nie zaszła jeszcze tak daleko, by ta mała jęzda tak go traktowała. Jeśli nie będzie dość ostrożny, ona wyjdzie za

Darleya, a on będzie musiał do końca życia znosić podobne zachowanie albo straci jedyne prawdziwego przyjaciela.

Kiedy wchodził za nią do wnętrza powozu, zrozumiał, że to jest jego osobisty pojedynek. Nie chodziło już o ratowanie Darleya przed nim samym, ale o ratowanie siebie. Gdy ujrzał siedzącą obok lady Marian służącą, zrozumiał, że przegrywa właśnie następną rundę. Spodziewał się, że znowu będzie z nią sam na sam.

Spokojnie i rzeczowo, jakby kontynuował przerwana rozmowę, Reginald oświadczył:

- Ostatnio coraz częściej wykonuje się kopie kosztownych klejnotów. Londyńscy złodzieje są wyjątkowo zuchwali, i o wiele bezpieczniej jest trzymać prawdziwe klejnoty w sejfie.

Lady Marian poprawiła tylko suknię i spojrzała gdzieś obok, jakby był tylko powietrzem. Jej służąca przyglądała mu się ze zdumieniem, ale będąc dobrze wychowana, nie pytała o nic głośno. Wiedząc, jak ważne jest utrzymywanie dobrych stosunków ze służącymi pięknych dam, Reginald uśmiechnął się do niej i zapewne uchyliłby kapelusza, gdyby tylko nosił takowy. Jednak kapelusze zazwyczaj go złościły, a poza tym miał tendencję do gubienia ich przy każdej okazji. Służąca wciąż jednak była ostrożna i nieco podejrzliwa.

Wiedział oczywiście, że nie należy tłumaczyć służbie osobistych spraw, ale już jako całkiem małe dziecko nauczył się omijać sprytnie różne przeszkody. Nie przestając się uśmiechać, zwrócił się raczej do służącej niż do lady Marian:

- Twoja pani jest w tej chwili trochę zła na mnie. Czy



mogłabyś jej powiedzieć, że jest mi naprawdę bardzo przykro, jeśli czymkolwiek ją uraziłem?

Podeksytowana faktem, że po raz pierwszy w życiu rozmawia z tak eleganckim dżentelmenem, Lily poruszyła nerwowo rękami, spojrzała na kamienną twarz Marianny i z lękiem odpowiedziała Reginaldowi:

- Ona chyba nie przyjmie moich przeprosin, jaśnie panie.  
- Nie mów do mnie „jaśnie panie”. Po prostu „panie Montague”. Myślę, że to wyjaśnia powściągliwe zachowanie tej damy. Ona nie przyjmuje przeprosin od tych, którzy nie dorównują jej szlachetnym urodzeniem.

Natychmiast obdarzony został wściekłym spojrzeniem Marianny. Nigdy nie widział jeszcze tak cudownie błyszczących oczu. Nic dziwnego, że Darley stracił głowę. Gdyby Reginald nie wiedział, na co naprawdę stać tę tygrysięcę, zastanowiłby się pewnie, czy nie stanąć w szranki ze swoim przyjacielem. Choć oczywiście nie zamierzał się żenić. Wciąż uśmiechając się po przyjacielsku, spróbował dotknąć lady Marian w inny sposób.

- Czy mogłabyś wytłumaczyć tej pani, że jestem bardzo rozsądnym człowiekiem? Nie chwałę się przed wszystkimi moją kolekcją i nie zamierzam tego robić nawet w towarzystwie innego kolekcjonera. Sekrety tej pani zostaną zachowane.

Ramiona lady Marian jakby opadły z ulgą, a ona sama odwróciła się do okna i oglądała widoki. Jej służąca nerwowo zaciskała i rozprostowywała palce nie wiedząc, jak ma się zachować w tej sytuacji. Skazany chwilowo na pełnienie funkcji tragarza i lokaja, Reginald postanowił porozmawiać ze służącą, skoro jej pani nie chciała się do niego odzywać.

- Czy panie wybierają się na bal u księcia? - spytał uprzejmie, jakby rozmowy ze służbą nie były dla niego niczym niezwykłym. Zważywszy na charakter jego nowego lokaja, wkrótce rzeczywiście mógł nabrać podobnych przyzwyczajień.

Służąca lady Marian natychmiast się ożywiła.

- O tak. Zamierzają nawet zamówić suknie u modystki na tę okazję.

Reginald uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że ktokolwiek inny może szyć suknie.

Marianna parsknęła nieuprzejmie, ale nie odwróciła twarzy od okna. Służąca zdenerwowała się, zrozumiałwszy, że powiedziała coś niewłaściwego. Kiedy milczała nieco za długo, Marianna spojrzała wreszcie na swego towarzysza. Reginald zauważył na jej twarzy raczej rezygnację niż złość, wywołaną niedyskrecją służącej. To zaskakujące spostrzeżenie wytrąciło go na moment z równowagi.

- Większość mieszkańców świata sama szyje sobie suknie, panie Montague. Tylko niewielu wynajmuje szwaczkę, a jedynie najbogatsi i najlepiej sytuowani mogą pozwolić sobie na modystkę. - Lady Marian ponownie odwróciła się do okna, jakby ta uwaga była lekcją, nad którą Reginald powinien się dobrze zastanowić.

- Nie wierzę, żeby chciała mi pani oznajmić w ten sposób, że zamierza pani podbić Londyn w sukniach uszytych w domu.

Jego spojrzenie spoczęło na brunatnej, bawełnianej sukience, w którą ubrana była Marianna. Rzeczywiście, mógł ją uszyć ktoś ze służby. Tak jak i tę, w której widział ją podczas pierwszego spotkania w gospodzie. Ale suknia, którą miała na sobie w czasie balu, nie ustępowała niczym

kreacjom, jakimi pyszniły się inne damy. Czyżby znowu chciała go oszukać?

Marianna jeszcze raz obrzuciła go urażonym spojrzeniem, a kiedy Lily nie ośmieliła się już otworzyć ust, rozwiąła nękające go wątpliwości:

- Nie obchodzi mnie zbyt, w co pan wierzy. Pan i panu podobni zapewne nie liczą się z pieniędzmi i zaciągają ogromne pożyczki, żeby pozwolić sobie na najdroższych krawców, a potem i tak wszystko musi zwracać rodzina. My wolimy żyć uczciwie. Lily jest bardzo dobrą szwaczką. Dzięki jej talentom i naszym wspólnym wysiłkom dajemy sobie doskonale radę.

Powóz zatrzymał się na niezbyt eleganckiej ulicy, ale położonej w pobliżu bogatych rezydencji w Mayfair. Reginald nie przyglądał się jednak okolicy, gdyż myślał właśnie nad tym, jak zakończyć to spotkanie w pokojowej atmosferze. Z jednej strony trudno mu było uwierzyć w choćby jedno słowo, które padło z ust tej kobiety, z drugiej zaś strony nie wyobrażał sobie, by jakikolwiek oszust mógł być tak brutalnie szczery. Jeśli naprawdę chciał ją przechytrzyć i przejrzeć jej plan, musiał częściej przebywać w jej towarzystwie. Najpierw jednak musiał przygłodzić pióra, które sam nastroszył. Niestety, o wiele łatwiej i przyjemniej było rozsierdzić młodą damę, niż ją potem obłaskawiać.

- Pozwoli więc pani, że pogratuluję jej znalezienia takiego skarbu. Mam nadzieję, że pani służąca otrzymuje odpowiednią zapłatę. Talenty należy przecież wynagradzać.

Z tymi słowami Reginald otworzył drzwi i wysiadł z powozu, ciągnąc za sobą ciężką torbę. Lady Marian wpatrywała się w niego z wyrazem najwyższego zdumienia.

Po chwili zmuszona była jednak wysiąść i skorzystać przy tym z jego pomocy. Kiedy stanęła już przed nim, spojrzała znacząco na kieszeń, w której schowane były jej pieniądze. Reginald zastanawiał się przez chwilę, czy nie zmusić jej do poproszenia o sakiewkę, ale z żalem odrzucił ten pomysł - nawet on nie mógł zniżyć się do takich chwytów.

- Jeśli naprawdę chce pani zatrzymać resztę swojej biblioteki, proszę nie zapominać o tym, co mówiłem o fałszywej biżuterii - przypomniał jej ściszone głosem, kiedy służąca stanęła kilka kroków dalej, cierpliwie czekając na swą panią.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego interesuje się pan moją biżuterią. Prawdę mówiąc, w ogóle pana nie rozumiem. Mój woźnica odwiezie pana pod wskazany adres.  
- Wzięła od niego sakiewkę, odwróciła się i ruszyła w stronę swego domu.

Reginald obserwował ją z podziwem. Potrafiła zachowywać się dumnie niczym księżniczka, nawet kiedy ktoś ją porządnie rozzłościł. Choćby teraz, kiedy odprawiła go w taki sposób, jakby był jej służącym, a nie synem hrabiego. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ma zamiar traktować go raczej jak lokaja niż arystokratę. Podejrzewał, że lady Marian i jej rodzina nie nabrali jeszcze wielkomięjskich manier.

Podał woźnicy adres swego mieszkania, gdyż nie chciał już wracać do sklepu. Ta młoda dama byłaby zapewne bardzo uradowana, gdyby dowiedziała się, że Reginald jest właścicielem sklepu, a nie jego klientem. Opowiedziałyby o tym wszystkim z towarzystwa i zmusiłaby go tym samym, by wycofał się na dłużej z życia publicznego.

Jednak on spotykał się już z o wiele bardziej podejrzliwymi osobami i żadna z nich nie domyślała się nawet, że ma do czynienia z kimś więcej niż tylko ekscentrycznym kolekcjonerem antyków. Lady Marian na pewno także nie przypuszczała, że „ten ryczący osioł” chciał zdobyć jej manuskrypt nie po to, by ozdobić nim swą kolekcję, lecz by go odsprzedać. Był trochę zły na Jacobsa, który zachowywał się tak, jakby targował się z nim o tę książkę. Niełatwo będzie teraz sprzedać ją z zyskiem. Choć każde muzeum chętnie umieściłoby ją w swoich zbiorach, żadne z nich nie miało aż tylu pieniędzy.

Może powinien powiedzieć Darleyowi, że jego ukochana interesuje się literaturą, a szczególnie rzadkimi średnio-wiecznymi manuskryptami. Darley był dość bogaty, by odkupić tę przeklętą książkę i podarować ją Mariannie jako prezent zaręczynowy. Oczywiście, gdyby tylko młody hrabia zdał sobie sprawę, że jego wybranka nie jest całkowicie pozbawiona rozumu, natychmiast zamieniłby się w zająca i uciekł gdzie pieprz rośnie. Zbyt długo pozostawał pod pantoflem swej inteligentnej matki, by chciał spędzić resztę życia z podobną do niej kobietą.

Reginald zabawiał się obmyśleniem różnych intryg, podczas gdy powóz przemierzał powoli ulice Londynu. Wynajął już człowieka z Bow Street, który miał zbadać pochodzenie tajemniczej damy, jednak sam zaczynał już wierzyć, że jest ona tym, za kogo się podaje. Nawet bardzo dobra aktorka nie potrafiłaby odegrać tak naturalnie wyniosłości i dumy, z jaką odprawiła go dzisiaj lady Marian. Takie rzeczy ma się we krwi. Aktorka z pewnością popadłaby w przesadę, dodałaby jakiś gest czy grymas, mający podkreślić jej niezadowolenie. Ta dama po prostu

## *KLEJNOT*

odwróciła się od niego i powiedziała wszystko, nie wywiadając ani słowa.

Ośmieliłby się nawet stwierdzić, że była ona prawdziwą damą, tyle że o dość nieprzyjemnym charakterze. Teraz, kiedy szuka bogatego męża, musi chyba uczyć się panowania nad swymi emocjami. Dzisiaj udało mu się raz czy dwa wyprowadzić ją z równowagi, choć tylko raz dała upust prawdziwym uczuciom. Zabawnie byłoby sprowokować ją w obecności Darleya i zobaczyć, jak długo będzie w stanie panować nad sobą.

Kiedy Reginald wysiadł z powozu i odprawił woźnicę, jego myśli wciąż krążyły wokół tego pomysłu. Może uda mu się osiągnąć cel, zanim jeszcze ludzie z Bow Street wykonają swoje zadanie? Musi tylko pozostawać tak długo w towarzystwie ślicznej lady Marian i Darleya, aż jej cierpliwość wyczerpie się do reszty.

A najłatwiej dokona tego adorując nieśmiałą pannę Jessikę.

## *Rozdział szósty*

O'Toole, oddaj zegarek! - Reginald spojrział w lustro, poprawiając jedwabny fular i wrzeszcząc jednocześnie na krnąbrnego lokaja. Nowy służący nie radził sobie najlepiej z krawatami, apaszkami i fularami, ale jego ręce były niezwykle zręczne w całkiem innych sytuacjach.

Lokaj z niewinną miną czyścił zegarek chusteczką, po czym oddał go swemu chlebodawcy.

- Była na nim taka okropna plamka, jaśnie panie, a ja muszę przecież zająć czymś ręce, jeśli rozumie pan, o czym mówię.

- Nie mam żadnego tytułu, nie musisz robić ze mnie jaśnie pana, i trzymaj te swoje lepkie ręce przy sobie, jeśli nie chcesz skończyć w Newgate. Skłonność do złodziejstwa to u lokaja najmniej pożądana cecha.

O'Toole zamasztył gestem strącił jakiś niewidzialny pyłek z kosztownego ubrania swego pana. Czarny frak był doskonale dopasowany do sylwetki młodego arystokraty - ani jedna fałda nie psuła idealnie gładkiej powierzchni,

począwszy od szerokich ramion, aż do wąskiej, ciasno opiętej talii. O'Toole podzielał poglądy swego chlebodawcy w kwestii krochmalenia kołnierza, choć bez takowego trudno było ułożyć fular w prawdziwie elegancki sposób. Pan Montague musiał więc zadowolić się epitetem „imponujący”, zamiast „elegancki”. Śnieżnobiała koszula, modna kamizelka przetykana złotą nicią i złoty zegarek podkreślały jeszcze mocniej to wrażenie. Poza fularem, wszystko to było zasługą nowego lokaja.

- Przecież to nie kradzież, skoro potem oddaję - odparł nonszalancko O'Toole.

Reginald zachnął się tylko, wziął do ręki laskę i kapelusz, i ruszył do drzwi.

- Nie musisz na mnie czekać. Jeszcze potrafię sam się rozebrać. Tylko zostaw służące w spokoju. Powiem Jasperowi, żeby cię pilnował, skoro sam nie możesz utrzymać rąk przy sobie.

Ukryta pod strzechą rudych włosów, pokryta piegami twarz O'Toole'a wykrzywiła się w szelmowskim uśmiechu.

- To te panny nie dają mi spokoju. Chciałby pan, żebym spędził cały wieczór na czytaniu?

Reginald nie miał już sił na sprzeczkę z bezczelnym lokajem, zatrzasnął więc drzwi i ruszył schodami w dół. Nadal zastanawiał się, dlaczego przyszedł mu do głowy szalony pomysł zatrudnienia złodziejaska z ulicy. Gdyby miał choć trochę rozsądku, natychmiast wyrzuciłby O'Toole'a na bruk.

Musiał jednak przyznać, że ten człowiek doskonale znał swój zawód. Wypastował wszystkie buty, dbał o to, by bielizna Reginalda zawsze była śnieżnobiała, a jego płaszcze i surduty idealnie wyprasowane. A wszystko to robił za



całkiem niską pensję. Człowiek jego pokroju wart był górę złota, które można by kupić za pieniądze zaoszczędzone na pralni i krawcu. Reginald nie osiągał aż tak wielkich zysków, by nie brać pod uwagę tych wydatków.

Uświadomił to sobie jeszcze bardziej, kiedy wszedł do powozu, na który mógł sobie pozwolić zaledwie od kilku miesięcy. Musiał wydawać naprawdę spore kwoty, by zyskać sobie reputację bogatego arystokraty, bez której nie byłby w stanie czerpać zysków ze swego interesu. Musiał pojawiać się w najlepszych domach i przebywać w najlepszym towarzystwie, by przy każdej okazji kierować bogaczy do swego sklepu. Ponieważ wszyscy uważali go za kolekcjonera o wyśmienitym guście, korzystali z jego rady, gdy chcieli kupić lub sprzedać jakąś dobrą książkę. Dzięki temu Reginald zbierał samą śmietankę i utrzymywał najlepszy antykwariat w Londynie. Jak dotąd nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, że młodszy syn hrabiego Mellon miał coś wspólnego z „Antykwariatem Arystotelesa” - poza zamiłowaniem do książek, oczywiście. Reginald zamierzał nadal utrzymywać wszystkich w nieświadomości.

Jednak powóz, mieszkanie w śródmieściu i kilka wspa-  
niałych wierzchowców w Newmarket kosztowały go wiele  
trudu. Rodzina życzyła sobie, by ożenił się z jakąś  
arystokratką i wybrała mu nawet kandydatkę, która od-  
powiadała wymaganiom, jednak Reginald nie przyjął tego  
zaszczytu. Nie miał nic przeciwko kobietom, oprócz tego,  
że większość z nich była głupiutka i frywolna. Przed  
wszystkim cenił sobie niezależność. Nie chciał spowiadać  
się przed żoną z każdego dnia i usprawiedliwiać wydanie  
każdego pensa. Cenił się znacznie wyżej - jego ojciec

uważał, że o wiele za wysoko. Hrabia przestał utrzymywać swego syna po kłótni dotyczącej małżeństwa.

W ten sposób Reginald dość szybko poznał smak prawdziwego życia. Jeśli chciał być całkiem samodzielny, to musiał uniezależnić się także od swej rodziny. Nie mógł przyjąć ich pieniędzy, odrzucając jednocześnie związane z tym wymagania. Zebrał więc to, co zostało mu z pieniędzy podarowanych niegdyś przez ojca, fundusze, które zainwestował na giełdzie, a także to, co wygrał na wyścigach, i ruszył do Londynu, by tam szukać szczęścia i niezależności.

Po wszystkich latach wyrzeczeń żył całkiem dostatnio. Kiedy rozpoczynał działalność, zaciągnął wiele długów, by prowadzić życie na tym samym poziomie jak w rodzinnym domu, teraz jednak mógł je wreszcie spłacić. Zrozumiał już, czym różni się oszczędność od skąpstwa. Mógł sobie pozwolić na utrzymanie dwóch powozów i dwóch koni w mieście, ale znacznie rozsądniej było zadowolić się jednym, zwłaszcza biorąc pod uwagę wysokie koszty utrzymania w Londynie. Dzięki zaoszczędzonym w ten sposób pieniądzom, mógł kupować cenne manuskrypty, jak ten, który przyniosła lady Marian. Większe zakupy niosły ze sobą większe zyski i właśnie z takich transakcji Reginald czerpał najwięcej korzyści - zaoszczędzony pens mógł przynieść całą fortunę. Młody pan Montague nawet polubił tę grę.

Nie mógł jednak dopuścić, by w towarzystwie dowiedziano się, że jest sklepikarzem. Prawdę znał tylko Darley, od którego Reginald musiał pożyczyć fundusze na pierwsze inwestycje. Wicehrabia dostał już swoje pieniądze wraz z odsetkami i jak dotąd nie pisał ani słówka na ten temat.

Dla takiego przyjaciela Reginald gotów był poruszać góry. Zrobi też wszystko, by uchronić go przed tym katastrofalnym małżeństwem.

Snując takie rozmyślania dotarł wreszcie na raut, gdzie -jak go zapewniano - miała się także pojawić lady Marian i jej rodzina. Reginald oddał kapelusz i laskę służącemu, przywitał się z gospodynią i rozpoczął polowanie.

Przyjęcie nie zgromadziło najszacowniejszych przedstawicieli towarzystwa, ale wszyscy goście byli niezwykle poważani i cieszyli się powszechnym szacunkiem. Reginald z trudem powstrzymywał się od ziewania. Dawno już przestały go interesować złośliwie plotki, flirtowanie i wystawne rozrywki, do których ograniczała się egzystencja większości arystokracji. Musiał jednak bywać na wszystkich tych przyjęciach, rautach i balach, by zdobywać cenne informacje o ewentualnych nabytkach, i by przysparzać sobie coraz to nowych klientów. Tylko to przyciągało go tutaj. Niestety, tym razem nie spotkał bogatych i lekkomyślnych arystokratów, którzy przynosili tak wielki zysk jego ekskluzywnemu sklepowi.

Reginald przyszedł tutaj tylko ze względu na Darleya. Uśmiechnął się szarmancko do nieśmiałej Jessiki, która jako pierwsza zauważyła jego przybycie. On był cynicznym trzydziestodwulatkiem, ona zaś naiwną siedemnastoletnią panną, jednak różnica wieku nie stanowiła zazwyczaj żadnej przeszkody dla ambitnych mam. Oczywiście nie zamierzał wzbudzać w tym dziecku jakichś prawdziwych namiętności, nie przypuszczał zresztą, by w tym wieku potrafiła już obdarzyć kogoś stałym uczuciem. Chciał jedynie znaleźć pretekst, by od czasu do czasu przebywać w jej towarzystwie i jednocześnie prowokować lady Marian

w obecności Darleya. Nie przypuszczał, by trwało to dłużej niż zapalenie świecy, nie miał więc nawet czasu na romantyczne uniesienia.

Skłonił się grzecznie przed lady Grace, pozdrowił nieznacznym skinieniem głowy podejrzliwą lady Marian, wreszcie stanął przed śliczną Jessiką.

- Panno Oglethorp, ośmielę się zauważyć, że wygląda pani dziś po prostu czarująco. Czy poznała już pani moja kuzynkę, Mary? Stoi tam niedaleko. - Reginald zwrócił się teraz do podekscytowanej mamy Jessiki. - Czy mógłbym pozbawić panią na moment towarzystwa pani córki? Mary bardzo chciała ją poznać. Zdaje się, że są w tym samym wieku.

Lady Grace zgodziła się bez chwili wahania. Wszyscy znali Reginalda Montague'a. Choć był tylko „wielce szanownym panem”, uważano go za całkiem niezłą partię. Pochodził z bardzo bogatej rodziny i ubierał się z arogancją właściwą prawdziwym bogaczom, sądzono więc, że i on jest zamożny. Nic nie splamiło jeszcze jego doskonałej reputacji. W dodatku był przyjacielem lorda Darley, który sam uchodził za wcielenie dobroci i wszystkiego, co godne szacunku. Jak mogłaby pozbawić Jessikę tej okazji?

Marianna zmarszczyła gniewnie brwi, dobrze wiedząc, o czym myśli jej matka. Ona jednak znała tego łajdaka trochę lepiej niż lady Grace. Podejrzewała, że przebiegły pan Montague knuje coś po cichu, gdyż mężczyźni z jego sfer i w jego wieku nie interesowali się takimi podlotkami jak Jessica. Marian odetchnęła z ulgą, kiedy powrócił do niej Darley, który wybrał się przed chwilą po kieliszek ponczu.

- Twój przyjaciel, pan Montague, był na tyle łaskawy,

że poprosił Jessikę, by poznała jego kuzynkę - oznajmiła Marianna, uśmiechając się z zakłopotaniem. - Mam nadzieję, że moja siostrzyczka będzie się odpowiednio zachowywać. Jest jeszcze bardzo młoda.

Darley ze zdumieniem spojrział w stronę swego przyjaciela. Reginald nie pojawiał się zazwyczaj na takich przyjęciach, a swoich krewnych prawie nie zauważał i rzadko kiedy raczył się do nich odezwać. Jego dzisiejsze zachowanie było więc bardzo zaskakujące.

- Możemy tam pójść i popilnować jej, jeśli sobie tego życzysz - zaproponował wicehrabia, podając rękę swej towarzyszce. Nie był przecież głupcem i wiedział, że jego przyjaciel przeżarty jest na wskroś cynizmem. Teraz czuł się więc w pewnym stopniu odpowiedzialny za nieśmiałą pannę Oglethorp, którą sam przecież poznał z Reginaldem.

Marianna z wdzięcznością przyjęła jego propozycję i wkrótce oboje znaleźli się w towarzystwie, któremu Montague przedstawił Jessikę. Podekscytowana siostra Marianny chłonęła wszystkie żarciki i docinki, jakimi przerzucali się ci młodzi ludzie, choć sama była zbyt nieśmiała, by wtrącić choć jedno słowo.

Reginald odsunął się na bok, robiąc miejsce nowo przybyłej parze, po czym zwrócił się do Marianny:

- Cieszę się, że zechcieliście dołączyć do nas. Wychwalamy właśnie zalety najpiękniejszych dam z towarzystwa i zastanawiamy się, która z nich zdobędzie rękę księcia Devonshire. Jestem pewien, że lady Marian ma już ustalone zdanie na ten temat.

- Ponieważ nie znam tego dżentelmena, nie wiem też, jakie kobiety podobają mu się najbardziej, sir. Poza

tym nie jestem obiektywna. Uważam, że moja siostra jest ucieleśnieniem wszystkich zalet idealnej damy.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku Jessice, która zarumieniła się nagle. Nie przychodziła jej do głowy żadna dowcipna odpowiedź, więc szarmancki lord Darley natychmiast zaofiarował się z pomocą:

- Panna Oglethorp jest niczym rzadka orchidea w ogrodzie pełnym pięknych kwiatów. I tak jak w przypadku pięknych kwiatów, tylko mądry człowiek potrafi w pełni docenić jej wartość.

Ktoś roześmiał się głośno.

- W takim razie nie dotyczy to Devonshire. On nie zauważy żadnej kobiety, jeśli nie będzie obwieszona złotem i klejnotami.

- Nie może przecież traktować wszystkich kobiet niczym wieszaki na kosztowności - zaprotestował Montague.

- Kiedyś w końcu musi wybrać jedną z nich. Gdybyśmy tak podarowali lady Marian złotą suknię i aureolę... Ciekawe jakie miałyby szanse?

Marianna spojrzała nań z irytacją, ale odparła słodkim głosem:

- Miałabym spore szanse na to, żeby się przewrócić pod ciężarem wszystkich tych cudowności. Wcale nie marzę o tym, by zostać księżną.

Darley posłał jej pełne uznania spojrzenie, a Reginald ukrył grymas rozczarowania. Runda pierwsza: jeden do zera. Po chwili odwrócił się do swej młodej kuzynki.

- Mary, ty poznałaś już tego dżentelmena. Jak sądzisz, wolałby ożenić się z wykształconą i odczytaną kobietą czy tylko z piękną?

Młoda dama roześmiała się perliście.

- Reginaldzie, a gdzie ty byś znalazł odczytaną kobietę? Nie, nie patrz nawet w moją stronę. Nie widziałam kart książki, odkąd skończyłam szkołę.

Jessica wtrąciła nieśmiało:

- Marianna dużo czyta. Ciągłe przebywa w bibliotece.

Do dyskusji włączył się nagle jakiś młody dżentelmen, który chciał olśnić Jessikę inteligencją i dowcipem:

- Być może, ale kto wie, co ona tam naprawdę robi? Ciemne zakamarki bibliotek często oferują znacznie ciekawsze przyjemności niż czytanie.

Rozmowa wkraczała na niebezpieczne tory i stawała się zbyt wieloznaczna dla tak niewinnej, młodej osobki jak Jessica. Marianna rzuciła Darleyowi porozumiewawcze spojrzenie, ale to Montague odezwał się pierwszy.

- Harrington, przypuszczam, że w twojej pustej łepety nie nigdy nie brakuje światła, bo jest dziurawa jak rzeszoto. Panno Oglethorp, czy zechce pani przejść ze mną do stołu?

Marianna i Darley ruszyli w ślad za Reginaldem, zostawiając za plecami rozplotkowane i rozchichotane towarzystwo. Marianna spojrzała kątem oka na swego towarzysza. Ciekawe, jak lord Darley przyjął wieści o jej literackich zainteresowaniach? Młody arystokrata ściągnął gniewnie brwi, ale mogła to być reakcja na głupią uwagę Harringtona. Teraz jeszcze bardziej bała się powiedzieć cokolwiek, co uczyniłoby ją w oczach wicehrabiego mniej atrakcyjną kandydatką na żonę. Niech diabli wezmą tego Montague'a! Po co w ogóle wspominał o książkach? Musiała jak najszybciej zaprowadzić Darleya do ołtarza.

Kiedy stanęli przy stole, Reginald zwrócił się do Marianny i podał jej talerz.

- Pani jest intelektualistką, lady Marian? Nigdy bym nie przypuszczał.

Świadomie ją prowokował. Widziała to wyzwanie w jego roześmianych oczach. Chciał, żeby go Spoliczkowała albo zrobiła coś równie niestosownego. Marianna wiedziała, że gwałtowny charakter i cięty język to jej najgorsze wody, a ten człowiek właśnie od tej strony ją zaatakował. Nie miała pojęcia, dlaczego to robi, ale w żadnym razie nie zamierzała się poddawać.

- Ośmielę się zauważyć, że jest jeszcze mnóstwo rzeczy, o których nigdy pan się nie dowie, panie Montague. Trzeba mieć naprawdę otwarty umysł, by dojrzeć wszystkie możliwości.

Z niewinną miną odebrała od niego talerz i zaczęła napełniać go różnymi smakołykami ze stołu.

Darley zachichotał i sięgnął po nóż, by odkroić kawałek ciasta dla Jessiki.

- Ta dama jest trochę za szybka, żeby dać się złapać na twoją przynętę, stary przyjacielu. Daj jej wreszcie spokój i pozwól nam się bawić.

Reginald zdał sobie sprawę, że jeśli nadal będzie zaczepiał lady Marian, to zrobi z siebie głupca. Darley był tak zaślepiony, że nie widział, co dzieje się tuż przed nim. Ta dama właściwie przyznała, że interesuje się literaturą. Jej inteligentne, dowcipne i szybkie odpowiedzi powinny uczynić wicehrabiego bardziej podejrzliwym. Jednak jego przyjaciel nie był w stanie dostrzec nic poza ponętymi krągłościami i przyjemnym głosem. Najwyraźniej atrakcyjna powierzchowność przysłoniła mu całą resztę. Służąca-modystka potrafiła podkreślić kobiece atuty swej pani, nie wykraczając jednocześnie poza normy przyzwoitości.



- Przepraszam, jeśli towarzystwo mojej kuzynki uraziło panią w czymkolwiek, panno Oglethorp - Reginald zwrócił się do Jessiki, próbując uciszyć w ten sposób niespokojne sumienie. - Przyjaciele Mary bywają czasem nieznośni. Zapomniałem o tym.

Jessica rzuciła mu puste spojrzenie, po czym szybko opuściła wzrok.

- Wydaje mi się, że byli bardzo uprzejmi, choć nie rozumiem, co mieli na myśli, mówiąc o ciemnych zakamarkach. Trudno przecież czytać w ciemnym pokoju. Marianna zawsze zapala lampkę.

Za moment Darley będzie się tarzał ze śmiechu, pomyślał Reginald z rozgoryczeniem. Adorując Jessikę wychodził na ośła, dowodząc w ten sposób słuszności sądu wygłoszonego już dwukrotnie przez lady Marian. Lepiej zrobiłby zalecając się do tej przebiegłej damy.

Nie zdążył jeszcze dokończyć tej myśli, gdy poczuł jakieś dziwne, ekscytujące drżenie, jakby tajemnicze przecucie. Reginald spojrzął na Mariannę, która ugryzła właśnie kawałek marcepanu i delikatnie oblizała usta. Nie była olśniewająco piękna, ale emanowała z niej zmysłowość doświadczonyj kurtyzany. Teraz rozumiał, dlaczego Darley był tak zaślepiiony.

Uwodzenie lady Marian da mu o wiele więcej satysfakcji niż uśmiechanie się do ślicznej Jessiki.

Wtedy Darley pozna niestałą naturę swej ukochanej.

## *Rozdział siódmy*

Pan Montague to bardzo miły młody człowiek - oznajmiła lady Grace beznamiętnym tonem, rozcinając pieczęć kolejnego listu. Przed nią leżała cała sterta nie przeczytanej jeszcze korespondencji. - Naprawdę nie wiem, co masz przeciwko niemu, Marianno.

Marianna popijała właśnie poranną herbatę, starając się nie patrzeć na okropny obraz, zdobiący przeciwległą ścianę.

- On wcale nie jest taki, jaki się wydaje, mamó. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak nagle zainteresował się Jessiką na wczorajszym przyjęciu. A przysyłanie kwiatów w ogóle nie leży w jego charakterze.

- Te kwiaty są dla nas wszystkich, kochanie. Nie możesz przywiązywać do nich zbyt dużej wagi. I skąd niby znasz charakter tego dżentelmena? Ledwie zamieniłaś z nim kilka słów. - Lady Grace odłożyła kopertę na stos przyjętych już wcześniej zaproszeń, odsunęła kilka innych na bok i zaczęła otwierać następny list.

Marianna nie mogła się przyznać, że zamieniła z tym

człowiekiem więcej niż kilka słów. Gdyby powiedziała, że już nie raz obrzucali się obelgami, matka mogłaby uznać, że wina leży po jej stronie. Wołała też nie ujawniać, skąd wzięła pieniądze. Lady Grace zachowywała się czasem jak histeryczka, a z pewnością nie ucieszyłaby się, słysząc, jakie miejsca odwiedzała jej córka, by sprzedać kilka książek.

Zamiast więc opowiadać o kłótni w antykwariacie, Marianna zajęła się swoją grzanką.

- Wiem, że muszę być dla niego miła ze względu na Darleya, ale chyba niełatwo przyjdzie mi go polubić. - Nie mogła też powiedzieć, że nie lubi tego dziwnego uczucia, wywołanego jego spojrzeniami. Z pewnością nie był to temat do dyskusji przy śniadaniu. Pamiętała jednak doskonale, jak spoczął na niej taksujący wzrok Montague'a, jak po jej plecach przeszły dreszcze i jak zrobiło jej się słabo. Pomimo nieskazitelnej opinii ten człowiek z pewnością był rozpustnikiem. Żaden inny dżentelmen nie ośmielił się patrzeć na nią w ten sposób.

Zdumiony okrzyk matki wyrwał ją z tych rozmyślań i przywołał do rzeczywistości.

- Cóż to takiego?! Chyba nie dostałyśmy zaproszenia na bal u jakiegoś innego księcia? Te suknie i tak będą kosztować majątek.

- Myślisz, że możemy jeszcze odwołać zamówienie?  
- spytała lady Grace cicho, wpatrując się w list.

Tym razem Marianna naprawdę się zaniepokoiła.

- Co to jest? Musimy wracać do domu? Coś się stało?

Matka podała jej list, wciąż unosząc brwi ze zdumienia.

- Właściwie to nie wiem, co to wszystko oznacza, kochanie. Dziedzic zapewniał mnie, że ten człowiek jest na

wskroś uczciwy. Chyba nie prosiłby o taką sumę bez powodu. Może przypuszcza, że będziemy musieli zaciągnąć długi, kiedy nadejdą żniwa?

Marianna szybko przeczytała list i z przerażeniem zaczęła czytać go jeszcze raz, by upewnić się, że wszystko dobrze zrozumiała. Kiedy żył jeszcze dziedzic Oglethorp, to on zawiadywał finansami rodziny, o majątek zaś dbał rządcą. Po śmierci dziedzica tenże rządcą i radca prawny zajęli się większością spraw finansowych, pozostawiając Marian tylko codzienne wydatki, na które przeznaczali skromne sumy. Marianna zrozumiała teraz, że był to błąd. Powinna była bardziej zainteresować się stanem majątkowym rodziny.

- Piszą tutaj, że podatki nie zostały zapłacone w terminie, a odsetki urosły do takiej wysokości, że trzeba by zastawić dom - wymamrotała do siebie raczej niż do matki.

- Nie możemy zapłacić takiej sumy, dopóki nie skończą się żniwa, prawda? Dlaczego przysłali to do nas? Przecież to oni mają zajmować się majątkiem, czy nie tak?

- Piszą, że nie ma pieniędzy na spłacenie długów. Wydali wszystko na nasiona i płace robotników. Musimy się zapożyczyć. Jeżeli zbiory będą udane, zwrócimy pieniądze po żniwach.

Lady Grace spojrzała na nią pytająco.

- Jak zaciąga się pożyczki? Czyż nie po to zatrudniliśmy prawnika?

Marian powoli złożyła list.

- On nie znalazł nikogo, kto zechciałby udzielić aż tak dużej pożyczki. Ma nadzieję, że nam się poszczęści lepiej, i że pomogą nam nasi przyjaciele w Londynie.

Lady Grace podniosła filizankę i wpatrywała się w nią zdumionym wzrokiem.

- Mamy prosić naszych przyjaciół o pieniądze? Wcale mi się to nie podoba.

Marianna zmięta list w jednej dłoni i odsunęła się od stołu.

- Nie przejmuj się tym za bardzo. Może uda mi się jeszcze odwołać zamówienie. Jakoś sobie z tym poradzę.

Matka odetchnęła z ulgą.

- Jestem pewna, że lord Darley poprosi cię wkrótce o rękę. Gdy tylko będziesz zaręczona, poprosimy go o radę i pomoc. Musimy tylko trochę poczekać.

Marianna wyszła szybko z jadalni i pobiegła do gabinetu, swej ulubionej kryjówki w tym domu, który nie posiadał biblioteki. Odwołanie zamówienia na suknie niewiele by pomogło. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze były niczym w porównaniu z kwotą wymienioną w liście. Po długich targach z modystką Marianna miała jeszcze większą część z owych pięćdziesięciu funtów zarobionych na manuskrypcie, ale nawet to nie wystarczało na pokrycie podatków i odsetek. Dlaczego nie poinformowano ich o tym wcześniej? Być może gdyby nie pojechały do Londynu, udałoby im się zapobiec jakoś tym kłopotom.

Wówczas jednak ta sama sytuacja powtórzyłaby się w przyszłym roku, a gdyby zbiory były nieudane, dom zostałby sprzedany. Musiały więc przyjechać do stolicy i znaleźć mężów, którzy wsparliby rodzinę. Na razie jednak zmuszone były radzić sobie same. Marianna po raz kolejny postanowiła, że jak najszybciej musi doprowadzić Darleya do ołtarza.

Gdyby była mężczyzną, poszłaby któregoś wieczoru do klubu i napiła się z kimś, kto chętnie pożyczylby jej pieniądze na kilka miesięcy. Jednak kobiety pozbawione

były takiej możliwości. Nie mogła też poprosić Darleya o pożyczkę. Gdyby byli już zaręczeni, udawałaby całkowicie bezradną i poprosiła go o radę, jednak w tej chwili byłoby to wysoce niestosowne. Z drugiej strony, mogły upłynąć długie tygodnie, a nawet miesiące, zanim młody wicehrabia będzie miał dość odwagi, by poprosić ją o rękę. Z treści listu wynikało jasno, że nie miały tyle czasu.

Marianna usiadła w wielkim krześle za biurkiem i wpatrywała się w skrzynię z książkami. Była pewna, że pan Jacobs kupiłby chętnie każdą z nich. Gdyby oferował jej kwotę dwa razy wyższą od tych, które jej wcześniej zaproponowano, byłaby w stanie zebrać większą część potrzebnej sumy. Sądziła jednak, że tylko dzięki obecności pana Montague'a w antykwariacie udało jej się uzyskać tak zawrotną cenę. Tym razem pan Jacobs nie byłby już zapewne tak rozrzutny.

Wspomnienie pana Montague'a przywołało inną myśl, której Marianna starała się do siebie nie dopuszczać. Powiedział, że jej naszyjnik jest bardzo wartościowy i że można by wykonać doskonałą kopię, tak jak robi to wielu ludzi. Czy naprawdę stałoby się coś strasznego, gdyby jej matka posiadała tylko kopię ukochanego klejnotu? Wyglądałby przecież tak samo, a ona wciąż mogłaby wspominać męża, który jej go podarował. Jednocześnie byłyby w stanie zwrócić dług i ocalić dom.

Nie wiedziała, czy potrafi się na to zdobyć. Wstała z krzesła i zaczęła krążyć nerwowo po gabinecie, od regału zastawionego starymi książkami do okna zakrytego niemal zupełnie ciężkimi draperiami. Gdyby kiedykolwiek była dość bogata, by pozwolić sobie na własny gabinet, kazałaby umieścić w nim jak najwięcej okien bez zasłon. Nagle

zdała sobie sprawę, jak absurdalna jest taka myśl w chwili, gdy wkrótce mogła zostać bez dachu nad głową.

Jej matka wcale nie miała ochoty na ponowne zamażpójście i potrzebowała własnego domu. Przy odpowiednim zarządzaniu majątek mógł znowu przynosić zyski. Dzięki niej dziedzic Oglethorp był kiedyś bogaty - nie dość bogaty jednak, by pozwalać sobie na ekstrawagancje. Żyjąc w miarę skromnie, lady Grace mogłaby być spokojna o swoją przyszłość - jeśli tylko będzie miała gdzie mieszkać. Farma zapewniłaby jej środki do życia na wiele lat. Gdyby zaś przyszło ją sprzedać, matka zdana byłaby na łaskę swoich zięciów. Takie rozwiązanie ani trochę nie podobało się Mariannie, która poznała już przywary mężczyzn i zmienność losu.

Może wystarczy tylko zastawić naszyjnik na pewien czas. Słyszała już o takich rzeczach. To tak jakby zaciągała pożyczkę, a naszyjnik stanowiłby gwarancję wypłacalności. Gdyby dostała zań wystarczająco dużo pieniędzy, by spłacić dług i wykonać kopię, nikt by się o tym nie dowiedział. Po żniwach mogłaby odzyskać oryginał.

Ten pomysł podniósł ją nieco na duchu. Gdyby klejnot należał tylko do niej, sprzedałaby go bez wahania, byle tylko zapewnić bezpieczną przyszłość matce. Nie miała ani cienia szacunku czy sympatii dla ojca, który zostawił jej majątek w opłakanym stanie i marne pieniądze nie wystarczające nawet na pokrycie podstawowych potrzeb. Nie czuła też żadnego sentymentu do tego przekłętogo kamienia - w przeciwieństwie do matki.

Musiła więc zapytać pana Montague'a, gdzie można zastawić naszyjnik i kto wykonałby kopię. Robiło jej się

niedobrze na samą myśl o rozmowie z tym człowiekiem, jednak on i tak znał już ich kiepską sytuację. Najwyraźniej nie wspomniał o tym lordowi Darley, za co Marianna musiała mu być wdzięczna. Po prostu nie mogła się poniżyć aż tak bardzo, by przyznać się przed hrabią, że nie ma pieniędzy. Powinna udawać słodką idiotkę, która nie dba o takie rzeczy - tylko do chwili, gdy Darley włoży na jej palec obrączkę. Musi postarać się, by doszło do tego jak najszybciej. Tymczasem należało porozmawiać z tym nieznośnym panem Montagem.

Nie do końca jednak wiedziała, jak to przeprowadzić. Nie mogła wysłać do niego listu, w którym wyjaśniłaby cały problem i prosiła o pomoc, i nie mogła też liczyć na to, że spotka go w antykwariacie. Jedyne, co jej pozostało, to czekać do następnego spotkania i znaleźć jakiś sposób, by porozmawiać z nim na osobności.

Myśl o pozostaniu sam na sam z Reginaldem Montague przyprawiała ją o dreszcze. Był bardzo wysokim mężczyzną i na pewno nie należał do słabeuszy. Czytała już wiele opowieści o tym, co przydarza się lekkomyślnym młodym kobietom, które pozwalają sobie na spotkania z takimi mężczyznami. Musiała jednak zaufać swym siłom i polegać na fakcie, że on nią pogardzał. Mężczyźni nie napadają chyba kobiet, którymi pogardzają?

Nazajutrz choć raz uśmiechnął się do niej los. Kiedy matka i Jessica wyjechały do miasta, Marianna wolała zostać w domu i poczytać. Wiedziała, że Darley wyjechał do jakiegoś majątku pod Londynem, gdzie wzywały go ważne interesy, wykorzyststała więc okazję, by choć trochę posiedzieć w samotności. Życie towarzyskie stolicy było dla niej trochę męczące, zwłaszcza że do tej pory mieszkała



na wsi. Dzięki tym chwilom wyciszenia zachowywała równowagę ducha.

Kiedy służący zaanonsował przybycie jakiegoś dżentelmena, już chciała powiedzieć, że nie ma jej w domu. Kiedy jednak dojrzała powóz, stojący przed bramą, natychmiast się rozmyśliła. Montague.

Nigdy dotąd nie pojawiał się w tym domu. Nie miała pojęcia, dlaczego przybył - być może wyświadczał przysługę Darleyowi. Jeśli chciała go przyjąć, powinna zawołać Lily. Nie wypada jej samej zabawiać gościa.

Musiła jednak porozmawiać z nim w cztery oczy. Nie mogła oznajmić w obecności Lily, że zamierza zastawić rubin. I tak dostała od losu wyjątkową szansę. Teraz musi jedynie znaleźć w sobie dość odwagi, by ją wykorzystać.

- Dobrze, Simmons, wprowadź go, a potem przynieś nam herbaty. Jestem pewna, że mama wkrótce wróci i będzie chciała się z nim zobaczyć. - Marianna miała nadzieję, że ta ostatnia uwaga udobrucha zasadniczego i surowego lokaja.

Montague wyglądał na zaskoczonego, kiedy po wejściu do salonu, zastał w nim jedynie Mariannę. Szybko jednak ukrył chwilową konsternację pod maską uprzejmości i usiadł na zaferowanym miejscu.

- To dla mnie niezwykle zaszczyt i przyjemność, lady Marian. Nie spodziewałem się, że zastanę panią samą. Darley mówił mi, że musi wyjechać z miasta, i prosił, bym odwiedził szanowne panie, gdy tylko będę miał po temu okazję. Czy pani opłakuje już jego chwilową nieobecność?

Była pewna, że znowu świadomie ją prowokuje. Wstrzy-

mała się jednak z odpowiedzią, kiedy służąca wniosła tacę z herbatą. Gdy znowu zostali sami, próbowała udzielić mu grzecznej i wyważonej odpowiedzi:

- Nie wiem, do czego pan zmierza, sir. Lord Darley jest wolnym człowiekiem i może robić, co chce, tak jak ja. Nie rozumiem więc, dlaczego miałabym w tej sytuacji opłakiwać jego nieobecność.

Reginald skinął głową z aprobatą, sącząc powoli herbatę.

- Widzę, że nie dzieli pani skóry na nie upolowanym jeszcze niedźwiedziu. To bardzo rozsądne. Czy zamierza pani w takim razie zastawić sidła na księcia?

Marianna zacisnęła usta i ostrożnie odstawiła filiżankę na tacę.

- Jeśli przyszedł pan tutaj, żeby mnie obrażać, to będę panu wdzięczna, jeśli zechce pan wyjść.

Montague podniósł rękę w geście pojednania.

- Chciałem tylko porozmawiać z panią szczerze, tak jak ostatnio. Jeśli woli pani zwykłe pogaduszki - proszę bardzo. Piękną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż? To niezwykle jak na tę porę roku. Czy miałyby pani ochotę na krótką przejażdżkę?

Marianna skrzywiła się z niesmakiem i podała mu talerz z ciasteczkami.

- Nie mogę zrozumieć, co Darley w panu widzi, ale skoro już mowa o szczerości, to muszę przyznać, że nie bez powodu przyjmuję pana samotnie.

Montague uniósł swe wyraziste brwi.

- Tak się właśnie zastanawiałem... - mruknął. - Nie przypuszczałem, żeby robiła to pani, by mnie uwieść.

Rzuciła w niego poduszką. Reginald zręcznie odbił pocisk jedną ręką, drugą zaś starał się utrzymać filiżankę

w bezruchu i uratować w ten sposób swe kosztowne spodnie przed poplamieniem.

- To się mogło źle skończyć - mruknął, ostrożnie odstawiając porcelanową filiżankę. - Często miewa pani takie napady? Czy Darley o tym wie?

- Pan mnie świadomie prowokuje i przywodzi do najgorszego, panie Montague. Jeśli powie pan lordowi o tej wizycie, będę zmuszona poinformować go o pańskim obraźliwym zachowaniu.

- Dlaczego kobiety zawsze uważają żarty za obrażę? Czyżby nie miały poczucia humoru?

- Dlatego, że kobiet nie śmieszy nic, co wulgarne, sir. Nie wiem, co może być zabawnego w oskarżaniu mnie o uwodzenie mężczyzn, nawet gdybym na ten temat cokolwiek wiedziała, choć oczywiście nie wiem. Jeśli więc zakłada pan, że potrafię kogoś uwieść, to jest to dla mnie obraźliwe.

- Sam fakt, że mówi pani o takich rzeczach ze złością, zamiast natychmiast zemdleć, dowodzi niezbiecie, iż wie pani o nich znacznie więcej niż większość dam. Przestańmy wreszcie udawać, lady Marian. Nie jest pani niewiniątkiem, które blednie i mdleje na samą myśl o mężczyźnie. Jest pani wykształcona i odczytana, a za tą ładną buzią kryje się prawdziwa inteligencja. Będzie nam się o wiele łatwiej porozumieć, jeśli przyzna się pani do tego i przestanie odgrywać słodką idiotkę, jak robi to pani przy Darleyu.

Marianna splotła palce ze złością i posłała Reginaldowi jadowite spojrzenie.

- Staram się ze wszystkich sił zachowywać tak, jak oczekują tego inni. Nie wyświadcza mi pan żadnej przy-

sługi, zachęcając mnie do czegoś przeciwnego. Na razie jednak odłożmy na bok urazy. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Montague wyglądał na zainteresowanego. Odważył się nawet podnieść filiżankę.

- Proszę mówić, lady Marian. Jestem do pani usług.

Natychmiast przyszła jej do głowy cięta odpowiedź, w porę jednak powstrzymała język. Potrzebowała jego pomocy, a nie złości.

- Moja matka otrzymała dzisiaj dość nieprzyjemny list od swego prawnika. Wydaje się, że musimy pożyczyć dużą sumę, by zatrzymać nasz dom. Mogłybyśmy oddać pieniądze natychmiast po żniwach, jednak nasz radca najwyraźniej nie potrafi znaleźć nikogo, kto zechciałby udzielić mu pożyczki. - Starła się opowiedzieć wszystko w jak największym skrócie, gdyż wyjawianie rodzinnych sekretów obcemu człowiekowi napawało ją wstrętem. Zanim Montague zdążył jej przerwać, szybko wyłuszczyła swą prośbę: - Prawdopodobnie uzyskałabym większą część tej kwoty, sprzedając pozostałości biblioteki, ale wspomniał pan kiedyś, że mój naszyjnik jest bardzo cenny. Czy istnieje możliwość uzyskania pożyczki pod jego zastaw? - Gdy tylko skończyła mówić, odetchnęła z ulgą.

Montague zastanawiał się przez chwilę nad jej pytaniem, obracając w dłoni filiżankę.

- Chciałaby pani wykonać kopię, tak by nie dowiedziała się o tym pani matka?

Marianna zagryzła wargi i skinęła lekko głową.

- I nie chce pani od razu go sprzedawać?

Tym razem pokręciła głową energicznie.

- I tak czuję się jak złodziejka. Wiem, że kiedyś ten

kamień będzie należał do mnie, ale na razie to cały majątek mojej matki.

- Pasuje bardziej do pani niż do niej - powiedział w zamyśleniu. - Pani ojciec musiał mieć ciemną karnację.

- Tak sędzę. Byłam bardzo mała, kiedy umarł. Jego portret należał do posiadłości, więc nie widziałam go, odkąd stamtąd wyjechałyśmy - odpowiedziała Marianna, wpatrując się uparcie w swego rozmówcę.

Tymczasem Montague wypił kolejny łyk herbaty i obserwowął ją znad krawędzi filizanki.

- Czy obecny markiz nie może paniom pomóc? Może będzie zainteresowany nabyciem klejnotu, skoro jest on częścią spadku.

Nie zamierzał jej pomóc. Starając się nie okazywać swej rozpaczy, Marianna spojrzała dyskretnie na zegar kominowy. Może rychły powrót mamy i Jessiki położy kres tej przynębiającej rozmowie.

- Nie znam tego dżentelmena. Mieszkał w Ameryce, kiedy umarł mój ojciec, a jak już wspominałam, byłam wtedy bardzo mała. Podejrzewam, że to prawnicy załatwiali wszelkie formalności związane z naszą przeprowadzką. O ile mi wiadomo, majątek nie był wtedy w najlepszym stanie. Widocznie duże połacie ziemi były stopniowo odsprzedawane. Nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że nie mogę poprosić całkiem obcego człowieka o pomoc.

Montague wiedział, co to duma. Sam miał jej w sobie zbyt wiele. Pokiwał głową z roztargnieniem, po czym odstawił filizankę.

- Musi pani wiedzieć, że zastawiając naszyjnik nie

## *KLEJNOT*

dostanie pani tyle pieniędzy, ile mogłaby pani uzyskać ze sprzedaży. Mogę spytać, ile pani potrzebuje?

Suma, którą wymieniła, mieściła się w granicach rozsądku. Jednak by ją uzbierać, Reginald musiał wykorzystać wszystkie dostępne mu źródła gotówki.

Po chwili namysłu Montague westchnął i podniósł się z miejsca.

- Proszę przynieść ten naszyjnik. Myślę, że czas wybrać się na przejażdżkę.

## *Rozdział ósmy*

Dokąd jedziemy? - spytała Marianna ściszym głosem, kiedy elegancka kariołka pana Montague'a ruszyła gwałtownie w stronę parku. Zauważyła już, że miejsce przeznaczone dla służącego było puste, co wprawiło ją w spore zakłopotanie.

- Pokażemy się na chwilę w parku, a potem pojedziemy do jubilera. Wkrótce wróci pani do domu.

Marianna złożyła dłonie na kolanach i starała się wyglądać na zadowoloną. Ukryty w torebce naszyjnik skutecznie jej w tym przeszkadzał.

- Wykonanie kopii zajmie sporo czasu, prawda? Jak wytłumaczę matce brak naszyjnika, kiedy będzie on u jubilera?

- Proszę jej powiedzieć, że jestem doskonałym ekspertem od biżuterii i że zaproponowałem pani, by oddała naszyjnik do czyszczenia.

Montague wjechał do parku i dołączył do nie kończącej się procesji powozów.

Marianna cieszyła się w duchu, że ma na sobie jedną z kupionych niedawno sukni, gdy co kilka sekund spoczywały na niej taksujące spojrzenia ludzi z towarzystwa. Jasna, żonkilowa żółć jej sukni niemal idealnie pasowała do pączków róży i wstążek na kapeluszu. Choć wyglądała dosyć elegancko, wiedziała, że daleko jej do innych młodych ślicznotek wystrojonych w pióra i jaskrawe sukienki, przeznaczone specjalnie do jazdy powozem. Wmawiała sobie, że nic jej to nie obchodzi, ale nie lubiła, gdy ją oceniano i wytykano jakieś braki.

- Ile będzie kosztowała kopia? - Próbowała zająć umysł czekającym ją zadaniem, a nie swoim ubiorem i opiniami tłumu. Pan Montague wyglądał jak zwykle olśniewająco w idealnie wyprasowanym surducie i skórzanych bryczesach.

- Tyle, co kilka nowych sukni, jak sądzę. Czy jest pani pewna, że nie chce go po prostu sprzedać? Może gdyby przedyskutowała pani ten pomysł z matką...

Marianna wyprostowała się dumnie.

- Poradzimy sobie jakoś bez tych kilku sukni. Wydaje mi się, że to niewygórowana cena za spokój ducha mojej mamy.

Montague posłał jej długie spojrzenie, zanim ponownie zwrócił uwagę na otaczający ich tłum. Kilkakrotnie podniósł bat, pozdrawiając w ten sposób młodych arystokratów, kiedy indziej zaś skłaniał głowę, witając wdowy, które wybrały się na przejażdżkę.

- Naprawdę trudno czasem odgadnąć, kiedy mówi pani prawdę, a kiedy tylko kpi ze mnie, lady Marian - powiedział, uśmiechając się jednocześnie uprzejmie do jakiegoś znajomego.



- Ponieważ nie ma to dla pana najmniejszego znaczenia, sir, nie powinno to pana w ogóle obchodzić - odparła z równie nieszczerym uśmiechem, machając do poznanej niedawno młodej damy.

- Słusznie. A oto nadjeżdża lady Jersey. Proszę się ładnie uśmiechnąć. Nie wiedziałem, że w modzie jest teraz odsłanianie ciała w zimne popołudnia. Czy kobietom nigdy nie jest chłodno?

Marian omal się nie zakrztusiła, słysząc tę oburzającą uwagę, wypowiedzianą z tym samym uśmiechem i uprzejmym wyrazem twarzy, którego Montague nie zmieniał, odkąd tylko wjechali do parku. Marianna z trudem zachowała przyjemny uśmiech, gdy powóz lady Jersey przemknął obok nich.

- Jest pan okropnym mężczyzną - zaprotestowała, gdy była już w stanie mówić.

- Jest takie powiedzenie, które pamiętam z czasów mojej zmarnowanej młodości. „Żeby się na kimś poznać, trzeba być takim samym”, tak to zdaje się brzmiało.

Z niezmaconym spokojem wyprowadził konie z parku i wjechał na zatłoczoną ulicę.

- Bez względu na to, co pan o mnie myśli, nie może mnie pan nazwać mężczyzną - przypomniała mu Marian. - Nie rozumiem, dlaczego miałyby mnie pan uważać za okropną. To nie ja wygłosiłam tę uwagę o lady Jersey.

- Ale na pewno pomyślała pani o tym samym. - Montague wzruszył ramionami. - A poza tym „okropny” może odnosić się do wielu grzechów, i z pewnością należy do nich oszukiwanie i kłamanie.

- Jeśli uważa pan, że udzielenie mi pomocy daje panu

prawo do obrażania mnie przy każdej okazji, to natychmiast wycofuję moją prośbę. Proszę zawieźć mnie do domu.

- Jesteśmy już prawie na miejscu, a jedynym powodem, dla którego miałbym panią obrażać, jest pani zachowanie. Darley to mój najlepszy przyjaciel. Nie pozwolę, by do końca życia pozostał więźniem harpii.

Marianna nie zdążyła odpowiedzieć. Montague zatrzymał powóz i zeskoczył na ziemię, rzucając monetę jakiemuś chłopcu, który przytrzymał konie w miejscu, po czym wyciągnął dłoń i pomógł jej wyjść z powozu. Teraz, gdy doszło już do otwartej walki, nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć i jak się zachować. Nie wiedząc nawet, kiedy przysporzyła sobie groźnego wroga, nie miała pojęcia, w jaki sposób ma zmienić jego opinię o niej samej.

Nie powiedziała więc nic i pozwoliła, by wprowadził ją do zakładu jubilera. Gdy podziwiała wspaniałe klejnoty, Montague rozmawiał z jubilerem o ubezpieczeniu, kosztach i potrzebie ochrony rodzinnych pamiątek. Właściciel zakładu był pełen zrozumienia, a kiedy oszacował w przybliżeniu wartość klejnotu, Marianna omal nie zemdląca. Nosiła taką fortunę na szyi?

Reginald uzgodnił wszelkie warunki wykonania kopii, przyjął rachunek i powrócił do Marianny. Rzucił okiem na wspaniałe brosze, które podziwiała od kilku chwil.

- Kość słoniowa jest bardzo piękna - powiedział, biorąc ją pod rękę. - Podejrzewam jednak, że bardziej zachwycił panią ten diament.

Marianna ruszyła sztywno do drzwi.

- Gdyby pan mnie zapytał, wyjaśniłabym panu, że ta kość słoniowa pasowałaby idealnie do mojej nowej zielonej

sukni. Nie sędzę, by diamenty wyglądały przy niej dobrze.

- Otworzyła drzwi i skierowała się do powozu.

Montague trzymał ją jednak mocno i obrócił w prawo.

- Myślę, że mamy jeszcze czas na lody, prawda? Powinniśmy sobie jakoś wynagrodzić ten ciężki dzień.

Marianna spojrzała na niego z najwyższym zdumieniem.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy to robić - wyznała szczerze. - Oboje ani trochę się nie lubimy. Dlaczego mielibyśmy dobrowolnie skazywać się na dłuższe cierpienie?

Reginald uśmiechnął się rozbawiony i spojrzał na nią z góry.

- Czy ten ostry jęczyczek nie sprawia pani czasem kłopotu? Wydaje mi się, że powinna pani już dawno pokaleczyć sobie usta.

Marianna zagryzła wargi i odwróciła wzrok, nie odpowiadając mu ani słowem.

- No dobrze, tym razem nie miałem racji. Pani była tylko szczerą, ale zraniła jednocześnie moje wysokie mniemanie o sobie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moje towarzystwo może być dla kogoś męczarnią. - Otworzył drzwi do cukierni Guntera i pomógł jej wejść.

- Skoro pan znajduje moje towarzystwo tak nieprzyjemnym, to chyba nic dziwnego, że pańskie uczucia są odwzajemnione.

Marianna usiadła na wskazanym przezeń miejscu, pozdrowiła skinieniem głowy kilku znajomych i zaczęła bawić się rękawiczkami, nie chcąc patrzeć w surową twarz siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny.

Ten złożył najpierw zamówienie, a potem przerwał jej zabawę, zakrywając po prostu jej dłonie swymi.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem pani, że jej towarzystwo mi nie odpowiada? Jest może trochę prowokujące, czasem zabawne. Z pewnością zawsze pouczające. Ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek było nieprzyjemne.

Zaskoczona tym uprzejmym zachowaniem, Marianna natychmiast stała się podejrzliwa. Cofnęła szybko ręce i spojrzała nań gniewnie.

- Więc lubi pan, gdy nazywają pana osłem? Ciągłe skarży się pan na mój ostry język: sprawia panu przyjemność, gdy używam go przeciwko panu? Jeśli tak, to jest pan naprawdę niezwykłym człowiekiem.

Montague uśmiechnął się, a jego poważna zazwyczaj twarz stała się teraz miła i ujmująca.

- Jestem nim, to prawda. Nawet Darley powie pani to samo. Czy nie możemy zawołać *pax* i zostać przyjaciółmi?

- Nie wydaje mi się, by było to możliwe. - Marianna powróciła do zabawiania się rękawiczkami. - Niemal zupełnie otwarcie stwierdził pan, że nie dopuści, by Darley wpadł w moje „szpony”, bo tak zapewne myśli pan o mnie.

Kelner postawił lody na stole i dyskretnie się wycofał. Marianna bezmyślnie wbijała łyżeczkę w swoją porcję. W innych okolicznościach z przyjemnością skorzystałaby z tej odrobiny luksusu, jednak w tej chwili jej myśli zajęte były czym innym.

- Pani go nie kocha - stwierdził Montague, który ochoczo zabrał się do swoich lodów. - Widzi w nim pani tylko jego pieniądze.

Marianna obdarzyła go rozżłoszczonym spojrzeniem.

- To nieprawda. Owszem, ze względu na moją rodzinę nie mogę wyjść za kogoś, kto nie ma pieniędzy, ale oprócz niego jest mnóstwo odpowiednich kawalerów z wypchanymi

kieszzeniami. Choć moim obowiązkiem jest znalezienie sobie bogatego męża, wiem też, że będę musiała spędzić z tym człowiekiem całe życie. Lord Darley bardzo mi odpowiada, a jeśli i ja odpowiadam jemu, to nie rozumiem, dlaczego pan się temu sprzeciwia. Często małżeństwa zawierane są dla znacznie bardziej błahych powodów. Uważam więc, że w niczym nie oszukałam ani nie okłamałam Darleya.

Montague zdążył opróżnić swój talerzyk do czysta w czasie tej długiej tyrady. Kiedy Marian umilkła, odpowiedział spokojnie:

- A jednak oszukała go pani, ukrywając swą prawdziwą naturę. Darley potrzebuje cichej, potulnej żony, kogoś, kto nie będzie się nad nim znęcał jak jego matka, kto uczyni jego życie przyjemnym, a nie zamieni je w piekło. Ja zdaję sobie sprawę, że pani nie jest tą osobą, której Darley szuka. On tego nie wie.

Marianna złożyła swoją serwetkę i wstała od stołu.

- To pańskie zdanie. Nigdy nie dojdziemy do porozumienia w tej kwestii. Chciałabym pojechać do domu.

Zimny i stanowczy ton wykluczał jakikolwiek sprzeciw. Montague odprowadził ją w milczeniu do drzwi swego powozu.

Kiedy pomógł jej wsiąść i sam wspiął się do wnętrza kariołki, powiedział z pewnym wahaniem:

- Zdaję sobie sprawę, że nie mam tytułu, ale czy jestem dość bogaty, by znaleźć się na pani liście odpowiednich kawalerów?

Marianna spojrzała nań z przerażeniem.

- Pan zupełnie nie pasowałby do Jessiki, zapewniam pana. Jeśli uda mi się wkrótce znaleźć odpowiedniego

męża, ona będzie mogła poczekać i kierować się przy wyborze tylko głosem serca. Proszę nie wpajać jej przekonania, że i ona musi szybko wyjść za mąż.

Reginald przyglądał jej się w zamyśleniu.

- Jest pani niezwykłą kobietą. Każda inna dama pomyślałaby, że zalecam się właśnie do niej.

- Zauważył pan już, że nie jestem głupia. Musiałabym być skończoną idiotką, by znaleźć w sobie tyle próżności.

Tajemniczy uśmiech znowu wykrzywił usta Reginalda.

- Widzę, że nie zamierza pani przerywać polowania na męża. Wracajmy do domu, zanim pani matka zawiadomi policję.

O'Toole, muszę przyznać, że się sprawiłeś. Ta dama będzie mogła zobaczyć w nich swoje odbicie. - Reginald spojrział z podziwem na błyszczące, wysokie buty do kolan, które jego służący odstawił właśnie na półkę.

- Czyżby miała w zwyczaju przeglądać się w butach?

- Spytał beczelny lokaj, strzepując niewidzialny pyłek z surduta, w który miał ubrać swego pana.

- Właściwie dama, o której mówię, chętniej odgryzłaby mi nos, niż podziwiała moje cholewki, ale jej młodsza siostra ma skłonność do przyglądania się podłódze. Może moje buty zapewnią jej rozrywkę w czasie, gdy ja będę zalecał się do starszej.

Lokaj wyglądał na zainteresowanego tematem podjętym przez Montague'a.

- Jeśli zamierza pan odwieźć je przez park, powinien mieć pan przy sobie służącego. Czy wspominałem już panu, że często służyłem markizowi jako stangret?

Reginald uniósł jedną brew z powątpiewaniem.

- Dlaczego jakoś trudno mi w to uwierzyć? - spytał, wpatrując się z konieczności w sufit i poprawiając fular,

- No cóż, gdyby markiz jeszcze żył, na pewno chętnie by to potwierdził - zapewniał go O'Toole. - A forysiem może być każdy dureń. Wystarczy tylko stanąć na koźle z tyłu powozu i robić dobre wrażenie. Za kilka dodatkowych monet gotów jestem poświęcić się i służyć panu pomocą.

O'Toole miał trochę racji. Gdyby Reginald był całkowicie pewien, że ten łajdak nie dojdzie do wniosku, iż jego konie są warte więcej niż uczciwa posada, wolałby zostawić swe cenne zwierzęta pod opieką kogoś doświadczonego, a nie przypadkowych uliczników. Łatwiej też przyszłoby mu wyciągnąć lady Marian z domu, gdyby ta czuła się bezpiecznie w jego powozie. Co więcej, jego dwumiejscowa kariołka nie mogłaby pomieścić jej siostry ani służącej - chyba że zajęłyby miejsce stangreta. Reginald zamyślił się głęboko, zapinając ostatnie guziki surduta.

- Musiałbym pewnie założyć jeden z tych przeklętych zielonych kubraków albo coś równie okropnego - kontynuował ponurym tonem lokaj. - To byłoby o wiele tańsze niż przebieranie mnie w małpią czerwień i złoto, czy jakieś inne cudzoziemskie wymysły. Może znajdę nawet coś odpowiedniego w mojej szafie, jeśli zaufa pan mojej dyskrecji. Zanim przyprowadzą powóz, ja będę już gotów.

- Twoje zarozumiałstwo dorównuje niemal twojej arogancji, ty durniu. Czy powiedziałem, że potrzebuję forysia?

- Nie powiedział pan też, że go nie chce - odparł lokaj rezolutnie. - A jeśli pojedę z panem dziś wieczór, będzie pan miał pewność, że nie flirtuję ze służącą.

- I że nie kradniesz wina z piwnicy. Jasper ma spis

wszystkich butelek. Zdaje się, że jesteś mi winien służbę przez kilka wieczorów za tę butelkę burgunda, która zniknęła kiedyś bez śladu.

O'Toole nie wyglądał na zawstydzonego ani zmartwionego tym oskarżeniem.

- Mogę pojechać z panem na próbę, powiedzmy, przez kilka wieczorów, a pan przekona się, czy jestem panu naprawdę potrzebny.

Złodziej, stangret i lokaj w jednej osobie, pomyślał Reginald, zabierając laskę i kapelusz. Z pewnością wart był pieniędzy, które mu płacił.

- No więc idź po ten swój zielony kubrak, czy co tam chcesz, i zaraz wracaj. - Czuł, że może tego pożałować, z drugiej strony jednak, nie mógł tego wiedzieć na pewno, dopóki nie spróbuje.

Właściwie pomysł O'Toole'a był świetny, jeśli tylko Reginald mógł w pełni zaufać swemu nieobliczalnemu lokajowi. Nie miał przecież własnej stajni w Londynie. Konie i powóz trzymał w wynajętej zagrodzie i za każdym razem, gdy wybierał się na jakieś przyjęcie w odległym miejscu, musiał opłacać kogoś, kto zajmowałby się nimi pod jego nieobecność. Było to dosyć uciążliwe, ale Reginald nie mógł sobie pozwolić na utrzymanie w mieście domu ze stajniami, tak jak robił to jego ojciec. Zatrudnienie kogoś ze służby do opieki nad końmi i powozem, sprowadzanie ich na czas i odsyłanie do stajni znacznie ułatwiłoby mu życie. Powinien był pomyśleć o tym znacznie wcześniej.

Oczywiście, O'Toole nie był idealnym kandydatem do tej roli, ale był pod ręką i sam palił się do tego, a Reginald rzeczywiście miał tego wieczoru sporo do zrobienia. Jeśli



okaże się, że złodziejasek nie nadaje się do tej funkcji, będzie mógł wrócić do domu i zabawić służącą.

Reginald nie posunął się jednak aż tak daleko, by pozwolić mu prowadzić powóz. Sam wziął do rąk lejce i poczekał, aż lokaj zajmie miejsce z tyłu. Młody złodziejasek przyjął tak wyniosłą pozę, iż mógłby równie dobrze uchodzić za księcia. Montague uśmiechnął się do siebie. Może udałoby mu się przedstawić O'Toole'a lady Marian jako bogacza, który mógłby jej zastąpić Darleya. On sam bowiem nie bardzo radził sobie z tą młodą damą.

Zajechał pod dom hrabiego Tunningham i wysłał O'Toole'a, by ten zaanonsował jego przybycie. Był pewien, że Darley dobrze się ubawi, kiedy zobaczy tego posłańca.

Jednak kiedy wicehrabia wyszedł z domu i dołączył do Reginalda, zdawał się w ogóle nie zauważać obecności O'Toole'a. Powrócił niedawno z kilkudniowej podróży na wieś w jakichś ważnych interesach, ale wyglądał tak, jakby spoczął na nim nagle cały smutek świata. Reginald przyglądał się przyjacielowi z niepokojem, kiedy brał lejce do rąk.

- Wyglądasz, jakby dopadła cię najgorsza chandra na świecie. Mogę ci w czymś pomóc?

Darley usadowił się ostrożnie obok niego, starając się nie pomicić spodni.

- Słyszałem, że i tak zrobiłeś już dla mnie wiele. Podobno zabawiałeś lady Marian w czasie mojej nieobecności?

Reginald uniósł lekko brwi, ale nie odwracał uwagi od koni.

- Na twoją prośbę, o ile pamiętasz. Ona potrafi dać w kość. Czy wiesz, że wczoraj chciała zobaczyć greckie marmury, ale ponieważ dzień wcześniej troszeczkę się posprzecaliśmy, nie zgodziła się wsiąść ze mną do powozu? Musiałem zostawić go pod jej domem i iść za nią i jej siostrą przez pół Londynu, żeby upewnić się, że nic im się nie stanie.

- To niepodobne do Marianny. - Darley założył ręce na piersiach. - Skoro jej tak nie lubisz, to dlaczego zabrałeś ją do parku, a potem do Guntera i do Hatcharda?

Reginald skrzywił się z irytacją.

- Bo pewien przyjaciel poprosił mnie, żebym się nią zaopiekował, a ja nie umiałem robić tego inaczej. Nieczęsto można ją zastać rankiem w domu. Ta kobieta niemal przez cały dzień wędruje po Londynie.

- Mogłeś jej powiedzieć, żeby zaczekała, dopóki ja tu nie wrócę.

Reginald spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Zaczekać? Myślisz, że ona w ogóle zna takie słowo? Znalazłem ją kiedyś u Hatcharda bez służącej, bo wszechstronnie utalentowana Lily musiała poprawić jakąś suknię. Nie poszedłem na spotkanie u Jacksona, bo ona chciała zobaczyć Tower i zamierzała tam pójść z siostrą, jeśli ja nie zechciałbym jej towarzyszyć. Ta kobieta chyba nigdy nie przestaje się przemieszczać. A ty chcesz, żeby poczekała, aż znajdziesz dla niej czas.

Usatysfakcjonowany Darley, odetchnął z ulgą.

- Przepraszam cię. Ja nie bywam tak często w towarzystwie dam jak ty. Sam się poniżam, kiedy jestem zazdrosny o najlepszego przyjaciela. Gdybym nie był takim tchórzem, natychmiast poszedłbym do jej matki i poprosił o rękę

Marianny, żeby mieć to już za sobą. A co będzie, jeśli ona zainteresuje się Devonshire'em?

Reginald starał się odpowiedzieć nonszalanckim tonem, by ukryć niepokój.

- Jest zbyt rozsądna, żeby mierzyć aż tak wysoko. A kilka tygodni to trochę za mało, żeby do końca być pewnym swoich uczuć. Pozwól jej trochę dłużej cieszyć się wolnością, i ty też się nią ciesz. Całe życie przy boku niekochanej osoby to dość wysoka cena za jedną błędną decyzję.

- Nie pomyślałem o tym, że Marianna zechce jeszcze trochę cieszyć się wolnością. Pewnie masz rację. Przez wszystkie te lata mieszkała gdzieś na wsi. Powinna teraz rozprostować trochę skrzydła, zanim ja znowu je spętam. Myślisz, że ona mnie zechce? Nie jestem szczególnie urodziwy, a kobiety zawsze zwracają na to uwagę.

- Zwracają też uwagę na tytuły i pieniądze. Z pewnością cię zechce, nie mam co do tego wątpliwości. - Reginald wypowiedział to ostatnie zdanie głosem pełnym goryczy.

Darley spojrział nań z niepokojem.

- A jeśli przeniesie uczucia na kogoś innego? Wszystkie tytuły i pieniądze nic mi wtedy nie pomogą.

Uczucia nie mają żadnego znaczenia, kiedy ktoś jest zadłużony po uszy, pomyślał Reginald, ale zachował tę uwagę dla siebie i odpowiedział tylko:

- Musisz więc zawładnąć jej uczuciami, prawda?

Z tyłu powozu foryś przysłuchiwał się ich rozmowie z wielkim zainteresowaniem.

## *Rozdział dziewiąty*

Reginald przypatrywał się ponuro, jak Darley zmierza wprost ku czekającej nań lady Marian. Wysłuchując paplaniny gospodyni, która cieszyła się z przybycia tak znakomitych gości i przekonywała go, że należy natychmiast pootwierać okna, Montague zdołał dojrzeć, jak Marianna posyła Darleyowi długi, słodki uśmiech, od którego nawet jemu przeszedł dreszcz po plecach. A niech ją, naprawdę była dobra w tym, co robiła.

Reginald przeprosił gospodynię i zaczął przepychać się do stołu z jedzeniem, obserwując jednocześnie, jak Marianna czyni jakieś wdzięczne gesty i od czasu do czasu kładzie dłoń na ramieniu Darleya. Widział, jak jego przyjaciel roześmiał się głośno, ubawiony jakimś dowcipem, a jego towarzyszka ukryła na chwilę twarz za wachlarzem. Na pewno trzepotała rzęsami, pomyślał Reginald posepnie, nalewając sobie ponczu. Nic dziwnego, że Darley stracił dla niej głowę.

Sprawy komplikowały się więc coraz bardziej. Reginald nie chciał bynajmniej utracić przyjaźni wicehrabiego, walcząc z nim o kobietę, a szczególnie o tak zakłamaną i fałszywą kobietę jak lady Marian. Jeśli jego przyjaciel darzył ją prawdziwym uczuciem, będzie się musiał poddać i liczyć na to, że wszystko jak najlepiej się ułoży. Był jednak przekonany, że młody hrabia zauroczony jest pozornie łagodną i potulną naturą tej kobiety. Nie zamierzał więc składać broni, dopóki nie spróbuje ukazać Darleyowi prawdziwego oblicza jego ukochanej.

Jak to zrobić, nie czyniąc przy tym z siebie durnia, pozostawało kwestią otwartą. Człowiek z Bow Street powrócił z dowodami, świadczącymi niezbicie o tym, iż ta dama rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Ambitny detektyw próbował nawet porozmawiać z obecnym markizem Effingham, tyle że ten opuścił dom na dłużej. Kilku służących, do których dotarł policjant, pracowało w domu lady Grace od niedawna i nie mogło mu wiele pomóc, jednak obecne miejsce pobytu lady Marian było wszystkim znane i pokrywało się z prawdą. Wszystko wskazywało więc na to, że dama, która zawładnęła sercem Darleya, rzeczywiście była córką nieżyjącego już markiza Effingham.

Reginald mógł więc liczyć tylko na to, że uda mu się zdemaskować przebiegłą lady Marian i odkryć jej prawdziwy charakter. Nie było to łatwe zadanie. Nie okazała żadnego zainteresowania jego zalotami, i jak podejrzewał, nie bez powodu. Nie miał żadnego tytułu, a jako młodszy syn nie mógł też liczyć na majątek ojca. Ta dama nie była tak nierozsądna, by wychodzić za mąż tylko dla ładnej

twarży. Dała mu też do zrozumienia, że nie powinien zbliżać się do jej siostry. Na razie nie miał pojęcia, jak rozegrać tę trudną partię.

Z ciężkim sercem Reginald zaczął się przepychać przez tłum w stronę szczęśliwej pary.

Długie, zręczne palce O'Toole'a zatańczyły wdzięcznie przed jego twarzą i wyciągnęły monetę zza brudnego ucha lokaja. Światło latarni odbijało się od srebrnego pieniądza, który krążył po odzianej w rękawiczkę dłoni, po czym nagle zniknął bez śladu.

- Jak ty to zrobiłeś? - Starszy mężczyzna, odziany w wymiętą liberię, podejrzliwie przyglądał się gładkiej powierzchni pustej rękawiczki.

- Już mówiłem, to czary. - Oparty o powóz swego pana, O'Toole skrzyżował na piersiach pokryte zielonym płótnem ręce.

- To jakaś sztuczka. Pokaż mi, jak to zrobiłeś. - Starzec przeniósł wzrok na wykrzywioną chytrym uśmiechem twarz O'Toole'a.

- To nie jest żadna sztuczka. To czary. Z tym trzeba się urodzić.

Rozmówca O'Toole'a skrzywił się z powątpiewaniem.

- Gdyby to były czary, to żyłbyś sobie jak król, a nie zamiatałbyś stajni.

O'Toole potrząsnął głową.

- Nie można używać czarów dla swojej korzyści. Chciwość niszczy magiczną moc. Mogę jej używać tylko dla dobra innych.

Stary lokaj nie dawał za wygraną.

- No to zrób ze mnie bogacza.

O'Toole roześmiał się głośno.

- Twoja chciwość nie jest w niczym lepsza od mojej. Zresztą zrobienie z ciebie bogacza niekoniecznie wyszłoby ci na dobre. - Spojrzał w stronę wysokiego domu i jego okien, rozpalonych blaskiem lamp i świec. - Popatrz tylko na nich. Mają więcej, niż sobie potrafimy wyobrazić, ale czy wszyscy są szczęśliwi?

- Powinni być - burknął starzec, wdrapując się na kozioł. - Ale nie wszyscy są tacy znowu bogaci. Niektórzy mają niewiele więcej od nas, tylko dobrze udają i noszą ładniejsze rzeczy.

- Tak, pewnie masz rację. - Srebrna moneta zabłysła na moment w powietrzu, kiedy O'Toole rozprostował ręce.

- Niektórzy woleliby nie płacić takim jak my przez lata, niż zrezygnować choćby z odrobiny swych przyjemności.

- Nie moje panie - odparł starzec lojalnie. - Same naprawiają swoje rzeczy i robią wszystko, żebyśmy tylko dostali pieniądze za każdy dzień służby.

- Pewnie przyjechały tutaj szukać bogatych mężów?

- Moneta znowu wystrzeliła do góry, zniknęła i pojawiła się ponownie jako jednopensówka.

Starając się nie okazać podziwu, który wzbudził w nim ten popis, stary lokaj poprawił wymięte nogawki swoich bryczesów.

- Tak to już jest na tym świecie. Młodsza panienka jest trochę wstydliva, ale moja pani już sobie znalazła wicehrabiego. Teraz codziennie przy schodach czeka jakaś niespodzianka. Podobno ten młody dżentelmen nie szczędzi grosza swoim sługom. Niedługo będzie nam się wszystkim nieźle powodzić.

- No to pewnie gratulacje są jak najbardziej na miejscu. Czy ta młoda pani wygląda na zadowoloną ze swojego wyboru? Nie musi użerać się z jakimś starym dziwakiem, co?

Służący wzruszył ramionami.

- Dosyć szczęśliwa, powiedziałbym. Wicehrabia nie jest może najpiękniejszy, ale jest młody. Nie ma co narzekać.

- To dobrze. Młoda dama, którą opiekował się mój pan, ma diabelski jęczyzek. Dała mu kiedyś niezłe popalić.

Starzec zachichotał.

- Moja pani też ma niezły charakter. Nie spodobał jej się przyjaciel tego wicehrabiego. Słyszałem, jak kiedyś wygarnęła mu na środku ulicy wszystko, co o nim myśli. A Simmons mówił, że widział, jak rzuciła w niego poduszką. Prawie by mu wytrąciła filiżankę z ręki, a on oblałby sobie całe spodnie. Pewnie nie byłoby mu wtedy przyjemnie.

Jednopensówka zamieniła się w dwie srebrne monety, a potem trzy, które kręciły się nieustannie w świetle latarni i przeskakiwały z jednej dłoni O'Toole'a do drugiej. Ten uśmiechał się tylko z zadowoleniem.

- Pewnie nie bardzo. To mi przypomina pewnego markiza, u którego kiedyś pracowałem. Ten człowiek miał w sobie diabła. Jego żona to była cicha, ładna kobietka. Nigdy nie wiedziała, jak sobie poradzić z mężem, kiedy wpadał w taki szał. Choć trzeba przyznać, że nigdy na nią nie krzyczał. Brał konia i jechał nie wiadomo gdzie i wracał, kiedy koń był już spieniony. Przepraszał wtedy chłopaków, co to ich wcześniej niezłe zbeształ, a potem szedł do domu i uśmiechał się, jakby nigdy nic.



Starzec mimowolnie wpatrywał się w wirujące przed nim krążki srebra.

- To prawie tak samo jak z moją panią. Zrobisz coś źle, to cię tak zrugam, aż ci w piętę pójdzie, ale jak zrobisz dobrze, to da ci ostatnie pieniądze, jakie ma w kieszeni.  
- Roześmiał się cicho do siebie. - Młodzi szybko się przy niej uczą dobrej roboty, o tak.

- Taka dama potrzebuje pewnie silnego faceta za męża. Młody wicehrabia się nie denerwuje, kiedy ona rozpuszcza język? - Monety zniknęły w okamgnieniu. O'Toole pochylił się, by wyjąć jedną z nich z kieszeni starca.

- Na razie nie miała powodu, żeby na niego krzyżeć. Z tego, co słyszałem, to gruchają do siebie jak dwa gołąbki.  
- Stary lokaj zaczął ukradkiem przeszukiwać inne kieszenie.

- To dziwne. - Druga moneta znalazła się za uchem konia. - Mój markiz zawsze krzychał na córkę, kiedy zrobiła coś złego, ale potem tak ją rozpieszczał i rozbawiał, aż znowu się roześmiała. Kiedy tylko trochę podrosła, zaczęła mu się odgryzać. Bezczelne, rozpuszczone dziecko. Ale wszyscy widzieli, że tak naprawdę to oboje się uwielbiają. Sądzę, że dama z takim charakterkiem powinna właśnie tak traktować tego, za kogo chce wyjść.

Lokaj wzruszył ramionami i podniósł się z miejsca, gdy kilku służących zbiegło po schodach, by odszukać zamówione powozy.

- Chyba nie wypada młodej damie wrzeszczeć na zalotnika, co?

Kiedy jeden z posłańców zbliżył się do nich, O'Toole schował srebrne monety.

- I udawać kogoś innego do samego ślubu, tak? Rzeczywiście, to dopiero dobre.

Służący pana Montague'a odszedł w stronę swego powozu, przywołany przez pościańca. Starzec podrapał się po głowie i przyglądał mu się przez chwilę. Rudowłosy młodzik był trochę dziwnym lokajem, ale wyglądał na porządnego chłopaka.

Ostrożnie, tak na wszelki wypadek, przeszukał jeszcze raz kieszenie. Srebrna moneta, którą wyjął ze spodni, połyskiwała delikatnie w świetle latarni. Dla porządku spróbował ją nadgryźć. Prawdziwa, żadna tam iluzja.

Mamo, nie wiem, co zrobić, żeby on mi się wreszcie oświadczył. - Marianna zignorowała swoje odbicie w lustrze i odwróciła się do matki, która próbowała właśnie wyprostować kokardę na jej plecach.

- Gdyby był tutaj James, porozmawiałby z nim. To nie może się ciągnąć tak długo bez oficjalnych zaręczyn. Może to ja powinnam pomówić z tym dżentelmenem. - Ostatnia propozycja wypowiedziana została takim tonem, iż prawdopodobieństwo jej wykonania równało się zeru.

Marianna zagryzła wargi i odwróciła się z powrotem do lustra, by sprawdzić, jak prezentuje się na jej szyi naszyjnik z pereł. Pan Montague obiecywał wcześniej, że fałszywy naszyjnik z rubinem będzie gotowy na długo przed balem. Próbowwała nie myśleć o łagodnych napomnieniach matki. Poświęcała Darleyowi mnóstwo czasu, tracąc w ten sposób innych zalotników. Jeśli wicehrabia nie poprosi o jej rękę, jej reputacja zostanie nadszarpnięta i już nigdy nie znajdzie odpowiedniego męża. Nie mogła znieść takiej myśli.

- Wiem, że to wszystko wina pana Montague'a - oznajmiła głośno, żałując natychmiast, że nie ugryzła się wcześniej w język. Szybko dodała: - Wiem, że lady Agatha jest mi przychylna. Może porozmawiałabyś z nią gdzieś na uboczu dziś wieczorem, a ona już namówiłaby Darleya, by poprosił mnie o rękę.

- To dosyć stanowcza dama. - Lady Grace wciąż nie była przekonana co do konieczności swego udziału w zaręczynach Marianny. Cofnęła się o krok i przyjrzała swemu dziełu.

Marianna uważała, że lady Agatha jest całkiem rozsądną kobietą, ale nie zamierzała zmuszać matki do jakichś stanowczych kroków. Powtarzano jej już wielokrotnie, że gdyby urodziła się chłopcem, byłaby żywym odbiciem ojca, co dotyczyło także charakteru. Nieodżałowany markiz Effingham był podobno człowiekiem, który nie uznawał kompromisów. Żałowała, że nie mogła go poznać lepiej. Prawdziwą ironią losu był fakt, że tak żywotny człowiek padł ofiarą czegoś równie trywialnego jak zepsuty bolący ząb, który zbyt długo nie był leczony.

Skoro jednak nie miała ojca, który porozmawiałby poważnie z Darleyem, skazana była na łaskę i niełaskę młodego hrabiego. Byłaby na niego zła, gdyby nie miała pewności, że za opieszałością Darleya kryje się jego najlepszy przyjaciel, pan Montague. Miała więc dwa wyjścia; albo da lordowi Darley do zrozumienia, że jego niezdecydowanie sprawia jej przykrość, albo rozprawi się ostatecznie z Montagiem. Żadne z tych rozwiązań nie było idealne, ale to drugie mogło jej sprawić ogromną satysfakcję.

Słyszała, jak Lily otwiera drzwi na dole i szybko zaczęła wiązać wstążki czepka. Darley nie mógł pójść z nią na odczyt tego wieczoru, ale zaoferował Montague'a na swoje miejsce. Być może to była właśnie okazja, której potrzebowała. W końcu musiała go jakoś przekonać, że nie jest fałszywym potworem, za jakiego ją uważał.

Kiedy zbiegła na parter, ujrzała Lily rozmawiającą z jakimś rudowłosym człowiekiem. Ubrany był w coś, co jak przypuszczała, służyło za liberię, choć było nieco za eleganckie jak na taki strój. Nieznajomy był młody i niezbyt wysoki, a spojrzenie, którym ją przywitał, wydawało jej się odrobinę bezczelne. Zdawało jej się nawet, że widzi śmiech w jego oczach, kiedy oszacował ją wzrokiem.

Szybko jednak ukłonił się słuźalczo i wyciągnął przed siebie dłoń, w której trzymał list.

- Pan Montague bardzo żałuje, że nie może dotrzymać pani towarzystwa, ale oddaje do pani dyspozycji powóz.

Marian szybko przejrzała liścik. Oczywiście nie mogła rozpoznać pisma Montague'a, ale nakreślone w pośpiechu gryzmoły dobrze oddawały jego charakter. Poirytowana spojrzała groźnie na notkę, jakby jej autor mógł dzięki temu odczuć jej gniew.

- Do mojej dyspozycji? - Marianna przeniosła spojrzenie na słuźącego, zastanawiając się nad czymś. Rudowłosy młodzieniec zaczął się niespokojnie kręcić w miejscu.  
- Więc wezmę ze sobą słuźącą.

Lily poszła szybko po swój czeppek. Zostawiony sam na sam z Marianną słuźący stawał się coraz bardziej nerwowy, wbił palce w kapelusz i zdążył go już odrobinę wymiać przed powrotem Lily. Marianna przyglądała mu się podej-

rzliwie, sama jednak nie potrafiła kierować powozem. Potrzebowała jego pomocy.

Kiedy Lily zajęła już miejsce w kariolce, a lokaj wziął do rąk lejce, Marian oparła się o poduszki i odetchnęła z ulgą.

- Proszę mnie teraz zawieźć do pana Montague'a.

Stangret wyraźnie się zaniepokoił i omal nie wypuścił z dłoni lejców. Konie niecierpliwie potrząsały łbami.

- Pan Montague powiedział, że mam zawieźć panią na odczyt.

- Powiedział, że oddaje powóz do mojej dyspozycji. Muszę zamienić z nim dwa słowa. A gdzie on teraz jest? Na plotkach u Boodle'a? A może podziwia konie u Tatterhalla? A może wyciąga za bezcen książki od jakiegoś biednego kolekcjonera?

Rudowłosy młodzieniec szarpnął lejcami i konie ruszyły powoli naprzód. Spojrzał na siedzącą obok niego damę kątem oka.

- Pamiątki z Grecji, proszę pani. Spotyka się z jakimś człowiekiem w sprawie pamiątek ze starożytnej Grecji.

- Jakież to poniżające zostać odrzuconym dla jakichś greckich antyków. Bardzo dobrze, w takim razie ja też będę musiała jej pooglądać.

O'Toole pochylił głowę i wymamrotał coś, co brzmiało jak:

- Tak, proszę pani.

Szarpnął lejcami i ponaglił konie do szybszego biegu.

Już po kilku minutach Marianna zorientowała się, że jadą do miejsca, w którym miał się odbyć wykład, a nie w kierunku sklepów, gdzie można by znaleźć rzeczy w rodzaju greckich pamiątek. Marianna spojrzała groźnie na stangreta.

- Dokąd jedziemy?

- Tam, gdzie pan Montague kazał mi panią zawieźć  
- odparł młodzieniec nieustępliwym tonem.

Powinna była wiedzieć, że służący pana Montague'a będą równie niezdolni jak on sam. Konie przemierzały w równym tempie aleję Grosvenor.

- Zatrzymaj powóz - rozkazała.

Stangret rzucił jej zdumione spojrzenie.

- Przy którym domu?

- To nieważne. Po prostu zatrzymaj się. Chcę wysiąść.

Rudzielec znów rzekł nieustępliwym tonem:

- Nie mogę tego zrobić, proszę pani. Dama nie powinna przechadzać się samotnie tymi ulicami. Mój pan z pewnością by mnie wyrzucił, gdybym na to pozwolił.

- Twój pan nigdy się o tym nie dowie, jeśli zrobisz, co ci każę. Nie zamierzam przebywać z tobą ani chwili dłużej. Albo zatrzymasz powóz, albo będę krzyczeć.

Siedząca za stangretem Lily nachyliła się do niego i wyszeptwała nerwowo:

- Ona to zrobi. Proszę jej nie denerwować jeszcze bardziej.

Piegi na nosie młodzieńca zbiegły się w gniewnym grymasie, gdy spojrzał na rozżłoszczoną damę.

- Proszę pozwolić mi zawrócić. Odwiozę panią do domu.

Marianna zacisnęła dłonie na parasolce i wbiła wściekłe spojrzenie w pustą przestrzeń. Miała świadomość, że siedzący obok niej mężczyzna jest od niej większy i silniejszy. Jeszcze nigdy nie spierała się ze służącym. Najchętniej dałaby mu po uszach.

- Nie chcę jechać do domu, szanowny panie. Chcę rozmawiać z panem Montagiem.

*PATRICIA RICE*

Stangret zawrócił powóz i ruszył w stronę jej domu.  
Przez zaciśnięte zęby odparł:

- I tak jak życzenie pani ojca, który nie mógł pozbyć się  
bolącego zęba, pani prośba nie zostanie spełniona.

Ponaglił konie do jeszcze szybszego biegu, nie zwracając  
uwagi na lady Marian, która wpatrywała się w niego  
z osłupieniem.

## *Rozdział dziesiąty*

Ten człowiek był po prostu niewyobrażalnie bezczelny. Powiedział pan przecież, że powóz jest do mojej dyspozycji, prawda?

Wciąż wzburzona i trochę przestraszona kłótnią z rudowłosym służącym, Marianna przemierzała salon wzdłuż i wszerz, szeleszcząc przy tym suknią. Mogła zapomnieć o tym, że sługa znał okoliczności śmierci jej ojca, kładąc to na karb plotek, nie mogła jednak wybaczyć jego zachowania.

Reginald starał się ukryć rozbawienie.

- Nie powiedziałem, że może pani używać powozu tylko po to, by mnie odnaleźć i obedrzeć ze skóry. Choć O'Toole ma charakterek, to prawda. Nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że wcale nie jest tym, za kogo się podaje. Nie mam jednak powodów, by na niego narzekać, i pochwalam jego wczorajsze zachowanie. Zrobił dokładnie to, co należało zrobić. Nie mógł zostawić pani samej na środku ulicy.



Marianna zacisnęła pięści i odwróciła się na pięcie, wbijając wściekłe spojrzenie w uśmiechniętego Montague'a.

- Przyszedł pan tutaj, żeby szczerzyć zęby, czy może jednak miał pan jakieś poważniejsze powody?

- Dowiedziałem się, że pani naszyjnik będzie gotowy na jutro. Chciałbym mieć pewność, że pani wciąż zamierza go zastawić. Mogę przeprowadzić całą transakcję w tajemnicy i przynieść pieniądze, kiedy wszystko będzie już gotowe, jeśli pani sobie tego życzy.

Marianna wpatrywała się ze zdumieniem w eleganckiego dżentelmena, który rozsiadł się wygodnie w pozłacanym krześle. Przed chwilą wysłała Lily po herbatę. Mieli tylko kilka minut na tę dyskusję. Złościła się na siebie, że nie potrafi myśleć trochę szybciej. Reginald Montague był dżentelmenem w każdym calu, od przyciętych krótko, kręconych włosów, aż po wypolerowane czubki skórzanych butów z cholewami. Do tego idealnego obrazu nie pasował jedynie śmiech ukryty w jego oczach i nutka cynizmu w głosie. Naprawdę powinna mu porządnie przyłożyć za jedno i drugie.

Montague rozumiał jej dylemat. Z jednej strony nie chciała się poniżyć do rozmowy z typami, którzy udzielają pożyczek pod zastaw, z drugiej zaś bała się, że jej pośrednik nie wróci z całą sumą. Wówczas jej naszyjnik przepadłby już na zawsze. Słyszała, jak ogromną wartość ma ten klejnot i zdawała sobie sprawę, że nikt nie udzieli jej aż tak wysokiej pożyczki, nie wiedziała też jednak, ile dokładnie może zań uzyskać. O wiele łatwiej byłoby od razu go sprzedać i żyć z zarobionych w ten sposób pieniędzy.

Marianna nie zdążyła jednak oznajmić mu swej decyzji.

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie, a do środka wkroczyła jej matka, wymachując listem opatrzonym w wielkie i ciężkie pieczęcie.

- To od niego! - Głos lady Grace drżał z podniecenia i zdumienia.

- Od kogo? - Marianna próbowała utrzymać dłonie w bezruchu, kiedy jej matka weszła do salonu, zupełnie ignorując dżentelmena, który natychmiast zaczął się podnosić z krzesła. Lady Grace zazwyczaj nie dawała się ponosić emocjom. Marianna spojrzała na Reginalda z niechęcią, ale nie mogła w żaden sposób sprawić, by po prostu zniknął.

- Od markiza! Zaprosił nas do swojej posiadłości. List został napisany przez jego sekretarza. Zdaje się, że markiz jest inwalidą. Nie mogę w to uwierzyć! Dlaczego zdecydował się do nas napisać po tylu latach?

Marianna zauważyła zmarszczkę na czole gościa. Wiedząc, że Montague zna o wiele lepiej wszelkie sprawy i plotki dotyczące towarzystwa, wzięła list z rąk matki i przeczytała go szybko, po czym bez słowa podała Reginaldowi.

Ten uniósł tylko brwi w wyrazie łagodnego zdumienia, przeglądając szybko treść listu, i oddał go Mariannie.

- O ile mi wiadomo, markiz już od dłuższego czasu przebywał za granicą. Może po prostu chce zawrzeć z paniami znajomość.

Lady Grace nerwowo splatała palce.

- To już prawie dwadzieścia lat. Mógł się z nami skontaktować o wiele wcześniej. Sądzę, że nie powinnam tam jechać. Nie chcę tam wracać.

Marianna zacisnęła dłonie na ciężkiej przesyłce, starając

się stłumić w sobie okrzyk protestu. Miała zaledwie trzy lata, kiedy umarł ojciec, i cały jej świat przewrócił się wtedy do góry nogami. Prawie nie pamiętała już posiadłości, w której się urodziła. Bardzo chciała znowu ją zobaczyć, przekonać się, czy wywołuje w niej jakieś wspomnienia o ojcu. Jeśli jednak ta wizyta miała być bolesna dla jej matki, wołała nie nalegać.

Reginald spojrział w zamyśleniu na jej pobladłą twarz, po czym zwrócił się do lady Grace:

- Markiz nie prosi tylko o dotrzymanie mu towarzystwa. Pisze po prostu, że przyśle po panie powóz. Może odeśła panie jego list, sugerując, że wolałyby przyjechać własnym powozem w eskorcie przyjaciół? Jestem pewien, że lord Darley z przyjemnością dotrzywałby paniom towarzystwa, tak jak i ja, oczywiście. To mogłoby... - zawahał się na moment, szukając właściwego słowa. Kiedy nie znalazł nic odpowiedniego, kontynuował niepewnie: - ...ułatwić życie wszystkim zainteresowanym. W końcu markiz jest oficjalnie głową rodziny.

Oszołomiona tym oczywistym stwierdzeniem lady Grace spojrzała na list, jakby był to jadowity wąż. Jej wzrok napotkał wzrok Marianny i nagle wszystko stało się jasne. Jeśli lord Darley miał poprosić ją o rękę, powinien zwrócić się najpierw do markiza.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, lady Grace wzięła list od Marianny.

- Jeśli nie mają panowie nic przeciwko temu... - odparła wreszcie nieobecnym głosem. - Byłabym panom bardzo zobowiązana. Pan wybaczy, ale muszę pana opuścić.

Wciąż wpatrując się w list, wyszła z pokoju, nie

zauważając nawet, że zostawia córkę samą w towarzystwie mężczyzny.

Marianna wzięła głęboki oddech i podeszła do okna.

- Wie pan coś więcej o markizie?

- Bardzo niewiele. - Prawdę mówiąc, Reginald zrobił wszystko co w jego mocy, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ale rezultaty były raczej skromne. Markiz bardzo dobrze się ukrywał. - Głównie plotki. Mówią, że jest samotnikiem. Przynajmniej nikomu z moich znajomych nie udało się go poznać. Plotki zaczęły krążyć dopiero przed kilkoma miesiącami, więc pewnie prawdą jest, że dopiero niedawno wrócił do Anglii. Czy pani matka nic o nim nie wie?

- Mogę panu powiedzieć, co ja wiem, a wiem niewiele, to, co usłyszałam lub podsłuchałam przez wszystkie te lata. Posiadłość nie ma domu dla wdowy. Większość ziemi nie należała do majoratu i została sprzedana. Jednak park i dom zostały wciągnięte do majoratu, a prawnicy powiedzieli, że musimy stamtąd wyjechać, bo nie ma pieniędzy na utrzymanie. Ojciec zostawił nam niewielki depozyt, z którego żyłyśmy przez jakiś czas. Mówiono, że nowy markiz jest Amerykaninem i że posłano po niego, ale nie wiem, co działo się dalej. Wszystko, co zostało z posiadłości, jest w Hertfordshire, a my przeprowadziłyśmy się do Wiltshire, gdzie mama wyszła za dziedzica. Niewiele do nas docierało, kiedy tam mieszkaliśmy.

Reginald odchrząknął niegrzecznie.

- Gdyby posiadłość rzeczywiście była w kiepskim stanie, markiz nie miałby powodu, żeby tu wracać, zwłaszcza że jest bogaty. Z tego, co wiem, Amerykanie nie przywiązują większej wagi do tytułów.

- To prawda. - Marianna odwróciła się od okna i spojrzała mu w twarz. - Podejrzewam, że jest chory, może nawet umierający, i chce uporządkować wszystkie sprawy, którymi wcześniej wcale się nie przejmował. Powinnam być mu wdzięczna, że nagle postanowił wejść w nasze życie?

- Może jest dziecinny i chce uczynić z pani dziedziczkę wszystkich jego dóbr? - odparł Reginald złośliwie. - Chce pani powstrzymać się jeszcze z zastawieniem naszyjnika?

Marianna otworzyła szeroko oczy, przypominając sobie ich wcześniejszą rozmowę.

- Naszyjnik! To rodzinna pamiątka. Myśli pan, że on zechce, by mu go zwrócić?

- To znaczy, że on wcale do pani nie należy? - Reginald spojrział na nią ze zdumieniem.

- Należy. - Marian mocno zacisnęła zęby. - Mój ojciec dał go mamie. Nie było go na liście inwentarza, bo wtedy mama na pewno nie wzięłaby go ze sobą. Jest nasz i możemy robić z nim, co chcemy.

- Więc może woli pani poczekać z jego sprzedażą, aż dowie się pani, czy markiz nie chce podarować wam jakichś pieniędzy. Umierający ludzie często uspokajają w ten sposób sumienie.

Marianna usłyszała cynizm w jego głosie i postanowiła zignorować tę uwagę.

- Myślę, że raczej utrudni mi życie w taki czy inny sposób, ale ma pan rację. Nie mogę zastawiać naszyjnika, dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Może markiz sam zechce pożyczyć nam trochę pieniędzy. Byłabym o wiele spokojniejsza, wiedząc, że naszyjnik jest w bezpiecznym miejscu.

Reginald podniósł rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale wtedy weszła Lily z herbatą. Młody dżentelmen opuścił rękę i tłumacząc się brakiem czasu ruszył ku wyjściu.

Nie wiadomo, dlaczego Marianna poczuła się dziwnie samotna po jego odejściu.

Reginald jeszcze raz dotknął dwóch pudełek, schowanych w kieszeniach surduta. Odebrał naszyjnik i jego kopię tuż po wyjściu z antykwiariatu. Wiedział, że Darley spędza ten wieczór z lady Marian, nie miał więc teraz żadnej możliwości zwrócenia jej klejnotów. Żałował, że nie ma sejfów, w którym mógłby je przechować przez jakiś czas. Dotąd nie posiadał żadnych klejnotów czy kosztowności, które mogłyby skusić włamywacza.

Podłużne pudełka były trochę nieporęczne i trudno było je ukryć, a jego lokaj trudnił się przecież do niedawna kradzieżą. Zastanawiając się w duchu nad stanem swego umysłu, Reginald wyciągnął pudełko, w którym spoczywała kopia naszyjnika. Kiedy wszedł do pokoju, położył je na stole, w najbardziej widocznym miejscu. Nie byłby w stanie ukryć obu pudełek przed swoim wścibskim służącym, ale mógł zająć jego uwagę tym jednym, by drugie oddać nazajutrz lady Marian. Chciała bowiem zabrać ze sobą oryginał jadąc w odwiedzinę do markiza.

Prawdziwy naszyjnik w aksamitnym opakowaniu schował między rzeczy już spakowane w walizce. Słyszając, że jego pan został zaproszony do posiadłości nowego markiza Effingham, O'Toole radośnie i bez chwili namysłu zabrał się do pakowania. Reginald nie wiedział, czy takie zachowanie jego sługi powinno go uspokoić, czy też wprost

przeciwnie - zaniepokoić. Albo O'Toole cieszył się, że wraca do swego domu, albo nie musiał się wcale obawiać tego powrotu, bo nigdy wcześniej tam nie był. Reginald nie wiedział, która z tych możliwości odpowiadała prawdzie.

Przedmiot jego rozmyślań wszedł właśnie do pokoju, niosąc cały stos wyprasowanych koszul i uśmiechając się radośnie do swego pracodawcy.

- Ach, więc jest pan w domu. Dokąd się wybierzemy dzisiaj wieczorem? Do opery? A może woli pan odwiedzić jeszcze tę energiczną damę przed długą podróżą?

- O'Toole, jesteś nieprawdopodobnie beczelny. Sprawdź tylko, czy będę miał dość czystych ubrań na jutro, a z resztą sam już sobie jakoś poradzę. - Reginald zdjął wymięty fular i zaczął rozpinać guziki surduta.

O'Toole udawał, że czuje się dotknięty.

- Wszystko jest już gotowe. Muszę tylko wiedzieć, gdzie to zapakować. Na pewno kariolka nie wystarczy na taką podróż? Może powinienem wynająć faeton?

- Będę podróżował z Darleyem w jego landzie. Z pewnością będzie tam dość miejsca, żeby pomieścić wszystko, co uda ci się wcisnąć do wszystkich waliz i walizeczek, jakie znajdziesz w tym domu. Nie musisz się tym martwić.

- Nie powiedział mi pan, jak długo zamierza tam zostać. Nie mam więc wyboru - muszę być przygotowany na wszystko - odparł lokaj urażonym tonem, pomagając Reginaldowi zdjąć ubranie. - Pana dama spodziewa się zapewne, że będzie pan wyglądał nadzwyczaj elegancko.

- To nie jest moja dama, wszystko ci się pomieszało. - Uwolniwszy się wreszcie z obcisłej marynarki, Reginald zaczął odpinać guziki. - To wybranka Darleya. Towarzyszę im tylko jako przyjaciel.

- Lady Marian jest zbyt energiczną kobietą dla takiego dżentelmena jak lord Darley - odrzekł O'Toole tonem przygany. - Ona potrzebuje kogoś z naprawdę silnym charakterem, takiego jak pan.

Montague rzucił koszulę w kąt pokoju.

- Nie zamierzam się żenić, O'Toole, i z pewnością nie jestem dość bogaty, by spełnić oczekiwania tej damy. I przestań już o tym gadać, bo cię zwolnię.

O'Toole nucił pod nosem jakąś wesołą melodię, pomagając swemu panu w przygotowaniach do wieczornej wyprawy. Sprawy nie układały się jeszcze idealnie, ale przybrały już właściwy obrót. Wątpił, czy ktoś wynagrodzi go za wszystkie trudy i dyplomatyczne wybiegi, ale znacznie ciekawiej było samemu zabawiać się w stratega, niż przypatrywać się z boku rozwojowi wydarzeń i sekundować wraz z innymi którejs ze stron. Może powinien się zająć prawdziwą polityką?

Kiedy tylko Montague wyszedł z domu, O'Toole usiadł przy stole, na którym przez cały wieczór spoczywało kuszące pudełko na klejnoty. Młody lokaj zdążył już poznać wszystkie tajemnice domu swego pana, włącznie z nielicznymi klejnotami, znajdującymi się w jego posiadaniu. Ten z pewnością do nich nie należał. O'Toole otworzył pudełko i gwizdnął z podziwem.

Rubin migotał kusząco w świetle lampki. Diamentowa oprawa mieniła się barwami tęczy. Złoto iskrzyło się tak, jakby było prawdziwe. O'Toole wziął naszyjnik do ręki i przebiegł palcami po kunsztownie zdobionym łańcuszku. Klejnot był wykonany na tyle dokładnie, by zwieść każdego laika, ale nie eksperta. Rudowłosey lokaj nie musiał się długo zastanawiać, by wiedzieć, skąd pochodzi oryginał.



Nikt, kto choć trochę znał się na klejnotach, nie mógłby zapomnieć tego naszyjnika. Wiele razy podziwiał go przecież na portrecie nieżyjącej markizy Effingham.

Wciąż pogwizdując cicho, O'Toole schował naszyjnik i rozejrzał się uważnie po pokoju. Skoro znalazł kopię, to powinien znaleźć i oryginał. Oczywiście mogło go nie być w tym pomieszczeniu, ale jego przebiegły pracodawca chyba nie bez powodu zostawił fałszywy klejnot właśnie tutaj.

Zaczął od zapakowanej częściowo walizki.

Ósmy markiz Effingham, lord Arinmede, wicehrabia Lawrence wpatrywał się tępo w płomyk jedynej świecy, która oświetlała doskonale uporządkowane, choć pokryte grubą warstwą kurzu biurko. Ciężkie, lekko zapleśniałe zasłony na oknach za jego plecami skutecznie tłumiły odgłosy nocy, jednak raz po raz kołysały się delikatnie, poruszane powiewami wiatru, wciskającego się do wnętrza domu przez rozbite szyby. Przy każdym ruchu zasłon płomyk świecy przygasał na chwilę.

Ściana naprzeciwko biurka zastawiona była regałami wypełnionymi niezliczoną liczbą książek. Białe światło rozpałało od czasu do czasu złote litery na skórzanych obwolutach, ale markiz w ogóle tego nie dostrzegał. Po drugiej stronie hallu znajdował się drugi pokój, który mieścił w sobie jeszcze więcej tomów. Była to ogromna biblioteka, większa niż jakakolwiek z tych, które widział w Ameryce, może oprócz bibliotek w Nowym Jorku. Wciąż był pod wrażeniem tej ogromnej ilości wiedzy i świadectw historii, jakie od pokoleń cierpliwie gromadzo-

no w tych murach. Jednak w tej chwili nie myślał wcale o przeszłości.

Markiz zmiął w dłoni nakreśloną pospiesznie notkę i rzucił ją na wyblakły turecki dywan pokrywający podłogę, mrucząc przy tym ze złością:

- Niech wszyscy diabli wezmą tego Michaela... - Sięgnął po karafkę z brandy i nalał sobie cały kieliszek.

Nie mógł widzieć lustra na bocznej ścianie, w którym odbijała się jego sylwetka pochylona nad biurkiem. Obraz ten pasowałby doskonale do szeregu portretów, zdobiących ścianę nieco wyżej. Przedstawiał on wysokiego, barczystego mężczyznę o długich czarnych włosach - nieco zbyt długich jak na obowiązującą modę - ciemnej, spalonej słońcem karnacji i ostrym, arystokratycznym nosie. Żywe, piwne oczy o przenikliwym spojrzeniu dopełniały obrazu. Kiedy obrócił głowę, blade światło nie odsłoniło wyraźnie białych szram, pokrywających jedną stronę jego twarzy.

Markiz wypił łyk brandy i przeklął głośno własną ciekawość i nieobecność Michaela. Wydawało mu się oczywiste, że powinien poznać swych krewnych, skoro już się tutaj znalazł. Z drwiącym uśmiechem spojrzął na zdobiony bogato sufit i wyblakłe, połączone stiuki.

Był jeszcze chłopcem, kiedy stał się posiadaczem tytułu, dowiedział się o tym zaś dopiero po śmierci matki. Minęło wiele lat, zanim udało mu się zebrać dość pieniędzy, by wybrać się do Anglii i nie wyglądać przy tym na biedaka. Oczyma wyobraźni widział ogromny zamek, pełen służby, poddanych i wszystkich tych cudów, o których słyszał jako dziecko. Powinien był się domyślić, że posiadłość, która nie przynosi dość dochodów, by zapewnić swemu spadkobiercy podróż do Anglii, niewarta jest w ogóle tej wyprawy.

A teraz Michael opowiada mu na dodatek o tej biednej wdowie i jej córce, jakby on mógł pomóc w czymkolwiek zupełnie nie znanym mu ludziom. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że uda mu się wcisnąć do rodziny jakiegoś bogatego hrabiego, który spłaciłby wszystkie długi i należności, czyniąc zadość sentymentalnym ideałom „ratowania rodziny”. Wdowa bez grosza raczej nie pasowała do tego obrazu.

Jęknął cicho i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Choć przy każdym ruchu markiza z fotela wydobywały się kłęby kurzu, był to jedyny mebel w całym domu, który nie został przykryty niesamowitym, upiornym wręcz przescieradłem. Zastanawiał się, ile pieniędzy uda mu się dostać za te stare, rozsypujące się meble - może wystarczy przynajmniej na opłacenie powrotu do Stanów.

Powinien skrócić Michaelowi kark. Prawie przez całe życie potrafili utrzymać się jedynie dzięki własnemu sprytowi i inteligencji. Dlaczego Michael zechciał nagle zmienić to wszystko? Cóż miał niby zrobić - machnąć czarodziejską różdżką i urządzić wspaniałe przyjęcie? To Michael miał czarodziejską różdżkę. Niech on sobie nią macha.

Ta myśl uspokoiła nieco rozsierdzonego markiza. Szczercząc zęby do zniszczonych gobelinów, kołyszących się łagodnie w podmuchach wieczornej bryzy, podniósł kieliszek, pijąc za własny zdrowy rozsądek. Niech posiadłość Arinmede po raz ostatni przywita gości.

## *Rozdział jedenasty*

Kiedy następnego ranka podróżni ruszyli w drogę, lando Darleya wiozło dwóch służących i mnóstwo bagażu. Panowie woleli jechać konno, obok powozów, od czasu do czasu mogli się nachylać do okien i rozmawiać z damami.

Kareta markiza była już dość stara, miała źle wyważone koła, a czwórka wynajętych koni, które ją ciągnęły, zupełnie do siebie nie pasowała. Milczący stangret pociągał od czasu do czasu z butelki, ukrytej pod płaszczem. Reginald i Darley nie spuszczały z niego oka.

Reginald niepokoił się jednak bardziej o fortunę, którą wioził ze sobą. Wolał co prawda nie zabierać naszyjnika, ale nie miał też czasu, by znaleźć jakieś lepsze miejsce na jego przechowanie. Chciał zwrócić go lady Marian, ale nie miał jeszcze okazji po temu. Miał nadzieję, że tego wieczoru znajdzie się z nią choć przez chwilę sam na sam i odda ten ciężący mu skarb.

Poprzedniego wieczora nie mógł odetchnąć spokojnie, aż do chwili, gdy powrócił do domu i znalazł kopię na

stole, a oryginał tam, gdzie go zostawił, to jest w walizce w ubraniach. O'Toole nie wspomniał o tym ani słowem, co samo w sobie było podejrzane, ale zostawił klejnot w spokoju. Nie chcąc zostawiać tak cennego przedmiotu w domu, wczesnym rankiem Reginald wyjął oryginał z pudełka i włożył go do swej sakiewki. Na wszelki wypadek wsunął do siodła pistolet.

Dzień zaczął się pogodnie. Podróżni mieli nad sobą czyste, błękitne niebo. Wiosenny wiatr kołysał pąki żonkili w wiejskich ogródkach, które mijali po drodze. Radosny śpiew ptaków wypełniał korony drzew pokryte zielenią młodych liści. Świeże powietrze nastrojało pogodnie damy, tak iż nawet nieśmiała Jessica wybuchnęła głośnym śmiechem przy którymś z żarcików Darleya. Reginald pomyślał, że powinien chyba częściej wybierać się za miasto.

Spojrzenie pana Montague'a powędrowało ku lady Marian, która siedziała nieruchomo w karecie i w zamyśleniu przyglądała się widokom za oknem. Znowu miała na głowie żółty czepek, a na jej policzku wiła się kusząco wąska wstążeczka. Marianna odsunęła ją na bok niecierpliwym gestem, ale wstążka niemal natychmiast opadła w to samo miejsce. Młoda dama nawet tego nie zauważyła.

Reginald próbował powędrować spojrzeniem za jej wzrokiem, ale Darley był po drugiej stronie karety, a lady Marian siedziała tyłem do koni i patrzyła w przeciwną stronę niż reszta towarzystwa. Zdawało się, że wcale nie widzi pięknej wiosny, lecz jakąś ciemną chmurę, którą jej wyobraźnia zawiesiła nad horyzontem.

Reginald zatrzymał się na moment przy drodze, pozwalając swemu wierzchowcowi skubnąć świeżej trawy i obejrzał się dyskretnie za siebie. Ze zdumieniem stwier-

dził, że nad horyzontem naprawdę gromadzą się ciemne chmury. Jeśli nie ponaglą koni, bez wątpienia złapie ich deszcz.

Ta przeklęta kobieta powinna była coś o tym powiedzieć. Rozzłoszczony Reginald spiął konia i zrównał się z Darleyem. Pokazał mu chmury i obaj doszli do wniosku, że należy przyspieszyć. Polecili więc woźnicy, by przynaglił konie. Milczący gbur spojrzął na nich z dezaprobatą i sięgnął po butelkę.

Przeklinając głośno, Reginald kazał mu się zatrzymać. Woźnica nie posłuchał i tego rozkazu, a udało mu się jedynie ściągnąć na siebie uwagę dam. Lady Grace i Jessica nie zdawały sobie sprawy, czym może się zakończyć ten nieoczekiwany spektakl, ale Marianna wyraźnie się zaniepokoiła. Wyglądało na to, że zamierza sięgnąć przez drzwiczki zapadowe, chwycić stangreta za połę płaszcza i dać mu po uszach, jeśli ten nie spełniłby jej poleceń.

Reginald pomyślał, że powinien pozwolić jej to zrobić, ale wychowano go przecież na dżentelmena. Po krótkiej naradzie z Darleyem podjechał tak blisko powozu, jak to było możliwe, sięgnął do góry i odszukał palcami uchwyt, oparł stopę na jakimś występie, po czym wysunął się z siodła i wskoczył na siedzenie woźnicy. Darley pochwycił jego konia i odjechał do tyłu, by przywiązać wierzchowca do landa.

Gburowaty stangret podniósł bat, jakby zamierzał go użyć, ale Reginald nie na darmo spędzał długie godziny na sparingach z panem Jacksonem. Z trudem powstrzymał się, by nie uderzyć prostaka w twarz, złapał go za podniesioną rękę, wyrwał bat, drugą zaś dłonią pochwycił

opadające lejce. Tłumiąc przekleństwo, stangret dał za wygraną, wcisnął się w kątek budki i zasłonił trzymaną w dłoni butelką.

- Brawo - wyszeptał słodki głos za jego plecami.

Reginald dopiero teraz zauważył, że drzwiczki były przez cały czas otwarte. Obejrzał się szybko i rzucił okiem na damę, która do niego mówiła. Spodziewał się ujrzeć tam ciemne loki i bystre oczy lady Marian i nie rozczarował się. Ta kobieta naprawdę miała temperament, musiał to przyznać.

- Jak się miewa pani mama i siostra? - Spytał Reginald cicho, kiedy już zapanował nad końmi i przynaglił je do szybszego biegu.

- Uważają, że jest pan bardzo dziwny, ale doszły do wniosku, że musi pan należeć do klubu cyrkowców, o którym już kiedyś słyszały. Widocznie członkowie tego klubu potrafią wyprawiać niesamowite sztuczki. - Lady Marian mówiła przyciszonym głosem, tak by nie usłyszały jej damy gawędzące z lordem Darleyem.

Reginald parsknął drwiąco.

- Znam o wiele przyjemniejsze zajęcia niż chodzenie w ohydnej kamizelce i spędzanie czasu na zameczaniu dobrych koni. Mam nadzieję, że to wyznanie nie rozczaruje szanownych pań.

- Myślę, że będą szczęśliwe, jeśli dowiedzie nas pan na miejsce, zanim rozpocznie się burza. Moja siostra boi się grzmotów.

Ach, więc stąd to zamyślane spojrzenie... No cóż, powinien był się chyba spodziewać, że lady Marian nie ma w zwyczaju marzyć na jawie o prawdziwej miłości. Reginald trzasnął batem nad grzbietami koni.

- Proszę zamknąć drzwiczki, lady Marian. Te chabety niewiele są warte, ale spróbuję je jeszcze popędzić.

Powóz poderwał się nagle do przodu i począł kołysać miarowo na boki, kiedy konie ruszyły szybszym tempem. Marianna odwróciła się do matki, która wyglądała na lekko zaniepokojoną. Powinna była pamiętać, że tak jak Jessica bała się burzy, lady Grace nie cierpiała szybkiej jazdy. Ich lęki i uprzedzenia wystarczyłyby z pewnością dla trzech kobiet, dlatego też Marianna czuła się całkiem usprawiedliwiona, iż ona sama nie jest równie wrażliwa i delikatna.

- Pan Montague chce dojechać na miejsce przed deszczem - uspokoiła obie damy.

Lady Grace skinęła niepewnie głową i złożyła dłonie na kolanach, starając się nie spoglądać więcej za okno.

Chmury wisiały już nad ich głowami, a łagodny wietrzyk zamienił się w gwałtowną wichurę, kiedy dotarli do bram posiadłości Arinmede. Jeśli kiedykolwiek stała tu prawdziwa brama, to teraz nie pozostało z niej nic, oprócz porozrzucanych dokoła kamieni. Przylegająca do nich zaprawa dawno już skruszała i zmieszała się ze żwirem, pokrywającym ziemię.

Wzdłuż drogi prowadzącej do posiadłości rosły stare, potężne, wiecznie zielone drzewa, rozkołysane teraz przez gwałtowne podmuchy wiatru. Marianna wypatrywała niecierpliwie widoku domostwa, ale skryty był jeszcze za ścianą roślinności. W górze rozległ się nagle potężny grzmot, a Jessica pisnęła przeraźliwie i przysunęła się bliżej do matki.

- Czy tak to wyglądało, kiedy tu mieszkaliśmy? - spytała Marianna, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej o czasach, których już nie pamiętała.



- Drzewa były wtedy młode. Zasadził je twój dziadek. Widział podobne podczas jednej ze swych podróży. Wtedy nie wyglądały tak wspaniale jak teraz.

- Daleko jeszcze? Czy z tego miejsca widziałas już wtedy dom?

Lady Grace objęła mocno młodszą córkę, kiedy kolejny grzmot zakołysał ziemią, a powóz wysunął się na moment z kolein.

- Park jest dość rozległy, ale już wkrótce powinnaś go zobaczyć.

Wichura przyginała drzewa do ziemi, a pierwsze krople deszczu zaczęły bębnić o dach powozu, kiedy wyjechali wreszcie z parku i znaleźli się na półkolistym podjeździe pod drzwiami domostwa. Marianna przyglądała się wszystkiemu uważnie, kiedy karetka skręciła gwałtownie, a za oknem ukazał się dom, jednak był zbyt wielki, by ogarnąć wszystko jednym spojrzeniem.

Tuż przed nią wznosiła się szara, kamienna ściana wiejskiej rezydencji. Duże, regularnie rozmieszczone okna wskazywały na to, iż budynek został wzniesiony pod koniec poprzedniego wieku. Zarówno ściany, jak i okna pokryte były w większości gęstwiną bluszczu. Kolczaste krzewy, które niegdyś były zapewne różami, ocierały się o kamienny mur, a towarzyszący temu dziwny dźwięk wypełniał krótkie chwile ciszy pomiędzy kolejnymi grzmotami.

Goście czekali przez moment na służących, którzy przybiegliby im z pomocą, jednak ponaglani coraz gwałtowniejszą ulewą Reginald i Darley zagnali własnych lokajów do wyładowywania bagaży.

Nie czekając na zaproszenie, O'Toole obładowany kil-

koma walizami wbiegł na schody, otworzył masywne, rzeźbione drzwi i wszedł do wnętrza domu. Zaskoczone nieco tym niegrzecznym zachowaniem damy wzbraniały się przed wejściem, nie chcąc jednak przemoknąć, ruszyły w ślady rudowłosego młodzieńca.

Marianna podniosła głowę i obrzuciła spojrzeniem wielki hall. Kilkanaście metrów wyżej znajdowało się niewielkie okno, z witrażem zamiast szyby. Wyobraziła sobie, jak cudownie musiały tańczyć na marmurowej podłodze promienie słońca, wpadające przez to właśnie okienko do wnętrza domu. Gdzieś na dnie jej pamięci pojawiło się nagle wspomnienie małej dziewczynki, która leży na podłodze i pozwala, by jasne promyki igrały na jej sukience, a potem zdawało jej się, że słyszy głęboki śmiech ojca, który odnalazł ją tutaj właśnie. Może była to tylko jej wybujała wyobraźnia.

Ściany pokryte były ciężką, ciemną boazerią, której brakowało lekkości i ozdób w stylu architekta Adamsa. Z pewnością ta surowość miała w sobie pewien urok i godność, podkreślaną jeszcze przez wizerunki greckich bogów - jedyną dekorację wielkiego hallu. Marianna podejrzewała, że długi korytarz ciągnący się za foyer, prowadził do gabinetów pana domu, biur i sal bilardowych. Po chwili jej uwagę przykuła misternie rzeźbiona, mahoniowa poręcz na schodach pnących się ku górze.

Właśnie tam poprowadził ich O'Toole. Ponieważ nadal nie pojawił się żaden służący, grupka gości mogła tylko kręcić się bezradnie po hallu i przyglądać gwałtownej ulewie. Ostatnia walizka została wniesiona do wnętrza domu, a karety zjechały z podjazdu i ruszyły w stronę stajni. Kiedy w dalszym ciągu nikt nie fatygował się, by

ich przywitać, Reginald postanowił przejąć inicjatywę, chwycił jedną z waliz i poszedł śladem swego służącego.

Lord Darley próbował powstrzymać Mariannę, która także wzięła część swego bagażu, jednak ta uważała, że nie ma najmniejszego sensu czekać beczynn timer na dole, kiedy najwyraźniej w domu brakowało służących. Niosła więc biżuterię i kosmetyki, podczas gdy Lily wzięła pudła z kapeluszami. Nawet Jessica i lady Grace zabrały ze sobą jakieś drobne paczki i zaczęły wspinać się po wspaniałych schodach.

Kiedy weszli na pierwsze piętro i zajrzeli do pomieszczeń ciągnących się po obu stronach korytarza, wszystko stało się jasne. Rezydencja była okropnie zaniedbana, meble wciąż były przykryte prześcieradłami, we wszystkich kątach i drzwiach wisiały gęste pajęczyny. Marianna starała się rozpaczliwie przywołać jakieś wspomnienia związane z tymi miejscami, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Tym razem inicjatywę przejęła lady Grace, która zaprowadziła mężczyzn do ich skrzydła, sama zaś z córkami udała się do skrzydła dla pań. Lily i służący obu dżentelmenów kręcili się przez chwilę między nimi, usiłując zaprowadzić porządek wśród licznych waliz, kufrów i paczek. Tymczasem panie wybrały dla siebie dwa oddzielne pokoje, a panowie znaleźli swoją komnatę.

Marianna natknęła się na pana Montague'a, kiedy wyruszyła na poszukiwanie jednego ze swoich pudełek. Ten pozwolił jej przejrzeć bagaże, które niósł, aż Marianna w końcu odnalazła swoją własność. Wtedy Reginald postawił cały stos paczek na stole zdobionym kością słoniową i zaczął je układać jeszcze raz. Tymczasem na dworze przewalały się grzmoty, a krople deszczu dudniły ciężko o dach.

- Ten pani markiz jest większym dziwakiem, niż się spodziewałem - wymamrotał Reginald, strząsając kurz z rękawa. - W salonie obok mojego pokoju stoją dwie zastawy chińskiej porcelany z okresu dynastii Ming, obie warte całą fortunę, ale za to nie ma ani jednego służącego, który sprawdziłby chociaż, czy kominki nie zamakają. Wolę nawet nie myśleć o tym, jak wiele stracono przez zwykłe zaniedbanie.

Marianna odpowiedziała szeptem, jakby bała się, że ściany wokół mają uszy.

- Widział pan bibliotekę? Jest ogromna, ale boję się tam wejść. A jeśli sufit przecieka? Kiedy pomyślę, że wszystkie te książki mogą być zniszczone, robi mi się słabo.

Montague uśmiechnął się figlarnie.

- Pewnie chciałyby pani zabrać kilka, co? Stary i tak nie zauważy. Przejdziemy się tam za chwilę i zobaczymy, co ciekawego kryje biblioteka markiza?

Marianna rzuciła mu przenikliwe spojrzenie, nie wiedząc, czy Montague żartuje, czy też znowu chce ją sprowokować. Nie zdążyła jednak niczego się dowiedzieć, gdyż podszedł do nich lord Darley, niosąc na górę resztę bagaży.

- Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkałem się z tak dziwnym przyjęciem. Mam wrażenie, że powinniśmy znieść wszystko z powrotem i wracać do domu.

Darley zdjął kapelusz, a jego ciemne włosy rozsypały się w nieładzie i zasłoniły mu oczy. Młodzieniec odgarnął je na bok niecierpliwym gestem i natychmiast przyłgął spojrzeniem do lady Marian.

Reginald zdał sobie sprawę, że ich szeptana konwersacja mogła być źle zrozumiana, odszedł więc na kilka kroków

od podstępnej lady Marian i wysunął się z cienia. Okienko po tej stronie hallu zapewniało nieco więcej światła.

- O'Toole zszedł do kuchni, żeby poszukać kogoś ze służby. Może znajdzie przynajmniej świeczki i trochę drewna. Wkrótce zrobi się tu całkiem ciemno i chłodno.

Marianna podniosła odnalezione pudełka i ruszyła w stronę swego pokoju.

- Ciemność i chłód są dosyć nieprzyjemne, ale ja umieram w tej chwili z głodu. Jeśli nie znajdzie się kucharz, to sama zejdę do kuchni i sprawdzę, czy spiżarnia jest tak samo pusta jak reszta tego domu.

- Jeśli rzeczywiście chcesz to zrobić, moja droga, musisz pozwolić, bym ci towarzyszył. W tych pokojach mogą kryć się jacyś hultaje, a tobie mogłaby się stać krzywda. Gdyby nie pogoda, nalegałbym na powrót do Londynu.

Darley odstawił swoje walizki i pospieszył Mariannie z pomocą. Ta rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie, ale pozwoliła wyświadczyć sobie tę grzeczność.

- Mama byłaby bardzo rozczarowana. Teraz odbywa właśnie podróż sentymentalną przez sypialnie, a później chce pokazać mi portret ojca. Przecież kiedyś był to jej dom, nic więc dziwnego, że teraz zachowuje się trochę jak gospodyni.

Darley ogarnął spojrzeniem nisze ciągnące się wzdłuż korytarza. W każdej z nich znajdował się marmurowy piedestał zwieńczony popiersiem jakiegoś greckiego boga. Młody arystokrata pokręcił głową, zatroskany.

- Należałoby to wszystko odnowić. Moda na starożytność skończyła się jeszcze za Jerzego I, o ile się nie mylę. Może nowy markiz chciałby poprosić lady Grace o pomoc przy odnawianiu tych dziwactw.

- Lepiej dajmy spokój marzeniom, bo tym bardziej będziemy potem rozczarowane. Pospieszmy się, jeśli chcemy, żeby moja mama pokazała nam dom.

Reginald obserwował, jak oboje znikają po drugiej stronie korytarza, a w uszach wciąż dźwięczały mu słowa lady Marian. Dajmy spokój marzeniom. Podniósł wzrok i spojrzął na szczególnie odrażający portret jednego z wcześniejszych markizów, odzianego w szesnastowieczny dworski strój. Wszyscy oni to hultaje, pomyślał ponuro, bo tylko tak mógł nazwać kogoś, kto kradnie marzenia młodej dziewczynie.

Całe szczęście, że jest rozsądnym, opanowanym człowiekiem. Inaczej mógłby się bowiem pokusić o odnalezienie ostatniego z tych darmozjadów, którzy skradli sny młodej damy, i wbić mu trochę rozumu do głowy.

Ostatni z hultajów, który zajmował myśli pana Montague'a, opierał się właśnie o ścianę i wsłuchiwał w odgłos kroków, przemykających w różne strony zakurzonego korytarza. Przy odrobinie wysiłku mógłby słyszeć też rozmowy, ale czuł się dosyć głupio słysząc nawet te pojedyncze zdania, które doń docierały. Nigdy dotąd nie splamił się podsłuchiowaniem.

Jednak przekłeta ciekawość kazała mu podglądać damy, które zwiedzały zachodnie skrzydło. Według jego obserwacji, budynek był wciąż w nie najgorszym stanie, nic więc nie powinno im grozić w trakcie tych wycieczek. Chciał tylko przyjrzeć się swym jedynym żyjącym krewnym, poza niesfornym bratem.

Ukryty korytarz, w którym się teraz znajdował, nie

został jednak zbudowany z myślą o podglądaniu innych domowników. Kiedy odkrył go wkrótce po przyjeździe, pomyślał, że jakiś perwersyjny przodek chciał przyglądać się użytkownikom różnych sypialni na tym piętrze. Nie udało mu się jednak odnaleźć żadnych otworów, przez które można by kogoś obserwować. Doszedł więc do wniosku, że korytarz służył temu, by pan domu mógł potajemnie odwiedzać swą ukochaną. Prowadził on bowiem prosto z sypialni pana do ślicznie przystrojonego pokoju na samym końcu skrzydła dla pań.

W tej chwili znajdował się właśnie za ścianą tego pokoju. Wejście do sypialni ukryte było za szafą, której drzwi otwarte były na oścież. Jeżeli staną tylko w odpowiednim miejscu, będzie je mógł zobaczyć.

Usłyszał ich głosy. Mógł już nawet oddzielać poszczególne wypowiedzi i identyfikować rozmówców. Łagodny, opanowany głos starszej kobiety z pewnością należał do lady Grace, wdowy po jego kuzynie. Nieśmiały, dziewczęcy głosik mógł wydobywać się tylko z ust Jessiki, córki lady Grace z jej drugiego małżeństwa. Ten trzeci głos...

Właścicielka trzeciego głosu stanęła dokładnie tam, gdzie powinna, przed portretem jej ojca. Ósmy markiz Effingham oparł się plecami o ścianę, skrzyżował ręce na piersiach i przyglądał się uważnie swej młodej kuzynce.

Wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Michael. W jej żyłach płynęła krew Lawrence'ów. Czarne loki okalały twarz, która nie była może olśniewająco piękna, ale ciemny aksamit jej oczu, urocze rumieńce na policzkach i pełne, delikatne usta pasowały idealnie do obrazu jej przodków.

Markiz dotknął palcami pociętego bliznami policzka, który miał kiedyś ten sam śniady, słoneczny odcień

## KLEJNOT

co jej skóra. Po chwili przeniósł spojrzenie na portret mężczyzny o podobnych rysach twarzy. Jego ojciec wyglądał niemal tak samo, choć on sam prawie go nie pamiętał. Wspomnienia odświeżał za pomocą miniaturowej podobizny z zegarka, który odziedziczył po matce. Podobieństwo było naprawdę uderzające, choć ojciec trochę się roztył na starość. Markiz nie lubił o tym myśleć, gdyż wtedy przypominał sobie, o ile młodsza była jego matka, i zaczynał usprawiedliwiać ją w myślach.

No dobrze, więc w końcu się tutaj znaleźli. I cóż on, u licha ma teraz zrobić?

Przyszło mu jedynie do głowy, by jak najszybciej odnaleźć Michaela i porządnie złoić mu skórę.



## *Rozdział dwunasty*

Reginald siedział nieruchomo i wpatrywał się posepnie w oblepione błotem buty, podczas gdy wokół niego powietrze dźwięczało radosnym śmiechem. Najwyraźniej panny Effingham i Oglethorp były równie dobrze obznajomione z kuchnią co i z salonami. Teraz właśnie z nie ukrywaną przyjemnością przeszukiwały spiżarnie i piwnice z winami, wyprawivszy wcześniej służących na poszukiwanie opału do wielkiego, starego pieca i oliwy do lampek zwisających z belek nad ich głowami. Służący Reginalda zniknął, gdy tylko padła wzmianka o pracy, która mogłaby skalać jego śnieżnobiałe mankiety.

Reginald jeszcze raz dotknął naszyjnika ukrytego w kieszeni. Wcześniej schował kopię w sekretnej szufladzie, którą odkrył przypadkiem w biurku w jego pokoju. O'Toole może go szukać całymi godzinami.

Reginald nie martwił się jednak naszyjnikiem. Skrzywił się z niesmakiem, kiedy Darley spytał, czy dobrze posiekał

marchewkę. Wybuch śmiechu był dlań chyba wystarczająco jednoznaczną odpowiedzią. Pan Montague obawiał się, iż zaczyna powoli wierzyć, że lady Marian rzeczywiście może zostać żoną jego przyjaciela.

Nie miał pojęcia, dlaczego to stwierdzenie miałyby go smucić. Powinien się raczej cieszyć. Zamiast siedzieć tutaj, przyglądać się swoim butom i podsycać ogień, powinien być już w drodze do Londynu, skąd przywiózłby pastora i zezwolenie na ślub. Majątek Darleya zapewniłby wszystkim trzem damom spokojne życie. Nie musiałyby już martwić się o markiza, który nie miał dość odwagi i godności, by pojawić się w swym niszczącym domu.

Może powinien uczynić jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jedną próbę, która odkryje przed Darleyem prawdziwą naturę tej damy. Nie mógł pozwolić, by jego przyjaciel ożenił się z kobietą, którą uważał za uosobienie łagodności i słodyczy, podczas gdy potrafiła być cierpka jak zimna lemoniada w upalny letni dzień, i równie zręczna i ostra jak skalpel chirurga. Reginald nie był pewien, czy Darley w pełni doceni te cechy charakteru, lecz przyjaciel był tak zakochany, że zaakceptowałby je w razie konieczności. Bez wątplenia musi jednak zrozumieć, z kim chce spędzić resztę życia, nim dojdzie do samego aktu małżeństwa.

Na myśl o scenie, która będzie musiała zostać odegrana, Reginald pograżył się w jeszcze głębszym smutku. Pogrzebał w ogniu, oznajmił, że piec jest już gotowy i ruszył do wyjścia, zamierzając natychmiast ukryć się w bibliotece.

- Panie Montague! Nie może nas pan teraz opuścić, chyba że przywoła pan tutaj tego swojego gburowatego lokaja. Ktoś musi pokroić boczek, a te noże są chyba dość

tępe. - Marianna wskazała na sztućce, wiszące nad deską do krajania.

Reginald skrzywił się lekko. Chciał powiedzieć, że nie zna się ani trochę na kuchni i na nożach, ale w rzeczywistości wiedział o tym całkiem sporo. Już dawno umarłby z głodu, gdyby nie nauczył się dobrze gotować i poruszać w kuchni wynajmowanego mieszkania w czasach swej zmarnowanej młodości. Podszedł więc do deski, wziął nóż i zaczął rozglądać się za wilgotnym kamieniem.

- Zdaje się, że pan Montague dąsa się na nas - powiedziała Marianna pogodnym tonem, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Może powinniśmy pozwolić mu posiedzieć trochę na górze w wilgoci i kurzu, podczas gdy będziemy przygotowywać jedzenie.

Darley uśmiechnął się wesoło do pleców swego przyjaciela. Scena sprzed kilku kwadransów, kiedy ujrzał, jak Reginald i lady Marian rozmawiają ze sobą szeptem, wprowadziła do jego serca lekki niepokój, jednak prowokujący ton Marianny uspokoił go wreszcie. Kobiety zazwyczaj nie naigrywają się z mężczyzn, na których im zależy.

- Zdaje się, że widziałem tron w którymś pokoju. Moglibyśmy posadzić tam Reginalda i sprowadzić kilka psów, które leżałyby u jego stóp. Potrzebujemy też chyba jakiegoś mięsiwa z kośćmi, które mógłby ogryzać i rzucać psom. A jego służący doskonale odgrywałby rolę błazna bawiąc go swoimi sztuczkami. - Darley pomachał nożem i poprosił, by panie jeszcze raz przyjrzały się posiekanej przezeń marchewce.

Lady Grace pozbierała szybko wszystkie warzywa i wrzuciła je do garnka, nie zwracając uwagi na przekomarzania młodych ludzi. Nuciła pod nosem jakąś melodię, mieszając

zawartość jednego garnka i spoglądała od czasu do czasu na Jessikę, która zajmowała się jajkami.

- Jeśli mam zostać panem tego zamku, to zażądam lepszych służących niż wy. Bezcelność zaś zostanie ukarana chłostą. - Reginald skończył wreszcie ostrzyć nóż i rzucił na deskę do krojenia spory kawał boczku.

W tylnym wejściu pojawił się nagle O'Toole, niosąc pod pachami dwa oskubane kurczaki. Wszyscy odwrócili się jak na komendę i ze zdumieniem wpatrywali w rudowłosego lokaja. Deszcz wciąż bębnił o dach, jednak O'Toole był zupełnie suchy. Po chwili milczenia spojrział pytająco na swego pracodawcę.

Reginald nie wyglądał na zachwyconego.

- Świetnie. Będziemy mieli jajka na kolację i drób na śniadanie. Trochę się spóźniłeś, mój drogi.

Lady Grace uśmiechnęła się do lokaja łagodnie i wzięła od niego kurczaki.

- Podgotuję je dziś wieczorem i zjemy je jutro na obiad.

Darley poruszył się niespokojnie.

- Myślę, że powinniśmy wyjechać jutro rano. Nie wydaje się, żeby nasz gospodarz był w domu.

- Przecież wysłał po nas powóz - przypomniała mu Marianna. - Może powinniśmy przeszukać dobrze cały dom po kolacji. Może leży w komnacie, której jeszcze nie znaleźliśmy.

- Och! - Jessica omal nie wypuściła z dłoni łyżki, która z brzękiem uderzyła o patelnię. - Jeśli jest chory, to natychmiast musimy go odszukać. Biedaczek może właśnie w tej chwili umierać.

- Jeśli ten „biedaczek” nie musi sobie sam gotować, to siedzi teraz pewnie we wsi ze swoim służącym. Schował

się pewnie przed deszczem w gospodzie, grzeje stare kości przy kominku i śmieje się w kułak, kiedy pomyśli o naszych odwiedzinach.

Darley spozjrzał na Mariannę, zdumiony sarkastycznym tonem w jej głosie, ale właśnie wtedy rozległ się jakiś dziwny dźwięk, odbity echem od ścian kuchni. Wszyscy niemal podskoczyli ze strachu.

- To brzmiało jak jęk - wyszeptwała Jessica, blednąc ze strachu i emocji. Rozejrzała się niepewnie po ciemnych zakamarkach kuchni.

- Powiedziałbym raczej, że to brzmiało jak śmiech jakiegoś obłąkanego ducha - powiedział Reginald posępnym tonem i natychmiast tego pożałował, gdyż obie panie Oglethorp zbladły jak ściana. Marianna wyglądała na zaintrygowaną.

- Nie umiem powiedzieć, skąd to dobiegło - oznajmiła cicho, nasłuchując uważnie, czy dźwięk się nie powtórzy.

- Jestem pewien, że to były wiewiórki, które znalazły sobie tutaj kryjówkę. My też mieliśmy je kiedyś w komórce. Przekłete stworzenia robiły okropny hałas, dopóki nie odnaleźliśmy ich i nie przegoniliśmy z domu. Po kolacji sprawdzę, czy nie kryją się gdzieś w pobliżu. - Darley uśmiechnął się do kobiet uspokajająco.

Lady Grace i Jessica odetchnęły z ulgą i powróciły do gotowania, jednak Marianna rzuciła swemu zalotnikowi poirytowane spojrzenie - co nie uszło uwagi Reginalda. Wiewiórki nie jęczą ani nie śmieją się. A może był to chichot lub kaszel. Z pewnością jednak odgłos taki mógł wydać tylko człowiek - chyba, że ktoś wierzył w duchy. Reginald miał na ten temat własne zdanie, zwłaszcza gdy skojarzył dziwne dźwięki z żartami na temat nieobecnego markiza.

Począł jednak, aż zakończy się przygotowana naprędce kolacja, która była zadziwiająco smaczna, choć Reginald był już tak głodny, iż zjadłby nawet gotowanego szczura, gdyby nie miał wyboru. Potem, gdy lord Darley oświetlał drogę do salonu, pan Montague wymknął się tylnymi drzwiami na poszukiwania tajemniczego „ducha”.

Po kilku minutach usłyszał ciche kroki i szybko schował się za drzwiami, by ukryć płomień świecy. Choć grzmoty ucichły już dość dawno, krople deszczu wciąż bębniły miarowo o szyby okien. Nazajutrz drogi z pewnością będą nieprzejezdne. Powinien wstrzymać się z poszukiwaniami do rana.

- Panie Montague, wiem, że pan tam jest. Proszę nie próbować mnie przestraszyć, bo mogę przypadkiem podpalić to miejsce.

Słyszając głos Marianny, Reginald wyszedł z ukrycia.

- Powinienem był się domyślić, że nie zechce pani siedzieć w salonie i trząść się ze strachu. Nie boi się pani tych dziwnych rzeczy, które przytrafiają się młodym damom, zwiedzającym samotnie tajemnicze i ciemne miejsca?

W bladym świetle świecy jej twarz wyglądała niezwykle łagodnie i spokojnie. Ciemne loki ściągnięte do tyłu i założone za kształtne uszy nie różniły się prawie wcale od otaczających ich ciemności. Reginald poczuł jakieś szalone pragnienie, by pochylić się i pocałować jej lekko rozchylone usta. Wcale nie miał pewności, czy to nie byłoby najlepsze dla nich wszystkich.

- To był kiedyś mój dom, sir. Dlaczego miałabym się go obawiać? - spytała Marianna, zanim mógł wprowadzić w czyn swoje zamysły.

Reginald odsunął się na bezpieczną odległość, szukając lampki ustawionej na biurku.

- Owszem, ale nie należy on do pani już od dwudziestu lat, o ile mi wiadomo. Wiele może się zdarzyć przez tak długi czas.

Lampka, którą odnalazł wreszcie na rogu biurka, była świeżo napełniona. Reginald zdziwił się trochę, nie miał jednak czasu na dłuższe rozmyślenia, gdyż płomień lampy oświetlił cały pokój i odsunął na bok pokusy ciemności. Lady Marian wciąż trzymała w zaciśniętych kurczowo dłoniach zapaloną świeczkę, więc i ona nie czuła się całkiem bezpiecznie w mrocznym otoczeniu.

Reginald sięgnął do kieszeni i wyciągnął sakiewkę, która przez cały dzień nie dawała mu spokoju.

- Oto naszyjnik. Wolałbym, żeby miała go pani przy sobie, dopóki nie postanowi pani, co z nim zrobić.

Marianna nie wzięła od niego klejnotu. Spojrzała nań ze smutkiem i odwróciła się, by pooglądać stojące za nią regały z książkami.

- Myślę, że nie ma się nad czym zastanawiać. To chyba oczywiste, że markiz nie będzie nam mógł pomóc w ratowaniu domu. Wygląda raczej na to, że sam może stracić swój. Będę musiała zastawić naszyjnik.

Reginald zmarszczył brwi, poirytowany nieco tym, iż tak łatwo zrzucano na niego odpowiedzialność za tak drogo-cenny klejnot. Otworzył sakiewkę, by jeszcze raz przyjrzeć się naszyjnikowi i upewnić, że wszystko jest w porządku.

Światło lampy zamigotało we wnętrzu czerwonego rubinu i odbiło się od oprawy...

Reginald omal nie krzyknął i przysunął naszyjnik bliżej lampy. Oprawa z kryształu?

Próbował przemówić sobie do rozsądku i uspokoić się nieco. Przecież nosił naszyjnik ze sobą przez cały dzień. Od wielu lat zajmował się klejnotami i potrafił odróżnić kopię od prawdziwego arcydzieła. Dziś rano schował do kieszeni prawdziwe diamenty i rubin. Nie mogły się przecież zamienić w jakiś czarodziejski sposób w ciągu dnia.

Jeszcze raz przyjrzał się dobrze klejnotowi. Szkło. Nie rubin, lecz kawałek szkła.

Zduszony jęk, który wydobył się z jego gardła, musiał rozbrzmieć w całym pokoju. Marianna odwróciła się do niego i patrzyła nań z ciekawością.

- Nic panu nie jest? Wygląda pan trochę blado. Może powinien pan usiąść. Z pewnością jest tu gdzieś brandy, albo coś w tym rodzaju. Zdawało mi się, że widziałam tu przedtem karafkę.

Podniosła świeczkę, szukając karafki, która na pewno stała na biurku, kiedy oglądała ten pokój przed kolacją. Karafka zniknęła. Lady Marian zamrugała powiekami ze zdziwienia, ale pan Montague kręcił cały czas głową i wpatrywał się w naszyjnik z wyrazem takiego przerażenia na twarzy, że natychmiast przerwała poszukiwania i podbiegła do niego.

- O co chodzi? Co się stało?

Nie będąc w stanie wykrztusić z siebie choćby jednego słowa, Reginald podsunął jej pod oczy naszyjnik. Marianna nadal jednak nie rozumiała, o co chodzi. Dotykała palcami misternie plecionego łańcucha, ale zdawało jej się, że wszystko jest w porządku. Spojrzała więc pytająco na swego towarzysza. Zazwyczaj jego szare, zimne oczy patrzyły na nią wyniośle, a duma nadawała jego twarzy



wyraz stanowczości i powagi. Teraz jednak panika odślaniała jego ludzką naturę, ukrytą pod tą maską obojętności.

- To jest kopia - zdołał wreszcie wydusić zza zaciśniętych zębów. - To niemożliwe. Dziś rano, przed wyjazdem, włożyłem do kieszeni prawdziwy naszyjnik.

Zimny strach ścisnął serce Marianny, gdy wpatrywała się w błyszczący klejnot.

- Dla mnie wygląda jak prawdziwy. Ten dowcip nie jest zbyt zabawny, panie Montague.

- Nie jest zabawny ani trochę, zapewniam panią. Chodźmy na górę, tam zostawiłem kopię. Jeżeli to jest prawdziwy klejnot, kopia będzie tam, gdzie ją położyłem.

Kiedy odgłos ich kroków umilkł w oddali, ukryty za zasłoną mężczyzna odetchnął z ulgą i dotknął jeszcze raz ciężkiego naszyjnika, który schował niedawno do kieszeni. Jeśli Michael dobrze ocenił wartość klejnotu, będzie mógł kupić zań dość ziemi, by posiadłość znowu zaczęła dobrze funkcjonować. Do tej pory nie zdawał sobie jednak sprawy, że kradnąc go, odbierze tym damom ich dom.

Trzymając w dłoni karafkę brandy, ósmy markiz wyszedł z ukrycia i usiadł na fotelu przy biurku. Wypił spory łyk mocnego alkoholu i westchnął raz jeszcze. Nie najgorzej jak na starca, zachichotał pod nosem, kiedy brandy rozgrzało mu wnętrzności. Ta jego przekłeta kuzynka była trochę za sprytna i miała przy tym ostry języczek. Markiz poczuł, jak głód skręca mu żołądek. Jego goście zjedli wyborny posiłek, który gotowali na jego oczach. Zastanawiał się przez chwilę, czy duchy można by posadzić o zjedzenie kurzych udek.

Niosąc pod pachą karafkę i tylko lekko się zataczając, wyruszył na poszukiwanie kuchni i kurczaka, który był przeznaczony na jutrzejszy obiad. Nie wiedział, jak długo ci niewygodni goście zamierzają tu zostać, jednak przez ten czas skorzysta przynajmniej z ich kuchni.

Kiedy Reginald skręcił w stronę skrzydła dla panów, Marianna zamierzała się zatrzymać, uważając, że nie powinna tam wchodzić, jednak nie chciała stracić z oczu naszyjnika. Nie wiedziała, jaką sztuczkę trzyma w zanadrzu pan Montague, ale musiała go pilnować i nie dać się zwieść. Nie wierzyła, by pan Montague mógł być aż tak nieuczciwy, żeby ukraść jedyne źródło ich dochodu w przyszłości, ale skłonna była nie ufać nikomu bez reszty.

Nie zważając na nieśmiałe protesty lady Marian, Reginald wszedł do pokoju po lewej stronie korytarza i podszedł prosto do małego sekretarzyka, stojącego obok kominka. Otworzył sekretarzyk, postawił lampkę na blacie i sięgnął dłonią w głąb jednej z szuflad. Gdy tylko otworzył zatrzask, wyciągnął niewielkie, proste pudełko, które zawierało kopię naszyjnika.

Marianna stanęła za jego plecami i obserwowała z zapałem tchem, jak podnosi się wieczko. Pudełko wyłożone białym aksamitem było puste.

Tłumiąc okrzyk rozpacz, Marianna odwróciła się do okna i wbiła spojrzenie w pokrytą kroplami deszczu szybę. Reginald podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu, nie wiedząc, jak okazać współczucie i jak ją pocieszyć.

- Znajdę go, Marianno. Domyślam się, kto to zrobił,

i odzyskam naszyjnik, nawet jeśli musiałbym go zatłuc. Przykro mi tylko, że dałem ci powód do zmartwień.

Lady Marian nawet nie zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu. Wiedziała tylko, że chciałyby skryć się w jego ramionach i popłakać sobie w ciszy. Zmęczyła ją już rola silnej i niewzruszonej kobiety. Chciała, żeby ktoś pomógł jej udźwignąć wszystkie ciężary, żeby ulżył jej choć na chwilę. Z jakiegoś nie znanego jej powodu zawierzyła właśnie temu człowiekowi, panu Montague'owi. Teraz płaciła za swą naiwność - powinna była wiedzieć, że do końca może polegać tylko na sobie samej.

Wyprostowała się nagle i odsunęła od Reginalda.

- Chcę być przy tym, jak będzie go pan wypytywał. Kto to jest? Ten pański bezczelny służący?

Ta kobieta myślała za szybko, o wiele za szybko. Reginald także cofnął się o krok i opuścił rękę.

- Rozumiem pani niepokój, ale kobieta dałaby mu tylko nadzieję na lepsze traktowanie. Wie dobrze, że na moje współczucie nie może liczyć. Proszę wracać do matki, a ja już zajmę się tym łajdakiem.

Oczywiście, że wróci do matki, ale nie po to, by siedzieć w ciszy przed kominkiem. Z dumnie uniesioną głową wyszła z pokoju, nawet nie oglądając się za siebie. Reginald miał dziwne uczucie, że wie, co może się zdarzyć, jeśli nie będzie działał szybko.

Otwierając z hałasem drzwi do pokoju, który zajął jego lokaj, młodzieniec ryknął:

- O'Toole, chodź tutaj natychmiast albo przyjdę po ciebie z batem!

Pokój był pusty.

## *Rozdział trzynasty*

Poszukiwania zaginionego służącego i cennego klejnotu w ciemnym, nieznanym domu, w deszczową noc nie miały większych szans powodzenia. Powrócili więc z pustymi rękami do przygasającego ognia w salonie.

Marianna czuła teraz wyrzuty sumienia, że powiedziała o tym matce. Mogła przecież pokazać jej kopię i udawać, że wszystko jest w porządku. Jednak najpierw myślała, że uda im się złapać złodzieja, zanim on zniknie z domu, a to wiązało się z wyjaśnieniem całej sprawy nie wtajemniczonym osobom. Teraz nie mieli nic: ani naszyjnika, ani złodzieja, a matka była całkiem przybita całą tą historią.

Oczywiście, Marian mogła jeszcze w cudowny sposób „odnaleźć kopię”. Przynajmniej podniosłoby to na duchu jej matkę, jeśli nie ją samą. Nie mogła jednak zrobić tego dziś wieczorem. Wszyscy byli już okropnie zmęczeni, i nikt nie uwierzyłby w takie odkrycie tuż po tym, jak zakończyli długie i wyczerpujące poszukiwania. Musiała poczekać z tym do rana.

Lord Darley kręcił się obok niej niecierpliwie, jakby chciał pomówić z nią na osobności, jednak Marianna nie miała teraz siły na jego pocieszenia. Ten dzień zbyt ją rozczarował, by pozwoliła komukolwiek zranić się jeszcze bardziej. Nie chciała, by Darley oświadczał się jej ze współczucia i nie chciała, by ofiarował jej jakieś pieniądze w zamian za zaginiony klejnot. Może spojrzy na to inaczej rankiem, kiedy powróci do niej zdrowy rozsądek, jednak w tej chwili była zbyt przybita i zrozpaczona, by kierować się głosem rozumu.

Nie potrafiła nawet złościć się na pana Montague'a, który był poruszony tą stratą nie mniej niż ona. Jeśli to wszystko nie było tylko wspaniałą grą, jego duma i wiara w siebie zostały zdruzgotane i nic nie było w stanie przywrócić ich do normalnego stanu, dopóki wina nie zostanie odkupiona. Marianna widziała, jak z wściekłością uderzał w ściany, jakby te mogły do niego przemówić. Nikt postronny nie wiedział, że to właśnie on nosił naszyjnik, jednak ta świadomość ciążyła im obojgu niczym jakiś złowrogi sekret.

Nie chciała dzielić żadnych sekretów z panem Montagem. I tak czuła się winna przy każdym spojrzeniu, które rzucał jej, gdy była z lordem Darley. Utrata naszyjnika zmuszała niejako młodego wicehrabiego do rychłych oświadczeń, jednak Marianna nie wiedziała, co powinna zrobić, by nie wyglądało to jak wyraz współczucia albo akt dobroczynny. Postanowiła, że będzie martwić się tym nazajutrz.

Jessica była niezwykle milcząca, kiedy przygotowywały się do snu. Lily zawsze towarzyszyła wtedy ich matce, więc obie pomagały sobie nawzajem rozpinać i rozwiązy-

wać suknie. W sypialni było dość wilgotno, jednak wystarczająco ciepło, by nie kłopotać się rozpalaniem ognia. Marianna wsunęła się pod kołdrę w milczeniu, jednak Jessica nie była jeszcze gotowa do snu.

- Czy ten naszyjnik był bardzo cenny, Marianno? Czy ten biedny człowiek pójdzie do więzienia, kiedy pan Montague go odnajdzie? Pan Montague jest chyba w okropnym nastroju. Nie chciałabym znaleźć się na miejscu tego biednego lokaja.

- Została zraniona jego duma, i to wszystko. Myślę, że sama z chęcią wybatożyłabym tego wstrętnego człowieka, gdyby się znalazł, choć wątpię, czy do tego dojdzie. Idź już spać. Teraz nic na to nie poradzimy.

Jessica opadła na poduszki, ale wciąż kręciła się niespokojnie.

- Pan Montague jest trochę przerażający, prawda? Trochę się go boję. Nie moglibyśmy wrócić jutro rano do domu?

- Jedynym człowiekiem, który musi obawiać się pana Montague'a, jest O'Toole. A o powrocie do domu porozmawiamy jutro.

- Lord Darley to taki miły człowiek. Nie rozumiem, dlaczego przyjaźni się z kimś takim jak pan Montague.

Mariannie nawet nie chciało się odpowiadać na to idiotyczne pytanie. W tej chwili była wyzuta z wszelkich ciepłych uczuć dla wszystkich mężczyzn na świecie. W ogóle nie chciała o nich rozmawiać.

Kiedy całe towarzystwo położyło się wreszcie do łóżek, i jedni pograżyli się we śnie, inni zaś gapili ponuro w sufit, pijany duch rozsiadł się wygodnie na fotelu w bibliotece i zaczął chrapać.

Mówię ci, ten hultaj był tutaj wczorajszej nocy. Nie zabrudziłby swojego cennego płaszcza, wychodząc w taki deszcz na dwór.

Świt rozpałał dopiero mgły na horyzoncie, kiedy Reginald włożył stopę w strzemiono i usadowił się na swym wierzchowcu.

Darley stał na podwórzu przed stajniami i kręcił głową z powątpiewaniem.

- Nie możesz przecież wiedzieć, gdzie poszedł. Wszystkie konie są na miejscu. Wygląda to tak, jakby rozplynał się w powietrzu. Zatrzymaj się przynajmniej na chwilę i obmyślmy razem jakiś rozsądny plan.

- Jedyne rozsądne plan to zamordowanie tego złodzieja. Zamierzam przynajmniej odnaleźć tutejszego sędziego i narobić sporo szumu wokół tej sprawy. Łobuz nie wymknie się nam tak łatwo.

Darley patrzył jeszcze chwilę za odjeżdżającym przyjacielem, po czym wrócił do domu bocznym wejściem, które łączyło rezydencję ze stajniami. Nie sądził, by damy wstały już z łóżek, postanowił więc przeprowadzić poszukiwania na własną rękę. Może uda mu się znaleźć coś, co naprowadziłoby go na ślad O'Toole'a.

Lord przeszukał najpierw dokładnie palarnię i sale bilardowe, nie znalazł tam jednak nic godnego uwagi, i przeszedł do gabinetu. Był to mały, ciemny pokój na tyłach domu. Darley odsunął zasłony, wpuszczając trochę światła do mrocznego wnętrza. W niewielkim przedpokoju były ogromne ilości urzędowych zapisków i dokumentów, związanych z prowadzeniem majątku. Wszystkie pokrywała była gruba warstwa kurzu, nie ścieranego od co najmniej dwudziestu lat. Pośrodku gabinetu znajdował się stół,

bardzo podobny do tego, na którym pisał jego ojciec. Na stole leżała srebrna tacka z kolekcją szklanek i zatyczką od karafki, która wciąż pachniała alkoholem. Darley uniósł brwi ze zdumienia, kiedy powąchał jedną ze szklanek i rozejrzał się dokoła, szukając naczynia z brandy. Jego ojciec zawsze trzymał na tacy karafkę, która jeszcze całkiem niedawno musiała stać i tutaj.

Choć nie znalazł karafki, do której mógłby dołączyć szklaną zatyczkę, zauważył, że kurz pokrywający biurko nosił ślady czyjeś niedawnej obecności. Z kolei obok regału z książkami widniały ślady drobnych, kobiecych stóp. Któraś z pań musiała tutaj trafić w trakcie wieczornych poszukiwań.

Nie przypominał sobie, by którakolwiek dama schodziła wczoraj na parter, odepchnął jednak tę myśl i kontynuował poszukiwania. Gobelin zdobiący jedną ze ścian kołysał się delikatnie, jakby poruszany powiewem porannego wiatru. Darley spojrzał na rozbite okno, które przed chwilą osłonił, jednak tędy nie przedostawał się do wnętrza najmniejszy nawet podmuch.

Lord nigdy nie uważał się za szczególnie inteligentnego młodzieńca. Był raczej przeciętnym uczniem, interesującym się bardziej końmi niż książkami. Miał jednak odrobinę zdrowego rozsądku, który podpowiadał mu, że ciężki gobelin nie może poruszać się bez żadnego powodu. Przysunął do ściany krzesło, wszedł na nie i sięgnął do drewnianego drążka, który utrzymywał tkaninę w górze.

- Lordzie Darley? Co pan wyprawia?

Łagodny głos, który rozbrzmiał nagle u jego boku, przestraszył go tak, że omal nie spadł z krzesła. Spojrzał w dół i ujrzał zdumione oblicze panny Oglethorp. Przyszło



mu do głowy, że jej siostra miałyby w tej sytuacji o wiele bardziej podejrzliwy wyraz twarzy. Nie wiedział nawet, dlaczego pomyślał o tym właśnie teraz. Wreszcie wypuścił z dłoni drążek i pozwolił, by gobelin opadł na podłogę, wzniciając przy tym chmurę kurzu.

Jessica szybko odsunęła się do tyłu, machając dłonią przed nosem i starając się choć trochę oczyścić powietrze.

- Bardzo panią przepraszam, panno Oglethorp, ale to jest ciężkie jak diabli. O przepraszam... Nie chciałem tego powiedzieć. Drobne przejęzyczenie. Czy nie powinna pani być teraz przy swojej mamie?

Darley zszedł z krzesła i nerwowo wycierał zakurzone dłonie o spódnie.

Jessica rzuciła mu niewinne spojrzenie.

- Pomyślałam, że sama poszukam naszyjnika, zanim inni wstaną. Marianna prawie nie spała tej nocy, i zdawało mi się, że trochę nawet płakała. Myśli pan, że złodziej schował się tutaj? - Wskazała głową na odsłoniętą ścianę.

- Pomyślałem, że coś musi być za tą ścianą, bo ciągnie tędy dia... bardzo nieprzyjemny przeciąg. Proszę popatrzeć, gdzieś tu jest chyba szpara. - Przeciągnął dłonią po murze, szukając jakiegoś otworu lub załamania. - W jednym z naszych domów jest podobne miejsce. Dawniej trzymano tam kosztowności. Zwykle jest to niewielkie wgłębienie...

- Darley odchrząknął z satysfakcją, kiedy fragment ściany otworzył się nagle niczym drzwi.

Jessica aż pisnęła z podniecenia.

- Och, pan jest taki inteligentny! Czy on tam jest?

Darley, zadowolony z siebie i nawet trochę dumny, obejrzał dokładnie odkrytą niszę. Nie była zbyt wielka, choć zmieściłby się w niej dorosły mężczyzna. Tak jak

podejrzewał, w jednej ze ścian znajdował się sejf, był on jednak otwarty i zupełnie pusty. Wicehrabia westchnął rozczarowany.

- Być może ukrywał się tutaj, ale teraz schowek jest pusty. Ciekawe, ile podobnych miejsc kryje się w tym domu?

Jessica wcale nie wyglądała na zawiedzioną jego niepowodzeniem. Rzucając mu radosne, rozpromienione spojrzenie, oznajmiła głośno:

- Mama będzie wiedziała! Chodźmy na górę sprawdzić, czy jeszcze śpi!

- Boję się, że ten łajdak ucieknie, kiedy nas tu nie będzie. Może pani pobiegnie na górę, a ja stanę przy schodach, żeby mieć pewność, że nic się pani nie stanie. Potem przejdę na środek hallu i będę nasłuchiwał. Może usłyszę coś podejrzanego.

Żadne z nich nie zauważyło nawet, że podekscytowani poszukiwaniem złodzieja jakby zapomnieli o własnej nieśmiałości. Jessica pobiegła na górę co sił w nogach, a Darley pozostał na dole. Kiedy był już pewien, że panna Oglethorp jest bezpieczna, zaczął przechadzać się po ośmiokątym hallu, podziwiając delikatny, kolorowy blask padający z kolorowego okienka i nasłuchując jakichś dziwnych odgłosów. Skan i przerobienie poną.

Na fotelu w bibliotece ósmy markiz zacisnął mocno powieki i zatkał nos, by powstrzymać niebezpieczne swędzenie. Wszystko wskazywało na to, że jeśli nie będzie działał szybko, jego niechciani goście mogą zaraz zjawić się w tym właśnie pokoju. Nie miał ochoty tłumaczyć się przed nimi ze wszystkiego, zwłaszcza że jego głowa przypominała teraz przejrzały melon. Zresztą nawet gdyby

funkcjonowała normalnie i tak nie byłby w stanie wyjaśnić swoim krewnym, co tu właściwie robi. Nie miał też ochoty znaleźć się w więzieniu ani na szubienicy za kradzież tego, co i tak prawnie doń należało.

Tłumiąc jęk, usiadł prosto i odczekał chwilę, aż rozkołysana podłoga biblioteki wróci do normalnego stanu. Jeśli słuch go nie mylił, jeden z dżentelmenów patrolował hall, a stukot jego butów o marmurową podłogę rozbrzmiewał bolesnym echem w głowie markiza. Powoli rozejrzał się dokoła. Jeśli istniała gdzieś droga ucieczki z tego pomieszczenia, to on jej jeszcze nie znał.

Z głośnym westchnieniem - zaczynał chyba rozumieć, dlaczego wszystkie duchy jęczą i wzdychają - markiz wstał i podszedł do wysokiego okna. Przynajmniej miał na tyle oleju w głowie, żeby nie nocować na pierwszym piętrze. Zastanawiając się nad tym, ile czasu minie, nim dopadną go psy, markiz pchnął jedną z kwater okna, która otworzyła się powoli, czyniąc przy tym jednak mnóstwo hałasu.

Zanim Darley zbiegł na parter i znalazł pokój z otwartym oknem, tajemniczy intruz już zniknął.

Klnąc głośno, wicehrabia przerzucił nogi nad niskim parapetem i ruszył śladem męskich stóp, odcisniętych wyraźnie w rozmokłej darni. Z tyłu dobiegły go krzyki panny Ogletorp, którym towarzyszył jeszcze jeden głos, z pewnością należący do lady Marian. Na myśl o tym, że mógłby zawieść tę groźną damę, Darley skurczył się ze strachu i przyspieszył kroku.

Marianna dobiegła do okna tylko po to, by zobaczyć znikającą za rogiem domu sylwetkę lorda Darley. Nie widząc powodu, dla którego miałyby moczyć buty, podkasała suknię, pobiegła do hallu i zbiegła do kuchni.

Kiedy znalazła się przy tylnym wyjściu, zrozumiała, że przez całą noc w stajniach zamknięte były psy. Darley już je wypuścił, a z odległych wzgórz dobiegało szczekanie najszybszych spośród nich. Sam wicehrabia siodłał konia, najwyraźniej zamierzając ruszyć w pościg.

Kiedy znalazł się już w siodle, dojrzał Mariannę i pomachał jej na pożegnanie. Dziewczyna pomyślała, że nie ma chyba sensu dosiadać konia z zaprzęgu, nawet gdyby znalazła gdzieś siodło. Jedyne, co jej pozostało, to czekać na rezultat wysiłków Darleya.

Stado ogarów i jeździec z pewnością dogonią uciekającego na piechotę złodzieja.

- Widziałaś go? Czy ten złodziej tam jest? - Jessica nerwowo zaciskała dłonie. - Czyż lord Darley nie jest najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałyśmy?

Marianna postanowiła nie wypowiadać się jeszcze na ten temat. Przede wszystkim chciała wiedzieć, gdzie podziewa się pan Montague. Krzyki i zamieszanie już dawno powinny wyrwać go z łóżka.

Nie miała jednak czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać, gdyż do kuchni weszły lady Grace i Lily, a wkrótce dołączył do nich służący Darleya. Należało rozpalić ogień, zagotować wodę i przygotować śniadanie. Najwyraźniej ściganie złodziei było typowo męskim zajęciem.

Nim skończono przygotowywać śniadanie, powrócił lord Darley, niosąc ze sobą dwa zające i przepiórkę, ale ani jednego złodzieja. Rzucając bojaźliwe spojrzenia w stronę lady Marian, położył swą zdobycz na stole w spiżarni, oparł strzelbę o ścianę i umył ręce w miednicy, którą przyniosła mu Jessica.

- Co się stało? - pytała podniecona panna Oglethorp.
- Czy ten łotr rzucił się ze skały?

Marianna uniosła brwi, nieco zdumiona śmiałością swej siostry, ponieważ jednak Darley odpowiadał Jessice, a nie jej, powstrzymała się z komentarzem.

- Psy się tylko bawiły. Wcale nie biegły czymś śladem. Nie wiem, gdzie podział się ten złodziej. - Młody wicehrabia był tak rozczarowany, że nikt nie miał serca mu dokuczać, nawet lady Marian.

- To znaczy, że on wciąż może być tutaj - oznajmiła Marianna w zamyśleniu. Nie chciała rozmawiać więcej na ten temat, by nie martwić matki, jednak chętnie sama dopadłaby tego O'Toole'a i skrzyła mu kark. Odstawiła dzban i rzuciła okiem na drzwi, przez które kilka minut wcześniej wszedł Darley.

- Jeśli zrobi pani jeszcze krok, lady Marian, osobiście zawiozę panią do Londynu, i to, co koń wyskoczy!
- zawołał ktoś za jej plecami.

Marianna szybko odwróciła głowę i wbiła wściekłe spojrzenie w pana Montague'a.

- Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób!

Po nie przespanej nocy i godzinnych poszukiwaniach sędziego, który, jak się okazało, wyjechał na kilka dni, Reginald nie miał najmniejszej ochoty na kłótnie. Rzucił kapelusz i bicz na komodę i jeszcze raz zwrócił się do Marianny:

- To mój przeklęty służący, i jeśli ktoś ma go w końcu dopaść, to właśnie ja. Lepiej, żeby trzymała się pani od tego z daleka.

Przemierzył kuchnię szybkim, gniewnym krokiem i zniknął w wyjściu. Wszyscy wpatrywali się w drzwi z otwartymi

## *KLEJNOT*

szeroko ustami, jakby zobaczyli właśnie najprawdziwszego ducha.

Lady Grace jako pierwsza odzyskała równowagę. Sięgając po ciężką patelnię, powiedziała:

- Pan Montague jest chyba głodny. Nie jadł przecież śniadania. Jessiko, myślisz, że potrafiłabyś odnaleźć składniki tych małych bułeczek, które piekłyśmy kiedyś razem?

Czerwieniąc się i blednąc na przemian, nie wiedząc, jak wytłumaczyć zachowanie przyjaciela, Darley uśmiechnął się niepewnie do lady Marian i szybko podążył śladem Reginalda. Kiedy zniknął w drzwiach, Marianna rzuciła za nim metalową cukiernicą. Miała już serdecznie dość udawania. Któregoś dnia pokaże im wszystkim, na co ją stać, bez skrpułów i zahamowań.

## *Rozdział czternasty*

Mężczyźni wrócili jakiś czas potem ubłoceni, głodni i poirytowani. Lily szybko zaczęła przygotowywać herbatę, podczas gdy lokaj Darleya pomagał im się rozebrać. Lady Grace próbowała wyprosić swoje córki z kuchni, gdy panowie zostali tylko w koszulach, ale nawet nieśmiała Jessica nie chciała o tym słyszeć. Nie bawiąc się w formalności i przenoszenie całej zastawy do jadalni, obie panny rozłożyły talerze i sztuce na stole w kuchni i zaczęły nakładać posiłek, domagając się wyjaśnień od dwójki poszukiwaczy.

Darley był przygnębiony i zde gustowany.

- Gdybym nie wiedział, że przebywa tutaj tylko kilka osób, pomyślałbym, że na podwórzu stacjonowała cała armia. Po takim deszczu nie powinno zostać aż tyle śladów.

Reginald wypił herbatę i nałożył boczek na grzanekę. Był pewien, że w rezydencji ukrywały się co najmniej dwie osoby. Ślady stóp na podwórzu miały różne rozmiary. Można też było dostrzec, że w podeszwie jednego z butów

tworzy się spora dziura. Reginald wgrzył się mocno w grzanekę, próbując zignorować wszystkie domysły i spekulacje, jakie wypełniały teraz jego umysł. Jednego był pewien — O'Toole nigdy nie zechciałby chodzić w butach z dziurą w podeszwie.

- Jest pan dzisiaj dziwnie milczący, panie Montague. Może zdradzi nam pan swoją teorię? - Marianna upiła ostrożnie łyk gorącej herbaty. Ciemne obwódki pod jej oczami świadczyły o nie przespanej nocy.

Reginald starał się na nią nie patrzeć. Zazwyczaj widywał kobiety dopiero późnym popołudniem, kiedy ubrane były w eleganckie suknie, uczesane i przygotowane do spotkań towarzyskich. Lady Marian nie spędziła dzisiaj wiele czasu na takich przygotowaniach. Związała włosy wstążką z tyłu głowy, a ciemne, bujne loki tworzyły zadziwiający kontrast z jej szczupłą twarzą i figurą. Ubrana była tylko w delikatną muślinową suknię, która nie skrywała jej prawdziwych kształtów. Reginald musiał naprawdę dobrze się starać, żeby nie patrzeć na nią i nie domyślać się, jak bardzo prawdziwe były te kształty. Wpatrywał się więc uparcie w swoje śniadanie.

- Nie mam żadnej teorii. Sędzia wyjechał i teraz nikt nie może zarządzić poszukiwań na większą skalę. Wysłałem kogoś do Londynu, żeby sprowadził tu policjanta i przekazał strażnikom na rogatekch rysopis O'Toole'a. Proponuję też, żebyśmy jeszcze raz przeszukali dom w ciągu dnia. Jeśli kuzyn szanownej pani nie pokaże się tutaj w najbliższym czasie, będę nalegał, by damy wróciły do Londynu, a ja zostanę i będę kontynuował poszukiwania. To wszystko, co przychodzi mi w tej chwili do głowy, może poza spalaniem tego przeklętego domu.



- Reginaldzie, zważaj proszę na słowa - upomniał go Darley. Spojrzał z troską na Mariannę, ale ta wcale nie wyglądała na zgorzszą. Za to Jessica zaczerwieniła się. Wicehrabia pogładził ją delikatnie po dłoni, ona zaś odwdzieczyła się nieśmiałym uśmiechem.

- Tym razem musimy lepiej zorganizować poszukiwania - zaproponowała Marianna. - Jeśli złodziej wciąż tu jest, może po prostu wyprzedzać wszystkie nasze posunięcia i nigdy nie dać się złapać. Musimy więc zacząć od parteru i przeganiać go coraz wyżej, aż nie będzie już miał gdzie uciec.

Darley spojrział na nią ze zdumieniem.

- To kapitalny pomysł. Szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej.

- O wielu jeszcze rzeczach powinniśmy byli pomyśleć wcześniej. Obawiam się, że teraz może być za późno. Złodziej jest już pewnie poza tymi murami. Dlaczego miałby tutaj wracać?

Lady Grace eleganckim gestem dołała sobie herbaty.

- Musi przecież jeść od czasu do czasu - wtrąciła łagodnie. - Zjadł już większość naszych zapasów.

Wszyscy wpatrywali się w nią z najwyższym zdumieniem. Z pogodnym uśmiechem na twarzy, jakby nieświadoma efektu, jaki wywołało jej oświadczenie, lady Grace rozsmarowywała dżem na bułce.

- Mamo, chcesz powiedzieć, że nie ma już kurczaków, które ugotowałyśmy wczoraj wieczorem? - dopytywała się Marianna.

Pani Oglethorp spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Czyż nie to właśnie powiedziałam, kochanie?

Reginald wstał od stołu i zniknął za drzwiami do

chłodnej piwnicy. Kiedy wrócił, na jego twarzy malował się wyraz lekkiego zakłopotania.

- Nie ma tam nic oprócz kości jednego kurczaka. Z drugiego nie zostało nic.

- Duchy nie jedzą, prawda? - spytała Jessica ze strachem.

Reginald nie trudził się nawet odpowiadaniem na to naiwne pytanie, jednak Darley natychmiast pospieszył uspokoić przerażoną pannę Oglethorp. Lady Marian odsunęła swój kubek i wstała.

- Powinniśmy chyba podjąć jakieś środki ostrożności. Sądzi pan, że dostaniemy pomoc ze wsi? - Marianna zwróciła się do pana Montague'a.

- Już się tym zająłem. Co prawda większość mężczyzn najęła się do sadzenia, ale zostało jeszcze kilku starszych chłopów, którzy zgodziliby się przyjść tutaj na dzień lub dwa. Zostawilibyśmy ich przy koniach. Właściciel gospody mówił też, że zna parę kobiet, które mogłyby pomagać nam tak długo, jak tylko zechcemy. Nikt nie wie, gdzie przebywa teraz markiz, ale wszyscy chętnie przyszliby i przeszukali dom. Myślę, że wkrótce będziemy tutaj mieli całkiem spore towarzystwo.

Zarówno Marianna, jak i pan Montague nasłuchiwali uważnie, czy za ścianą nie rozlegnie się jakiś dziwny dźwięk, ale usłyszeli tylko głos lady Grace.

- Podejrzewam, że moja Gwen już dawno przeniosła się do innej rezydencji. Pamiętam, że piekła naprawdę wyborne ciasta - oznajmiła z zadumą.

Gdy wszystko zostało już powiedziane, mężczyźni poszli do stajni, by doglądać koni, kobiety zaś posprzątały po śniadaniu. Nim skończyli, na pojeździe rozległo się par-

skanie koni i skrzypienie wozu. Przybyli nowi pracownicy pana Montague'a.

Marianna przyglądała się przez chwilę swojej matce, witającej wylewnie jakąś starszą kobietę - zapewne była to owa Gwen, która przyjechała tutaj, by odnowić stare znajomości - po czym zajęła się grupką młodych dziewcząt. Wyznaczyła im prace przy sprzątanii kuchni i przygotowywaniu obiadu, nie mogąc się jednocześnie nadziwić bezczelności pana Montague'a. Wynajmował służących do domu, który doń nie należał. Gdyby markiz rzeczywiście pojawił się w końcu w swej rezydencji, byłby bardzo zdziwiony całym tym zamieszaniami.

Nowa służba została jednak szybko i sprawnie skierowana do pracy przez pana Montague'a. Mężczyźni mieli za zadanie wyczyścić stajnie, a potem trzymać straż przy koniach. Zostawiono im także nabity pistolet - gdyby zauważyli coś podejrzanego, mieli przywołać strażem Reginalda lub Darleya. Rozchichotane dziewczęta z miotłami i ściereczkami w dłoniach powędrowały do różnych pomieszczeń na parterze. Wcześniej przykazano im, by nie opuszczały wyznaczonych miejsc bez przyzwolenia. Gdyby ktoś obcy wszedł na ich teren, miały natychmiast walić w wiadro i krzyczeć z całych sił, wzywając w ten sposób swoje koleżanki z sąsiednich pokoi.

Reszta towarzystwa weszła na górę w nadziei, że zamieszaniami na parterze wypędzi złodzieja. Reginald pozostawił lady Grace przy wejściu na schody, oddając jej róg myśliwski i koszyczek robótek ręcznych, które miały jej umilać czas. Gdy jednak trzeba było podzielić towarzystwo na dwie grupy do przeszukiwania obu skrzydeł budynku,

pan Montague wyraźnie stracił rezon. Nie mógł wysłać dwóch samotnych dam, ale też nie wypadało łączyć ich w pary z mężczyznami.

Marianna natychmiast pojęła jego dylemat.

- Może to wydaje się wam stratą czasu, ale powinniśmy chyba przeszukiwać oba skrzydła po kolei i nie rozdzielać się na mniejsze grupy. Mama mówi, że na tym piętrze może być ukryte przejście. Musimy je odnaleźć, a jednocześnie uważać, żeby nikt nam nie uciekł.

Darley rozpromienił się.

- Świetny pomysł. Czy mogę prosić? - zaoferował się, podając Mariannie rękę.

Dziewczyna zmusiła się do słodkiego uśmiechu, tłumiąc jednocześnie grymas zniecierpliwienia, przyjęła jego ramię i statecznym krokiem ruszyła do pierwszego pokoju. Poszukiwanie złodzieja albo jego kryjówki w tak ślimaczym tempie musiało zająć im mnóstwo czasu, jednak w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała poparcia lorda Darley. Jeśli nie odzyska rubinu, wkrótce jej rodzina nie będzie miała gdzie mieszkać, zwłaszcza że dom w Londynie wynajęty został tylko na kilka miesięcy. Zagryzła wargę, by ukryć zdenerwowanie, gdy inni zaczęli opukiwać ściany i drzwi.

Reginald spojrział z troską na jej smutną minę, jednak jego umysł pochłonięty był niemal bez reszty poszukiwaniem niewdzięcznego potwora, który naraził na szwank jego dumę i honor, nie mówiąc już o majątku. Ani przez chwilę nie zapominał o tym, że będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by zapłacić lady Marian za naszyjnik, gdyby ten się jednak nie odnalazł. Nie miał jeszcze okazji, by jej

o tym powiedzieć, miał jednak nadzieję, że po obiedzie uda mu się zamienić z nią kilka słów na osobności.

Dwa razy panowie zbiegali ze schodów na złamanie karku, nim dziewczęta nauczyły się nie potrącać wiader miotłą. Po drugim fałszywym alarmie poszukiwania zaczęły się przekształcać w zabawę w chowanego, gdzie chowającym się były różne skarby ukryte w rezydencji.

Jessica odkryła, że niektóre szafy zawierały ubrania sprzed kilkudziesięciu lat. Zapominając o strachu i duchach, biegała z pokoju do pokoju, wyszukując coraz więcej cudownych kreacji z aksamitu i strusich piór.

Darley zajął się dokładnym badaniem ścian, wypatrując najdrobniejszych pęknięć i załamania, które pozwoliłyby mu powtórzyć wcześniejszy sukces. Wkrótce został daleko w tyle.

Reginald zaczął katalogować w myślach wartość wszystkich dzieł sztuki i bibelotów, zdobiących poszczególne komnaty, i zastanawiał się, czy zostały one wciągnięte do inwentarza.

Marianna odkryła bibliotekę jakiejś damy, zawierającą pierwsze wydania wielu dzieł i wspaniałe ilustracje, których nie mogła minąć obojętnie. Jeśli wciąż przebywał tu złodziej, nie zaczął jeszcze kraść wszystkich skarbów znajdujących się w domu i czekających na swego właściciela.

Kiedy Reginald znalazł ją zagłębiającą się w fotelu i przeglądającą ilustrowane wydanie „Podróży Guliwera”, sam usiadł ciężko na krześle obok i skrzywił się.

- Nic z tego - westchnął głośno.

Marianna niechętnie oderwała się od przygód w krainie Liliputów i powróciła do rzeczywistości. Rozejrzała się

dokoła i zrozumiała, że jest w salonie przylegającym do sypialni, w której wisi portret jej ojca, i że poza nimi dwojgiem w pokoju nie ma nikogo. Właściwie powinna czuć się skrępowana i przejęta tą sytuacją, jednak przynębiona mina pana Montague'a nie wskazywała na to, by miała się obawiać czegokolwiek z jego strony.

- To prawda - zgodziła się po chwili milczenia. - To okropnie nudne szukać kogoś, kto już dawno się stąd wyniósł. Jeśli rzeczywiście jest tutaj jakieś ukryte przejście, złodziej mógł przenieść tam połowę mebli i smacznie sobie spać. Dotąd nawet nie zdawałam sobie sprawy, jaki to ogromny budynek.

Ponieważ dom markiza Effingham nie był nawet w połowie tak wielki jak rezydencja jego ojca, Reginald wolał przemilczeć tę uwagę. Rozsiadł się tylko wygodniej i zwrócił do swej towarzyszki:

- Dopilnuję, by dostała pani całą sumę, na jaką wyceniono naszyjnik - oznajmił chłodno. Nie chciał, by wypadło to tak oficjalnie, ale myślał o tym już zbyt długo i chciał jak najszybciej mieć to za sobą. Nie wiedział nawet, jak spełni tę obietnicę. Być może uczyni zadość woli ojca i ożeni się, by uzyskać w ten sposób całą sumę.

Marianna posłała Reginaldowi spojrzenie, od którego zrobiło mu się gorąco. Nagle zapragnął przygarnąć ją do siebie i całować, aż zniknie jej fałszywy chłód i opanowanie.

- To bardzo szlachetne z pana strony... - zaczęła powoli - ...ale zupełnie niepotrzebne. Ryzykowałam za każdym razem, gdy go zakładałam. Ryzykowałam wioząc go do jubilera. Pan nie zrobił niczego poza tym, o co sama prosiłam. Nie mógł pan w żaden sposób przewidzieć, że ktoś go ukradnie.

Owszem, mógł to przewidzieć. Ona nie wiedziała, że jego lokaj jest złodziejem, ale on wiedział o tym doskonale. Reginald nie miał jednak ochoty spierać się z nią zbyt długo.

- Porozmawiam z pani prawnikiem. Razem coś ustalimy. Nie pozwolę, by wychodziła pani za Darleya tylko po to, żeby spłacić rachunki.

- Sądzę, że jeszcze nikt nie odważył się powiedzieć panu otwarcie, że jest pan wstrętnym tyranem. - Marianna zamknęła książkę i podniosła się z fotela. Mówiła przyciszonym i spokojnym głosem, wiedząc, że lord Darley może w każdej chwili wejść do salonu.

Reginald także wstał i zablokował jej drogę.

- A pani jest jedzą z języczkiem ostrym jak brzytwa. To niczego nie zmienia. Dostanie pani pieniądze tak szybko, jak tylko uda mi się je zebrać.

Stali zbyt blisko siebie, ale wycofać się - znaczyło przegrać. Marianna nawet nie drgnęła, wbijając tylko wściekłe spojrzenie w jego twarz. Była średniego wzrostu i nigdy nie uważała się za drobną kobietę, jednak on sprawiał, że czuła się bezradna. Wcale jej się to nie podobało. Miała wrażenie, że stoi przed rozdrażnionym brytanem, który może ją w każdej chwili odtrącić niczym natrętnego szczeniaka. Jednak coś w jego oczach mówiło, że wcale nie myśli o odtrącaniu. Zaciśnęła pięści i próbowała nadal walczyć.

- Pan będzie tak uprzejmy i odsunie się na bok, sir.

Nadszarpnięte ostatnimi przejściami nerwy odmówiły mu w końcu posłuszeństwa. Reginald dobrze znał pokusę różanych ust i łagodnych zaokrągleń, nawet jeśli strzegł ich umysł w niczym nie ustępujący jego intelektowi. Jedyne, co mógł zrobić w tej chwili, to sięgnąć po nią. Przez głowę

przemknęła mu myśl, by nią dobrze potrząsnąć, jednak to nie rozum rządził teraz jego czynami. Dłonie Reginalda zacisnęły się na jej ramionach i przyciągnęły ją.

Marianna poczuła jego usta na swoich, nim zdażyła nawet pojąć, co on zamierza. Miała dwadzieścia dwa lata i mogła policzyć na palcach jednej ręki, ile razy była dotąd całowana, ale i tak żaden z tych pocałunków nie przypominał w niczym namiętności i żaru Montague'a. O sporym doświadczeniu Reginalda mówił sposób, w jaki jego wargi przywarły do jej ust, zmuszając ją do uległości i oddania pocałunku. Marianna zadrżała, gdy uczyniła zadość jego żądaniu.

Był silny i ciepły, a jego dłonie trzymały ją mocno i nieustępliwie. Bała się, że w miejscach, gdzie dotykały ją jego palce, zostaną siniaki, nie miała jednak dość sił, by się od niego oderwać. Jej dłonie spoczęły na piersiach Reginalda. Spozobregła wtedy, że nie ma rękawiczek. Co za nietakt, przemknęło przez jej głowę, podczas gdy jej miękkie i wilgotne wargi zaczęły się powoli rozchyłać pod jego nie ustającym naporem.

Głos Jessiki, wykrzykującej głośno jej imię, przywołał ich gwałtownie do rzeczywistości. Reginald wypuścił ją z ramion, Marianna cofnęła się o krok, i oboje wpatrywali się w siebie tak, jakby przed chwilą uderzył między nimi piorun. Przybycie Jessiki zmusiło ich wreszcie do odwrócenia się.

- Popatrz na to! Myślisz, że mogłabym pojawić się w tym na dworze królewskim?

Zakręciła się w miejscu, prezentując pelerynę ze złotego aksamitu i pęk złotych strusich piór wpiętych we włosy.

Marianna przesunęła dłonią po policzku, wsuwając za



ucho niesforny kosmyk włosów i dotykając delikatnie miejsca, gdzie czuła twardą brodę Montague'a. Nie spojrzała nawet na niego, zajmując się tylko ubraniem swej siostry.

- Jest dosyć... - przerwała na moment, szukając odpowiedniego słowa - ...oryginalna - dokończyła niepewnie. Wciąż nie mogła się uspokoić. Musiała usiąść choć na chwilę i odzyskać równowagę, nie chciała jednak, by on zobaczył, co z nią zrobił. Nie chciała wyglądać na młodą, niedoświadczoną gąskę. Otrząśnie się z tego szybko, jakby nic się nie stało. Bo nic się nie stało. To tylko nadszarpnięte nerwy i napięcie, które towarzyszyło im wszystkim.

- Montague, gdzie jesteś, do diabła!? Chodź tutaj na chwileczkę. Chcę ci coś pokazać. - Darley wmaszerował do pokoju i zatrzymał się raptownie. Niepewnie spoglądał na Reginalda, który zastygł w dziwnie sztywnej pozie, na radosny uśmiech Jessiki, wreszcie na Mariannę, bez ustanku bawiącą się swymi włosami. Wzdrygnął się i powrócił do tematu. - Za tą ścianą coś jest. Nie wiem tylko, jak się tam dostać.

Przeszedł przez salon i uderzył w przeciwległą ścianę. Odpowiedział mu dziwnie dudniący odgłos.

- Widzisz? Nie powinno tak być. - Podeszedł do sąsiedniej ściany i zastukał jeszcze raz. Inny odgłos świadczył o tym, że ma przed sobą solidny, gruby mur. - Tutaj wszystko jest w porządku. Mówię ci, tam dalej coś jest.

Marianna z wdzięcznością podjęła ten nowy temat. Uderzała w ścianę w różnych miejscach, uzyskując ten sam pusty odgłos, co Darley. Reginald wyszedł z salonu, a jego kroki rozbrzmiewały w sąsiednim pokoju.

- Tu też jest pusta przestrzeń! - zawołał. - A tu kończy

się korytarz. Jeśli jest tutaj ukryte przejście, to nie może ciągnąć się dalej.

Wszyscy natychmiast przeszli do ślicznej sypialni, by na nowo podjąć poszukiwania.

Za ścianą markiz wyprostował swe długie ciało i odczołgał się do miejsca, z którego przyszedł. Byłoby niedobrze, gdyby stracił swoją kryjówkę, ale teraz miał inne rzeczy na głowie.

Michael powiedział, że lady Marian miała zaręczyć się wkrótce z bogatym lordem Darley. Z tego, co dotąd widział, wicehrabia był zwyczajnym, uprzejmym brytyjskim głupcem. Markiz nie miał nic przeciwko niemu. Jednak to nie Darley był w salonie, kiedy nagle zapadła tam cisza.

Ósmy markiz Effingham miał dziwne wrażenie, że jego śliczna kuzyneczka została pocałowana przez mężczyznę, którego kilka sekund wcześniej obrzucała obelgami. Jeśli informacje Michaela nie mijały się z prawdą, ten „wstrętny tyran” i cyniczny arystokrata był po prostu londyńskim sklepikarzem, a nie bogatym hrabią, na jakich polują damy.

Od tych rozmyślań rozboleła go w końcu głowa.

## *Rozdział piętnasty*

Markiz zdjął buty i bezszelestnie wszedł na schody prowadzące do pomieszczeń dla służby. Objął spojrzeniem długi szereg zamkniętych drzwi i zdecydował się na najbliższe. Michael nie kłopotałby się chodzeniem na koniec pustego korytarza.

Nacisnął klamkę i szybko wszedł do środka, zamykając drzwi piętą. Gdyby jego spojrzenie mogło zabijać, człowiek, który siedział na kanapie pod przeciwległą ścianą, padłby martwy.

Tymczasem rudowłosy młodzieniec wrzucił kolejną kartę do swego kapelusza, poruszył dłońmi w nadgarstkach i rzucił monetą w markiza. Ten pochwycił pieniążek i nawet na niego nie spojrzawszy, schował do kieszeni.

- Powiniennem skrócić ci kark. - Jego oczy płonęły żądzą krwi i zdawało się, że gotów jest naprawdę spełnić swą groźbę. Pocięty bliznami policzek drgał nerwowo, gdy mężczyzna wbijał wściekłe spojrzenie w swego towarzysza.

- Przeszkodzisz swoim gościom - odpowiedział spokoj-

nie rudzielec, zbierając porozrzucane karty jednym ruchem dłoni.

- Zrobili sobie przerwę na coś. co nazywają podwieczorkiem, ale dla mnie to pachnie jak pieczona dziczyzna i pasztet z jabłek. Przez ciebie niedługo umrę z głodu.

- Szarlotka. To ciasto nazywa się tutaj szarlotką. Pasztet robi się z mięsa. - O'Toole skrzyżował niedbale nogi. - Mógłbyś tam zejść i dołączyć do nich. Szukają tylko mnie.

Markiz pochwycił proste drewniane krzesło i usiadł nań okrakiem.

- Świetny pomysł, Zejdę tam i sterroryzuję damy, a ci przekłęci, nerwowi dżentelmeni wyzwą mnie na pojedynek i rozleją krew na obcej ziemi. Co jeszcze mam dzisiaj do zrobienia?

Bezczelny O'Toole uśmiechnął się szeroko.

- Robisz z igły widły, jak powiadają w tych stronach. Nikt nie będzie chciał się z tobą pojedynekować. Lady Marian na pewno przyszpiliłaby cię do krzesła i przypaliła żywym ogniem, żeby wyciągnąć z ciebie wszystko, co wiesz, ale pozostałe dwie damy poszczebiotałyby słodko i poczęstowały cię herbatą. Straszna perspektywa, co?

Markiz potarł dłonią swą okaleczoną twarz.

- Wcale nie boję się lady Marian, tylko tego cholernego spryciarza, tego zarozumiałego sklepikarza. On już zaczyna pojmywać, co się tutaj dzieje, i to on będzie musiał zdobyć pieniądze, jeśli naszyjnik się nie znajdzie. Słyszałem, jak mówił o tym z lady Marian.

O'Toole był pod wrażeniem.

- Nie sądziłem, że go na to stać. Z tego, co wiem, żyje dosyć skromnie jak na londyńskie warunki.

Markiz skrzyżował ręce na oparciu krzesła.

- Jest zbyt wyniosły, by doprowadzić się do bankructwa, próbując zdobyć pieniądze. Kiedy to wszystko się zaczęło, myślałem, że zabieramy świecidełko, o którym nikt nie będzie pamiętał. Teraz okazuje się, że odbieramy trzem damom ich własny dom i przywodzimy do ubóstwa szlachetnego arystokratę. Nie podoba mi się to.

- Gavin, od razu widać, że masz miękkie serce. Poza tym nie może być tak, że Montague straci pieniądze, a kobiety dom. Kiedy już sprzedamy naszyjnik i uporządkujemy nasze sprawy, możesz zaprosić damy tutaj.

Markiz skrzywił się lekko, a białe szramy utworzyły na jego twarzy odrażającą maskę.

- To nie będzie takie łatwe. Ta przeklęta Marian ma w sobie tyle złości, co wszyscy inni Lawrence'owie razem wzięci. Gotowa jest oddać się wicehrabiemu i uratować rodzinę. A twój przyjaciel Montague chętnie rozdarłby kilka osób na strzępy, byle do tego nie dopuścić. Sytuacja staje się naprawdę nieciekawa.

O'Toole gwizdnął z podziwem.

- A ja myślałem, że Anglicy to takie zimne ryby. Bardzo się cieszę, że matka miała dość rozumu i znalazła mi innego ojca niż Lawrence.

Markiz podniósł się szybko i odepchnął krzesło, zaciskając jednocześnie dłonie w pięści.

- Powiedz to jeszcze raz, a twoja gęba będzie wyglądała sto razy gorzej niż moja. Jesteś Lawrence'em, choć niezbyt udanym, i to wszystko. Radzę ci, zrób użytek z tego twojego cudownego mózdzku i znajdź jakieś wyjście z tej sytuacji albo będę zmuszony oddać ten naszyjnik.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Jego młodszy brat wciąż uśmiechał się szeroko.

Jego brat, markiz, nie był taki znowu najgorszy, rozmyślał O'Toole. To prawda, że Gavin zabił kilku ludzi w czasie ostatniej wojny między Brytanią i jej byłymi koloniami, co z pewnością nie przysporzy mu przyjaciół w tych stronach, nie posunął się jednak jeszcze do zabicia swego najbliższego krewnego. Zważywszy, jak często Michael sprostował nań taką pokusę, markiz musiał być naprawdę dobrym człowiekiem.

Jeśli znowu się nie rozpada, drogi będą dość twarde, by panie mogły wrócić do Londynu. Będzie jeszcze dość światła, jeśli się pospieszymy. - Reginald wytarł dłonie w serwetkę i rozsiadł się wygodnie na krześle, jakby to on był przywódcą tego dziwnego zgromadzenia.

Marianna zdobyła się na miły uśmiech.

- Najeliśmy służących na co najmniej dzień pracy. Nie możemy zostawić ich teraz bez nadzoru.

Reginald spojrzął na nią ze złością.

- A jutro znajdzie się jeszcze inny powód, żeby nie wyjeżdżać. Będzie pani chciała poczekać na markiza, żeby upewnić się, czy jest cały i zdrowy, albo żeby przeprosić go za najście, albo wymyśli pani jeszcze tuzin innych przeklętych powodów. Powtarzam; niech panie wyjadą, póki nie zdarzy się coś gorszego.

Jedna z nowych służących przyszła do kuchni, by pozmywać naczynia, ale lady Grace mówiła tak, jakby jej tam nie było.

- Musi pan naprawdę uważać na słowa, panie Montague.

Często musiałam o tym przypominać memu drugiemu mężowi. Samotni mężczyźni często wpadają w złe nawyki.

Ponieważ uwaga ta zupełnie nie odnosiła się do poruszonego przezeń tematu, Reginald skrzywił się ze złością i spojrzął na Darleya, by ten podjął przerwany wątek. Jednak jego przyjaciel był tak głęboko zamyślony, że nawet nie słyszał toczącej się rozmowy.

Montague stłumił okrzyk niesmaku i rozczarowania. Ten przekłety ukryty korytarz musiał zostać odnaleziony i zbadany. Wiedział, że nieprędko odciągnąby od tego Darleya, dlatego też chciał wysłać go do Londynu z damami. Teraz zrozumiał jednak, że to nie on tu rządzi. Nie musiał nawet patrzeć na Mariannę, by wiedzieć, że ona uśmiecha się triumfująco.

- W takim razie zajmiemy się jeszcze poszukiwaniami, ale jutro wszyscy musimy stąd wyjechać. Porozmawiam ze służącymi i dowiem się, czy ktoś zechce tu zostać do tego czasu.

Czekał cierpliwie, aż lady Grace odejdzie od stołu i pozwoli mu zająć się swoimi sprawami. Reginald nie był przyzwyczajony do mieszkania z kobietami pod jednym dachem, pamiętał jednak o dobrym wychowaniu, gdy zachodziła taka potrzeba.

Lady Grace uśmiechnęła się do niego z uznaniem i wstała, dając w ten sposób znak, by córki poszły w jej ślady. Reginald poczuł się tak, jakby własna matka poklepała go czule po głowie. Nie pamiętał, by przydarzyło mu się coś podobnego od czasów dzieciństwa, a i wtedy chwaliła go raczej niania niż matka. Matka bowiem rzadko kiedy zauważała jego obecność, a opuściła ojca, kiedy Reginald był jeszcze małym chłopcem. Właściwie nie był

świadom jej istnienia aż do chwili jej śmierci. Matczyne pochwały były dlań czymś zupełnie niezwykłym.

Odpędziwszy od siebie to dziwne uczucie wywołane uśmiechem aprobaty, pan Montague wyruszył na poszukiwanie najstarszej kobiety, która uważana była za najważniejszą osobę wśród wszystkich służących. Lady Grace z pewnością chciałyby zjeść na śniadanie jej doskonałą szarlotkę.

Jakiś czas później zebrali się wszyscy w hallu na górze, by podjąć poszukiwanie ukrytego przejścia. Marianna jeszcze przed posiłkiem upięła włosy i włożyła bardziej odpowiednią suknię, która skrywała jej figurę w luźnych fałdach materiału. Reginald nie mógł już jednak zapomnieć o smukłej sylwetce i delikatnej talii ani udawać, że nie widzi, z jaką gracją Marian przechadza się na swych długich i zgrabnych nogach. Zaciśnął jednak zęby i starał się skupić na ważniejszych i pilniejszych sprawach.

- Będziemy musieli ustalić, jaka jest długość tego przejścia, i ustawić w kilku miejscach obserwatorów, tak żeby nasz złodziej nie mógł uciec, jeśli rzeczywiście się tu ukrywa.

- Na pewno są tam schody na pierwsze piętro. Nie będziemy w stanie obstawić wszystkich wyjść - odparła Marianna, przyglądając się z uwagą długim korytarzom.

- Ten dom nie jest chyba bardzo stary, a tylko w tych starszych jest dużo ukrytych przejść. - Darley nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że poprawia damę. Był zbyt pochłonięty swoją nową grą, żeby pamiętać, iż rozmawia z kobietą. On także przemierzał korytarz i próbował określić położenie ukrytego przejścia. - Myślę, że pierwszy właściciel miał po prostu ekscentryczne gusta. Budowanie ukrytych schodów musiało być dosyć kosztowne.



- Nie wydaje mi się, żeby koszty miały kiedykolwiek znaczenie dla Effinghamów - odparł cynicznie Reginald.  
- Ale możemy zacząć od tego, że jedno z nas zostanie tutaj i będzie obserwowało korytarz, bo już ustaliliśmy, że tutaj przejście musi się kończyć. Reszta będzie przeszukiwać drugi korytarz i próbuje odkryć, gdzie jest drugie wyjście.

Tym razem wszyscy z zapałem zabrali się do poszukiwań, w czym pomagała im świadomość, że za ścianą rzeczywiście ktoś może się ukrywać. Odkrywszy, że tunel zaczynał się na samym końcu północnego skrzydła, w sypialni pana domu, szybko zbadali pokoje pomiędzy tymi dwoma krańcami i ustalili że korytarz ciągnie się wzdłuż całego budynku. Wtedy zaczęli szukać ukrytych wejść. Lady Grace tak jak i poprzednio stała przy schodach i obserwowała ich poczynania z pewnym zainteresowaniem, wykrzykując od czasu do czasu słowa zachęty.

Obdarzony większą cierpliwością, niż pozostali, Darley jako pierwszy odkrył drzwi schowane pomiędzy kominkiem a oknem w salonie należącym do apartamentów markiza. Przywołane przezeń damy krzyknęły radośnie, gdy niewielkie drzwiczki otworzyły się bezgłośnie. Potem raptownie zamilkły, zrozumiałwszy, że ktoś musi wejść do tej ciemnej dziury.

- To może być niebezpieczne - wyszeptwała Jessica, odsuwając się, bo poczuła zimny powiew z otworu.  
- Wolałabym, żeby nikt tam nie wchodził.

Marianna starała się zapanować nad sobą i nie gromić swej siostry gniewnym spojrzeniem, jednak sądząc po uśmiešku pana Montague'a, nie całkiem jej się to udało.

Zdołała jednak powstrzymać język i pozwolić, by to mężczyźni podjęli decyzję, nie przypuszczając ani przez chwilę, by zechcieli wysłuchać prośby Jessiki.

- Myślę, że dobrze byłoby znaleźć drugie wejście, zanim przeszukamy ten korytarz - poradził Montague.

- Prędzej znajdziemy go od środka - spierał się z nim Darley.

- Może my będziemy szły po tej stronie ściany, a wy po drugiej - zaproponowała Marianna, chcąc ukryć irytację, jaką budziła w niej ta rozmowa. Najchętniej pochwyciłaby lampkę i natychmiast weszła do ciemnego korytarza, by przekonać się, czy znajdzie tam tego podłego złodzieja. - Moglibyście uderzać co chwilę w ściany, a my odpowiadałybyśmy, który pokój właśnie mijamy.

Ta propozycja została ostatecznie przyjęta, choć postanowiono, że Darley sam zbada korytarz, jako że to on właśnie odkrył wejście. Obaj panowie przynieśli pistolety, choć żaden z nich nie sądził, by były im do czegoś potrzebne. Złodziej na pewno dawno już uciekł.

Montague stał przy końcu korytarza, podczas gdy Jessica i Marianna przebiegały z pokoju do pokoju, porozumiewając się z Darleyem. Gdyby złodziej opuścił przejście i próbował uciec korytarzem, Reginald z pewnością by go złapał.

Nim jednak dotarli do salonu na krańcu wschodniego skrzydła, wszyscy byli rozczarowani. Darley nie znalazł żadnych ukrytych skarbów, żadnego szkieletu czy starego miecza ani też drugiego wyjścia. Gdy znalazł się w salonie, a jego uderzenia dochodziły z wnętrza szafy, nawet Montague porzucił swój posterunek i zaczął szukać ukrytego wyjścia.

Nie upłynęła nawet minuta, nim odnaleziono zatrząsk, który pozwolił im otworzyć drzwi, i z ciemnego wnętrza wynurzył się Darley. Przez chwilę otrząpywał się z kurzu, jego ubrania nie pokrywały jednak pajęczyny i brud, które powinny znajdować się w nie używanym od wielu lat korytarzu. Panowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia, nie powiedzieli jednak ani słowa, by nie przestraszyć dam. Bez wątpienia ktoś korzystał z tego przejścia całkiem niedawno.

Owo spojrzenie nie uszło uwagi Marian, próbowała się domyślić, cóż miałoby ono znaczyć, jednak do pokoju wbiegła jej matka, podekscytowana odkryciem tajemnego korytarza. Mówiła niemal bez przerwy, snując przypuszczenia na temat przeznaczenia owego przejścia. Panowie bez trudu domyślili się, czemu mógł służyć, nie mówili jednak wdowie o swych domysłach. Najprawdopodobniej pokój ten zajmowała kochanka jej byłego męża.

Marianna poczekała, aż potok słów płynący z ust lady Grace ustanie choć na chwilę, po czym zapytała:

- Skąd pan O'Toole mógł wiedzieć o tym przejściu?

Reginald przywołał na twarz wyraz zakłopotania.

- Twierdził, że pracował kiedyś dla starego markiza. Nie wiedziałem wtedy, czy mam mu wierzyć, czy też nie. Myślę, że powinienem był jednak uwierzyć.

Lady Grace wyglądała na zaskoczoną.

- Myślę, że jest za młody, by mógł kiedykolwiek pracować dla George'a. George umarł przecież przed dwudziestu laty. Pan O'Toole musiał być wtedy jeszcze dzieckiem. Zresztą nawet wówczas powinnam go była zapamiętać.

Na chwilę zapadło głucho milczenie. Przerwał je pan Montague:

- Czy to możliwe, by pracował dla nowego markiza?

Wszyscy zwrócili się ku lady Grace, która wzruszyła tylko swymi delikatnymi ramionami.

- To chyba możliwe, ale z tego, co wiem, nowy markiz jest tutaj od bardzo niedawna. Jest Amerykaninem, jak już wiecie. Trzeba było cofnąć się aż do potomków piątego markiza, żeby odnaleźć prawowitego spadkobiercę. - To, że nie udało jej się dać syna swemu pierwszemu mężowi, było jedną z największych porażek w jej życiu. Nigdy nie miała żalu o to, że odebrano jej majątek po śmierci markiza. Żałowała jedynie, że miała tak mało czasu, by wypełnić swój obowiązek.

- O'Toole nie mówił z amerykańskim akcentem - powiedział Montague raczej do siebie niż do innych.

- Nie znam żadnego angielskiego służącego, który mówiłby tak jak on - sprzeciwiła się Marianna. - Przede wszystkim był niesamowicie bezczelny. W ogóle nie mogę zrozumieć, dlaczego pan go zatrudnił.

Reginald pomyślał, że właściwie on także nie potrafi tego pojąć. Jednak Darley przerwał jego rozmyślenia.

- O'Toole panią obraził? - spytał głosem, w którym czaiła się wściekłość.

Zrozumiawszy, że niepotrzebnie się z tym zdradziła, Marianna zagryzła wargi i spojrzała bezradnie na pana Montague'a. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć okoliczności, które doprowadziły do sprzeczki z jego lokajem.

Reginald posłał jej dziwne spojrzenie spod półprzy-  
mkniętych powiek i wyjaśnił leniwie:

- O'Toole był też moim stangretem. Poprosiłem go

kiedyś, by zabrał panie na pewien odczyt, i po drodze doszło do dość ostrej wymiany poglądów. Został już odpowiednio ukarany za ten incydent.

Darley nie zdążył zadać więcej pytań, gdyż Marianna szybko wyszła z pokoju, wołając jeszcze od drzwi:

- Mam już dość tych nonsensów. Myślę, że czas przeszukać drugie piętro. Kto będzie pilnował schodów?

Nim dotarli do pomieszczeń dla służby, O'Toole, jego kapelusz i karty dawno już zniknęły. Na miejscu pozostały jedynie kości z kurczaka.

Rozgoryczeni i rozczarowani poszukiwacze obejrzeli jeszcze pozostałe pokoje, waląc pięściami w ściany i wysyłając służącego do wszystkich diabłów. Kiedy wreszcie zakończyli poszukiwania, byli zmęczeni, brudni, poirytowani i głodni. Lady Grace nie musiała prosić ich dwa razy, by się umyli i zeszli na kolację. Panie poszły w jedną stronę, a panowie w drugą.

Marianna weszła do swej sypialni, zdjęła brudną suknię i umyła się szybko w przyniesionej miednicy. Chyba jeszcze nigdy nie była w tak podłym nastroju. Straciła rubin, Darley się nie oświadczył, a nieuchwytny markiz był najprawdopodobniej bankrutem. Cała ta podróż była kompletną klęską. Nie wyobrażała sobie, co gorszego mogło ją jeszcze spotkać.

Robiła co w jej mocy, by nawet nie myśleć o pocałunku pana Montague'a. Gdyby pozwoliła sobie na taką chwilę słabości, straciłaby z oczu wszystkie swoje cele i zamierzenia. Nie mogła pozwolić, by rozpraszał ją pocałunek, który przejął ją do głębi.

## *KLEJNOT*

Zamknęła oczy i starała się zapomnieć o dłoniach, które ją przyciągnęły. O twardych mięśniach, które czuła dotykając jego piersi. O tym dziwnym uczuciu, które rodziło się w niej, gdy ten mężczyzna trzymał ją w ramionach, a jego usta pożerały jej wargi. Tak, z pewnością nie powinna myśleć o takich rzeczach.

Jednak gdy tylko ujrzała go w hallu, wysokiego, odzianego w elegancki surdut, czekającego, by zaprowadzić ją do salonu, jej serce zaczęło walić jak oszalałe, tak iż bała się, że on może usłyszeć to głośne dudnienie. Nie przyjęła ofiarowanego jej ramienia, dumnie uniosła głowę i sama wkroczyła do pokoju.

## *Rozdział szesnasty*

Reginald wypił łyk czerwonego wina, które jakaś przedsiębiorcza osoba znalazła w piwnicy, i obserwował z posępną miną, jak lady Marian uważnie wsłuchuje się w słowa Darleya, podsumowującego właśnie wydarzenia minionego dnia. Nie odrywała od niego wzroku, jakby każde słowo z jego ust było nieocenioną perłą mądrości. Niestety, nawet Reginald zmuszony był przyznać, że jego przyjaciel wyśpiewywał właśnie peany na swoją cześć. Dobrze znał drobne słabości Darleya i nigdy mu one nie przeszkadzały, jednak teraz był coraz bardziej poirytowany.

Montague wiedział, że całe to przedstawienie odgrywane było tylko dla wicehrabiego. Marianna wdzięczyła się doń jak słodka idiotka, by udowodnić, że będą naprawdę idealną parą. Po dzisiejszym pocałunku Reginald wiedział już na pewno, że to jedno wielkie kłamstwo, nie miał jednak pojęcia, jak zapobiec nieuniknionemu. Darley był tak zaślepiony, że gdyby tylko odnaleźli markiza, natychmiast zaczęłby pertraktować w sprawie małżeństwa.

Reginald musiał więc wpłynąć na nią. Ona wiedziała doskonale, co robi. Nie była zaślepiona niczym, poza tą przeklętą potrzebą ratowania własnej rodziny. Z łatwością mogłaby uwolnić Darleya z haczyka, który już połknął. Musi ją tylko przekonać, by sama zechciała to zrobić.

Postanowił uzbroić się w cierpliwość i wyczekiwać odpowiedniej chwili. Po chwili panie podniosły się z miejsc i zostawiły panów przy winie. Darley wkrótce poszedł w ich ślady. Reginald opróżnił swój kieliszek i przeszedł do biblioteki, zamiast dołączyć do pozostałych. Lady Marian oszalałaby chyba, nie wiedząc, gdzie on jest i co zamierza. Zaczynał coraz lepiej rozumieć jej naturę. A ona znała jego. Najpierw będzie go szukać w bibliotece.

Nie zawiódł się. Marianna pojawiła się w tym samym pomieszczeniu kilka chwil później, niosąc świeczkę i książkę, którą wzięła wcześniej z półki. Oboje wiedzieli, że nie powinni dopuszczać do spotkań sam na sam, jednak gdy towarzystwo składało się tylko z kilku osób, trudno było umknąć podobnych sytuacji. Nikt nie dopatrywałby się tutaj jakiegś zмовy - prócz nich samych.

Lady Marian nawet nie próbowała udawać zdziwienia, kiedy ujrzała go przeglądającego książki na półkach.

- Większość z nich jest dosyć nudna - oznajmiła beznamiętnym tonem.

Reginald próbował się powstrzymać i nie patrzeć na nią, jednak pokusa była zbyt silna. Do kolacji Marian ubrała się w odpowiednio wyciętą suknię, przez co Reginald nie mógł usiedzieć spokojnie przy swoim posiłku. Od wielu już lat jadał z kobietami, które miały na sobie znacznie bardziej skąpe odzienie, i nawet nie chciało mu się odwracać głowy w ich stronę, choć najwyraźniej ich celem było ściągnięcie



jego uwagi. Widział też damy, które miały do pokazania więcej atutów niż ta. Nie miał pojęcia, dlaczego zafascynowała go nagle kobieta, która nim pogardzała, ale jego spojrzenie nie mogło się oderwać od delikatnych wzniesień jej alabastrowych piersi. Na szczęście trzymał właśnie w dłoni otwartą książkę, miał więc nadzieję, że wygląda to tak, jakby przyglądał się jakimś ilustracjom.

Zmusił się wreszcie, by podnieść wzrok na jej twarz. Lady Marian przypatrywała mu się podejrzliwie, ale naprawdę była zbyt niewinna, by zrozumieć, o czym myśli jej towarzysz. Reginald zastanawiał się, czy można by jej uświadomić moc jej kobiecości, jednak czuł jakąś dziwną niechęć do uczenia jej czegoś, co wykorzystywałaby przeciw innym mężczyznom.

Opowiedział jej uprzejmie:

- Nudne, być może, ale niektóre są naprawdę bardzo cenne. Na przykład ta. Prawdopodobnie oprócz niej istnieje tylko jeszcze jedna kopia. - Podał jej drogocenny tom.

Książka napisana była po grecku. Marian przyglądała jej się z rozczarowaniem.

- Jest w bardzo kiepskim stanie.

- Cała biblioteka będzie w bardzo kiepskim stanie, jeśli wkrótce nie doprowadzi się tutaj do zmian. Ściany są wilgotne, a bez ogrzewania w zimie papier staje się bardzo kruchy. Zamierzam odszukać pani kuzyna i odkupić od niego całą kolekcję. - Tyle że nie będzie miał pieniędzy, kiedy już odda jej równowartość naszyjnika. Reginald zatrzymał tę uwagę tylko dla siebie.

- Oczywiście, lepiej byłoby, gdyby te książki znalazły się w odpowiednich rękach, sądzą jednak, że nie znalazłby

pan wielu kupców na tak ogromną kolekcję. Zamierza pan kupić ją tylko dla siebie?

Ta kobieta miała umysł kupca. Reginald postanowił wrócić do właściwego tematu.

- To nie ma znaczenia. Postanowiłem, że musimy wrócić do miasta jutro rano. Zacznę przysyłać pieniądze do pani prawników, gdy tylko otworzą banki. Wiem, że nie chciała pani sprzedawać naszyjnika, ale możemy to zorganizować tak, by pani matka uwierzyła, że kopia to prawdziwy klejnot. Kiedy dostanie już pani równowartość naszyjnika, nie będzie pani musiała martwić się o pieniądze przez dłuższy czas. Poradzę, jak je zainwestować, jeśli pani sobie życzy. Mogą przynosić spory zysk i zapewniać stały dochód tak długo, jak tylko pani zechce, a nawet byłyby pani w stanie uzbierać niezgorszy posag dla siebie i siostry. Nie musi pani już polować na bogatego męża.

Marianna miała dość czasu, by przemyśleć wcześniejszą ofertę, ale jej odpowiedź się nie zmieniła. Choć bardzo zależało jej na odzyskaniu pieniędzy, nie mogła się na to zgodzić. Duma nie pozwoliłaby jej przyjąć tak ogromnej sumy od jakiegokolwiek mężczyzny, a już na pewno nie od tego. Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie, nie mogę się na to zgodzić. Nie może pan płacić za przysługę, o którą sama pana poprosiłam. Wiem, że uważa mnie pan za oszustkę, która poluje na posag, ale proszę nie obrażać mnie więcej w ten sposób.

Reginald z wściekłością rzucił książkę na półkę.

- Moja oferta pozwoli pani i pani siostrze szukać prawdziwego uczucia, a nie bogactwa. Nie chcę, żeby mój przyjaciel cierpiał przez pani chciwość. Oczywiście Darley jest wart znacznie więcej niż naszyjnik, i ma tytuł. Jest pani

aż tak chciwa, żeby zmarnować mu życie w zamian za to, co on może pani dać?

- Nie mam zamiaru marnować mu życia! - Głos Marianny podniósł się o oktawę, a jej oczy miały wściekłe spojrzenia. - On mnie lubi, w odróżnieniu od pana. Dlaczego nie chce pan przyznać, że on jest szczęśliwy, i nie pozwoli pan mu być takim nadal?

- On wcale nie jest szczęśliwy! - krzyknął Montague. - Jego domem i życiem rządzą trzy harpie: matka i dwie siostry. Dzień i noc mówią mu, co ma robić, a on jest zbyt dobry i łagodny, żeby im odpowiedzieć „nie”. Pani dołączy tylko do tej listy wiedźm i uczyni z jego życia piekło. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić!

- Więc to dlatego ciągle mnie pan prowokuje? Chce pan, żebym wyszła na sekutnicę, i żeby Darley się ode mnie odwrócił? Ależ z pana troskliwy przyjaciel! Pocałował mnie pan dzisiaj w nadziei, że w pobliżu pojawi się Darley i wszystko zobaczy, tak? Więc tylko o to chodziło? A ja się tyle nad tym zastanawiałam... Na szczęście nie jestem idiotką!

Stała niemal pod jego brodą, wzywając go do wyznania prawdy, której nie mógł wyznać nawet sam przed sobą. Nie zastanawiając się ani przez sekundę, nie dopuszczając do siebie logicznego rozumowania, Reginald objął ją mocno i zamknął jej usta swoimi.

Czuł, jak drgnęła zaskoczona. Drobne dłonie bezskutecznie próbowały odepchnąć mocne ramiona. Jednak jej usta były niczym oporny jeniec, którego torturowano tak długo, aż zmuszony był się poddać. Nauczy ją wreszcie, że język może służyć do znacznie przyjemniejszych rzeczy niż mówienie złości.

Reginald nie chciał posunąć się aż tak daleko, ale kiedy już znalazła się w jego ramionach, nie był w stanie oderwać się od niej. Jej wargi pojęły jego nauki szybko i chętnie. Dłonie zaczęły ścisnąć jego ramiona, a nie odpychać od siebie. Najpierw próbowała się oprzeć zachętom jego języka, jednak gdy jej oddech stawał się coraz krótszy, nie mogła walczyć z nim dłużej. Poczował, jak szok jego inwazji przyprawia ją o drżenie, i przyciągnął ją bliżej, by zakosztować jeszcze więcej. Nigdy jeszcze nie doświadczył kobiety tak cudownie niewinnej jak ta. Słodycz jej odpowiedzi była większa, niż byłby sobie w stanie wyobrazić. Pragnął więcej, a jego dłonie same przesunęły się ku górze, by dotknąć wypukłości jej piersi, które kusiły go przez cały wieczór.

Westchnęła słabo, a jej oddech był słodki i upojny. Reginald przesunął dłonie jeszcze o cal, aż jego kciuki delikatnie dotknęły paciorkowatych szczytów piersi, ukrytych pod cienką warstwą materiału. Gwałtowne drżenie jej ciała wywołane tą pieszczotą sprawiło, iż jego lędźwie odpowiedziały równie gwałtownym dreszczem. Teraz nie mógł już oderwać się od niej, nawet gdyby tego chciał. Jeszcze mocniej przywarł do jej ust i ostrożnie pieścił wrażliwe sutki, aż oddała mu się bez reszty. Nie miała już nic, czym mogłaby się obronić, a on tylko tego pragnął.

Mały, bufiasty rękaw łatwo ześliznął się z jej ramienia. Wiedział, gdzie znaleźć związane wstążki jej koszulki. Reginald uniósł jej pierś z ukrycia, tak jak uniósł ją całą nad podłogę i przeniósł na skórzaną sofę. Marianna przywarła mocno do jego szyi, kiedy straciła na moment grunt pod nogami, ale opadła z wdzięcznością na jego pierś, gdy usiadł i zamknął ją w swych mocnych ramionach.

Jeśli kręciło jej się w głowie tak mocno jak jemu, oboje musieli znaleźć jakieś oparcie.

Światło lampki było słabe, ale Reginald wykorzystał je, by podziwiać pierś, którą uwolnił z ukrycia. Jego palce gładziły jej skórę i wygrywały cudną melodię na jej krągłościach, sprawiając, iż Marianna wiała się z rozkoszy i ocierała o jego rozbudzone ciało. Wiedział, że powinien już przestać, ale nie bez ostatniego pocałunku. Nie pamiętał, kiedy doznał tak ogromnej przyjemności dzięki najdelikatniejszym dotykom i spojrzeniom. Nie chciał jeszcze kończyć tej cudownej chwili.

To był jego błąd. Gdyby uwolnił ją wtedy z objęć i pozwolił, by go zrugwała bezlitośnie, nikt by im nie przeszkodził. Jednak przedłużająca się cisza, która nastąpiła po eksplozji krzyków i obelg, wzbudziła zrozumiałą ciekawość. Niestety, wszystkie myśli Reginalda skupiały się wtedy tylko na Mariannie.

Drobna dłoń chwyciła ramię Darleya, kiedy ten zacisnął pięść i zamierzał właśnie wejść do biblioteki. Choć rozbite resztki jego marzeń oświetlała tylko jedna lampka, usłyszał wcześniej wystarczająco dużo, by zrozumieć, co dzieje się za oparciem sofy. Delikatny dotyk dłoni na jego ramieniu całkowicie go zaskoczył.

Odwrócił głowę i ujrzał przerażoną twarz panny Oglethorp. Hall był oświetlony o wiele lepiej niż biblioteka, i światło lamp tańczyło lekko na jej złotych lokach, gdy zwróciła ku niemu błagalne spojrzenie.

- Proszę tego nie robić - wyszeptała. - To wszystko moja wina. To ja miałam dobrze wyjść za męża, ale byłam zbyt nieśmiała. Marianna chce tylko zaopiekować się mną.

Był to niezwykle dziwny sposób pojmowania sceny, która rozgrywała się kilkanaście metrów dalej. Darley nie widział dobrze, co robi tamta para, ale nie wyglądało to na mecz zapaśniczy, kiedy Montague podniósł lady Marian. Musiał działać szybko, ale nie mógł też zignorować panny Oglethorp. Jej nieśmiałość sprawiła, że nie docenił jej już wiele razy, jednak przez ostatnie dni zaczynał rozumieć ją coraz lepiej i coraz bardziej szanować. Nie można zupełnie ignorować próśb damy.

- Nie winię Marianny. Winę Montague'a. Niech pani wraca do swojej matki. My też wkrótce się tam zjawimy - wyszeptał, starając się jednocześnie obserwować bibliotekę.

- Przecież pan słyszał, co oni mówili. Proszę pozwolić mi tam wejść. Marianna nigdy nie chciała nikogo skrzywdzić, wiem to na pewno.

Jej głos był spokojny i wyciszony. Darley najchętniej odepchnąłby ją na bok, wiedział jednak, że była jedynym głosem rozsądku w próżni bólu. Nie potrafił nawet określić swoich uczuć. Jego najlepszy przyjaciel kochał się z kobietą, którą on chciał poślubić - robił to, by go ochronić. Chciał ich zabić, a jednocześnie chciało mu się płakać nad tym, co stracił. Był rozdarty, ale gwałtowna złość brała teraz górę. Zapłaczę, kiedy z nimi skończy.

Nie mógł jednak uczynić niczego na oczach Jessiki.

- Nie zrobię nic, co zraniłoby pani siostrę. Chcę tylko zabić Montague'a. On zrobił to celowo.

Strach wykrzywił na moment jej twarz.

- Nie może pan tego zrobić! Będzie pan musiał wyjechać z kraju. Proszę, niech pan tego nie robi. Wymyślimy coś innego. Musi być przecież jakiś inny sposób.

- Zanim on do końca skompromituje pani siostrę? Nie sądzę. - W rzeczywistości jednak w jego głowie już zaczął tworzyć się pewien plan. Gdyby nie ból, który rozdzierała mu serce, Darley zachichotałby pewnie z satysfakcją. Montague nigdy nie chciał się żenić. Często powtarzał, że nie chce, by kobieta odebrała mu wolność. Za moment rzuci mu te słowa prosto w twarz.

Darley odsunął Jessikę i wszedł do pokoju, lecz nagle stanął jak wryty, gdy z miejsca obok kominka dobiegł jakiś nie znany mu głos. Obie postaci na sofie odskoczyły od siebie jak oparzone.

- Pomyślałem, że powinienem się pokazać, by mógł pan złożyć swą ofertę przed faktem, a nie po nim - powiedział oschle nieznanym osobnik.

Wszystkie oczy zwróciły się ku przeciwległej ścianie, gdzie o półki opierał się wysoki, szczupły mężczyzna. Czubkami palców kręcił dużym, starym globusem.

Reginald jako pierwszy odzyskał równowagę. Szybko pochylił się nad Marianną i dyskretnie poprawił rękaw jej sukni. Posadził ją obok siebie, nie spuszczać jednocześnie oka z nieznanego mężczyzny. Czuł, że Marianna cała się trzęsie i objął ją mocno ramieniem, choć i jego serce waliło jak oszalałe - bardziej z nerwów niż ze strachu. Sytuacja wyglądała bardzo źle.

- Nie sądzę, byśmy się już kiedyś poznali - odparł chłodno, nie dodając zwyczajowego w tej sytuacji „sir”, gdyż nie uważał, by ten natręt na to zasługiwał.

Mężczyzna jeszcze raz zakręcił globusem i podszedł do biurka, by zapalić stojącą tam lampkę. Ogień rozbłysnął gwałtownie, rzucając na twarz nieznanego upiorny blask. Marianna omal nie krzyknęła i wtuliła się mocniej w ra-

miona Reginalda. Ten objął ją czule, choć wiedział, że najlepiej byłoby odsunąć się od niej możliwie najdalej.

Płomień lampki uspokoił się nieco i oświetlił wysokiego mężczyznę, odzianego w luźny surdut, spodnie, które nie opinały ciasno jego nóg i buty pamiętające z pewnością znacznie lepsze czasy. Mimo to nieznajomy wcale nie wyglądał na zakłopotanego. Stał na lekko rozstawionych nogach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, pewien siebie, jakby był samym markizem.

Marian wstrzymała oddech, kiedy jej spojrzenie dosięgło twarzy mężczyzny. On rzeczywiście był markizem. Jego twarz prawie nie różniła się od twarzy przedstawionej na portrecie jej ojca, tyle że ojciec miałby w tej chwili około pięćdziesiątki, a ten człowiek nie skończył chyba jeszcze trzydziestu lat - tak jak mężczyzna na portrecie wykonanym dwadzieścia lat temu.

Chytry uśmiech wykrzywił twarz markiza, gdy obserwował reakcję Marianny.

- Bardzo dobrze, kuzyneczko. Już od dłuższego czasu podziwiam twoją niezwykłą inteligencję, choć w tych okolicznościach mógłbym w nią zwątpić. Mężczyzna, do którego się przytulasz, jest skończonym łajdakiem. Niestety będę musiał go nauczyć dobrych manier. - Tu skłonił się lekko w stronę Montague'a. - Myślę, że wasze zwyczaje są podobne do naszych, ponieważ jednak nie mam żadnych przyjaciół w tym kraju, będziemy musieli obejść się bez sekundantów. Woli pan pistolety czy szpady?

Gdy za ich plecami rozległy się zdumione okrzyki, Marianna i Reginald jak na komendę odwrócili głowy. Montague pogładził swą towarzyszkę po ramieniu, chcąc



jej w ten sposób dodać otuchy, po czym wstał i zwrócił się do nowej publiczności.

Darley strącił z ramienia dłoń Jessiki i wszedł do pokoju, a jego twarz wykrzywiona była w grymasie gniewu.

- Jeśli ktokolwiek ma wyzywać tego człowieka na pojedynek, to tylko ja. Marianno, opuść ten pokój i zabierz ze sobą siostrę.

Jessica weszła pomiędzy obu mężczyzn, oparła dłonie na biodrach i oznajmiła stanowczo:

- Przestańcie, przecież to niemądre.

Jako rzeczowy argument zdanie to pozostawiało wiele do życzenia, powstrzymało jednak zwaśnione strony od gwałtownych posunięć. Darley zatrzymał się na moment, a Marianna uspokoiła się na tyle, że mogła wstać, choć obejmowała się mocno rękami, jakby w obawie, że lada moment rozsypie się na drobne kawałki.

Reginald wiedział, co dzieje się za jego plecami, nie odrywał jednak wzroku od Darleya.

- Lady Marian, lepiej będzie, jeśli odejdzie pani do swego pokoju. Z łatwością sam sobie z tym poradzę.

- Bez wątpienia - odparła Marianna z gorzką ironią.  
- Ale aż do tej chwili brakowało nam tutaj rozrywki. Nie chciałabym stąd wychodzić właśnie teraz, kiedy zaczyna się robić interesująco.

Reginaldowi chciało się śmiać. Oczyma wyobraźni widział teraz jej minę. Być może za kilka godzin będzie walczył o życie, jednak lekceważący ton jej głosu sprawiał, że sytuacja nie wydawała się tak dramatyczna. Bał się tylko, że jego śmiech sprowokowałby Darleya do jeszcze gwałtowniejszych czynów.

Mężczyzna za jego plecami nie miał takich obaw.

Markiz chichotał pod nosem, podchodząc do reszty towarzystwa.

- Coś mi się zdaje, że za bardzo lubię moją kuzyneczkę, żeby oddawać ją w ręce takiego łobuza jak ty, Montague. Tam, skąd pochodzę, nie zawsze czekamy do świtu, żeby załatwić takie sprawy. Nad kominkiem schowane są dwa pistolety. Wypróbujmy je teraz, co?

- Kim pan jest, do diabła? - Nieprzywykły do tego, by ignorowano go w tak oczywisty sposób, Darley podszedł o krok, chowając za swymi plecami Jessikę. Zrobiłby to samo z Marianną, gdyby mógł jej dosięgnąć, jednak stała pomiędzy Reginaldem a nieznanym, mierząc obu wściekłym spojrzeniem.

- Lordzie Darley, sadzę, że powinnam panu przedstawić mojego kuzyna, markiza Effingham. Niestety, nie mogę podać panu jego imienia, gdyż nie uważał za stosowne przedstawić się własnej rodzinie, myślę jednak, że możemy przystać na coś równie oczywistego jak Pustogłowy Kręta-czooszust.

Złośliwy ton Marian przywołał kolejny uśmiech na usta markiza. Ukłonił się lekko przed zaskoczoną grupką:

- Gavin Arinmede Lawrence, ósmy markiz Effingham i wszystkie-te-brednie, do waszych usług, panowie. - Wyprostował się, a uśmiech znikł z jego twarzy. - Teraz wszyscy się stąd wynoście, a ja zajmę się tym draniem.

Pochwyił Reginalda za kołnierz, szarpnął go do tyłu i wymierzył potężny cios w szczękę.

## *Rozdział siedemnasty*

Marianna uznała, że cios wyglądał całkiem poważnie i że powinna wziąć udział w dalszym rozwoju tej dramatycznej akcji, strąciła więc z ramienia dłoń Darleya i podszła o krok. Jednak Montague wcale nie chciał się dostosować do teatralnego schematu. Zamiast zachwiać się i upaść z tragicznym okrzykiem, gdy markiz wypuścił jego kołnierz, Reginald skoczył naprzód, wbił pięść w brzuch Amerykanina i rzucił go na półki z książkami. Marianna zmuszona była wycofać się w popłochu.

Byłaby też zmuszona opuścić bibliotekę, by uchronić Jessikę przed niebezpieczeństwem, jednak Reginald natychmiast cofnął się o kilka kroków, otrzepał z kurzu i gestem powstrzymał swego przeciwnika, nim walka zaczęła się na dobre. Zrozumiawszy intencje Anglika, markiz wyprostował się i włożył ręce do kieszeni.

- Nieźle jak na lowelasa. Spróbujemy teraz z pistoletami?

Marianna straciła cierpliwość.

- Dość tego! Nie ma pan prawa przyjeżdżać tutaj po dwudziestu latach i przemawiać w imieniu rodziny, której wcześniej nie chciał pan nawet znać. Zapewniam pana, że sama potrafię zadbać o siebie i będę panu wdzięczna, jeśli zechce pan nie wtrącać się do naszych spraw. Ze względu na moją matkę proszę, by pozwolił nam pan zostać tutaj na noc. Wyjedziemy wczesnym rankiem i nie będzie pan musiał już dłużej troszczyć się o nas.

Dla dodania wagi temu dramatycznemu oświadczeniu, powinna była chwycić Jessikę za rękę i wyjść z pokoju, jednak teatralne gesty i rozum nie zawsze idą w parze. Marianna wiedziała dobrze, że nie może opuścić biblioteki, dopóki nie upewni się, że nikt nie ucierpi. Sądząc po głuchej ciszy, która zapadła po jej słowach, miała tu jeszcze sporo do zrobienia.

Markiz uśmiechnął się drwiąco.

- Możecie zostać na noc. A teraz proszę stąd wyjść, żebyśmy mogli kontynuować naszą rozmowę w mniejszym gronie.

- Rozmowę? Tak to się nazywa w Ameryce? W takim razie musicie mieć co wieczór po prostu szampańską zabawę w swoich salonach. - Nie dowierzając w tej chwili żadnemu z trójki mężczyzn, Marianna spojrzała przez ramię na siostrę. - Jessiko, czy mogłabyś wejść na kominek i zdjąć stamtąd pistolety? Wtedy będziemy mogły pójść, a panowie spokojnie sobie porozmawiają - przeciągnęła lekko ostatnie słowo, naśladując markiza.

Kiedy Jessica posłusznie przysunęła ciężkie krzesło do kominka, Darley ponownie wkroczył do akcji.

- Posunęliśmy się naprawdę za daleko. Jessiko, proszę zostawić to krzesło, zanim zrobi sobie pani krzywdę. Drogi

panie - wicehrabia spojrział na markiza - obrażono kobietę, z którą pragnę się ożenić. To ja powinienem wyzwać Montague'a na pojedynek.

Reginald jęknął z rezygnacją, podniósł do góry ręce i podszedł do Jessiki, by zdjąć ją z wysokiego krzesła. Ona jednak najwyraźniej doszła do wniosku, że jej siostra ma rację i że Reginald nie ma nic do powiedzenia w tym sporze. Dlatego też zaczęła przeraźliwie pisać, kiedy podniósł ją i postawił na podłodze, umilkła jednak, gdy sięgnął po pistolety i oddał je w jej ręce.

- Proszę zanieść je lady Grace. Proszę też zabrać stąd pani przekłętą siostrę, jeśli może pani to zrobić. Obiecuję, że wtedy nikogo nie zabiję.

Marianna zauważyła, że Montague zwraca się tylko do Jessiki, a nie do niej. Było to dość nieprzyjemne z jego strony, zwłaszcza po tym, jak z nią postąpił, jednak w tej chwili nie zamierzała wszczynać nowej kłótni. Chciała tylko uspokoić nieco sytuację i doczekać się odpowiedzi na kilka pytań.

Odwróciła się do markiza. Amerykanin wcale nie wyglądał na rozżłoszczonego. Marianna pomyślała nawet, że on po prostu śmieje się z nich wszystkich. Poruszył lekko brwiami, gdy ich spojrzenia spotkały się na moment, i czekał na to, co lady Marian ma jeszcze do powiedzenia. Zastanawiała się, czy jej ojciec był równie irytujący. Wówczas nie dziwiłaby się wcale, gdyby jej matka pragnęła kiedyś szybkiej śmierci swego męża.

- Uważam, że powinien przedstawić się pan mojej matce, sir. Wiele sobie obiecywała po tej wizycie. Obiecuję, że nie powiemy jej, jak ukrywał się pan w różnych norach, jeśli zechce pan odpowiednio się zachowywać.

Markiz uśmiechnął się szeroko, niemal od ucha do ucha, choć z jednej strony jego usta wykrzywione były nieco przez blizny na twarzy. Spojrzał na pozostałych dwóch mężczyzn, by sprawdzić, czy doceniają wyzwanie Marianny w równym stopniu jak on. Lord Darley wciąż był wściekły i nieco zmieszany. Montague wzruszył ramionami, eskortując do wyjścia Jessikę, która przyciskała do piersi pudło z pistoletami.

- Zagada cię na śmierć, jeśli tego nie zrobisz - poinformował go chłodno.

Markiz przestał się uśmiechać. Jego dłoń powędrowała do pociętego szramami policzka.

- Nie będę denerwował tej damy bez potrzeby. Lepiej będzie, jeśli pozostanę w tym pokoju. Jeśli szanowne panie pozwolą, dojdziemy do porozumienia bez waszej pomocy.

- Chwycił Mariannę za ramię i popchnął ją w stronę wyjścia.

Jednak uczepliła się regału i zaparła o podłogę.

- Proszę mnie natychmiast puścić, sir! Nie będziecie sami dyskutować o sprawach, które mnie dotyczą.

Reginald odsunął się na bok, skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na zatrwożonego wicehrabiego.

- No, stary przyjacielu, oto kobieta, którą chcesz pojąć za żonę. Bądź tak dobry i przemów jej do rozsądku.

Kiedy markiz próbował oderwać dłonie lady Marian od półki, ta kopnęła go w kostkę i uderzyła po rękach, po czym szybko odsunęła się na bezpieczną odległość. Oparła dłonie na biodrach, zmierzyła wszystkich wyzywającym spojrzeniem i oznajmiła z mocą:

- Nie potrzebuję żadnego z was!

Obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju - wpadając prosto w ramiona swej matki.

Wszyscy trzej panowie skulili się odruchowo, słysząc uprzejmy, łagodny głos dochodzący z korytarza.

- Marianno, a cóż się tu dzieje? Dostałaś wypieków, kochanie.

Markiz usiłował stopić się w jedno z regałami, kiedy do biblioteki wkroczyła lady Grace. Zbladła ujrawszy Jessikę, która próbowała schować za plecami pistolety, a oskarżycielskie spojrzenie jej błękitnych oczu obiegło szybko cały pokój. Gdy dojrzała nieznanego mężczyznę, kryjącego się w mrocznych zakamarkach, ruszyła wprost ku niemu.

Zmarszczyła gniewnie brwi, gdy markiz ukłonił się grzecznie.

- Pan jest bez wątpienia Lawrence'em, sir, nie ukryją tego nawet te blizny. Jeśli jest pan w czymkolwiek podobny do tego nieznośnego człowieka, jakim był pański dziadek, to rzeczywiście ma pan powody, by ukrywać swoją tożsamość, ale teraz w niczym to panu nie pomoże. Proszę się natychmiast przedstawić i wyjaśnić całą tę komedię.

Marianna i Jessica wpatrywały się w matkę z otwartymi ustami. Nigdy dotąd nie widziały markizy Effingham w podobnej sytuacji. Lady Grace zawsze była nieśmiałą, rozpieszczoną damą, która uśmiechała się pobłaźliwie i pozwalała, by mąż podejmował za nią wszystkie decyzje. Dziedzic Ogletorp chętnie wywiązywał się ze swej roli i spełniał każde jej życzenie. Nigdy, przynigdy nie podniosła na nikogo głosu. Obie córki po prostu nie mogły uwierzyć własnym uszom.

Nieświadom prawdziwej natury szacownej damy, markiz pospiesznie wykonał jej polecenie, przedstawiając się oficjalnie i składając bardzo grzeczny, choć trochę niezgrabny ukłon. Kiedy zrozumiał, że jego zdeformowane oblicze nie czyni na niej żadnego wrażenia, rozluźnił się nieco.

- Sprawy mają się nie najlepiej, droga pani, i nie mogę obiecać, że poradzę sobie z nimi w najbliższym czasie, chciałbym jednak, by wiadome było, że zarówno pani, jak i jej córki są zawsze chętnie widziane w tym domu. Należy on do pani w większym stopniu, niż kiedykolwiek będzie należał do mnie.

- Bardzo ładnie pan to ujął. Porozmawiamy o „sprawach”, jak się pan raczył wyrazić, jutro rano. To był bardzo męczący dzień. Proponuję, żebyśmy wszyscy udali się teraz na spoczynek. - Iście królewskim gestem lady Grace nakazała córkom, by poszły za nią.

Marianna zdążyła jeszcze na odchodnym rzucić Reginaldowi zimne spojrzenie, które mógł zinterpretować, jak tylko sobie życzył.

Reginald wolał interpretować je jako wyzwanie. Poczekał, aż damy odejdą na bezpieczną odległość, po czym zwrócił się do markiza z propozycją i jednocześnie oskarżeniem, które właśnie przyszło mu do głowy.

- Okoliczności wymagają, bym poprosił Mariannę o rękę, ale jeśli oddasz naszyjnik, Effingham, wszyscy możemy wyjść godnie z tej sytuacji.

Montague zgrabnie uniknął silnego ciosu Darleya, przeszedł obok oszołomionego markiza i nalał sobie brandy z niemal pustej już karafki.

Markiz spojrział na nieszczęśliwego wicehrabiego.



- U mnie w domu już dawno ktoś wpakowałby mu kulkę między oczy.

- Oto, co czyni cywilizacja i dobre wychowanie - odparł posepnie Darley. - Nie możemy żyć zbyt długo na wyspie, nie próbując ułożyć się jakoś z innymi mieszkańcami, bo wkrótce wszyscy byśmy się wystrzelali.

Markiz zachichotał.

- Podobasz mi się, Darley. A może powinienem nazywać cię „mój lordzie”, czy jakoś równie śmiesznie? Nie mogę się jeszcze zorientować w tych idiotycznych przepisach i tytułach.

Wicehrabia spojrział z irytacją na Reginalda, który nalewał teraz brandy do dwóch innych kieliszków.

- Twój tytuł jest więcej wart, sir. Może mnie pan nazywać, jak zechce. Mnie przychodzi do głowy tylko „mąż kuzynki” albo coś podobnego.

Gavin Lawrence pokręcił głową.

- Nic z tego nie będzie, i obaj dobrze o tym wiemy. Za bardzo cię lubię, żeby ożenić cię z moją kuzynką. Zamieni ci życie w piekło. My, Lawrence'owie, jesteśmy uparci i arogancy. A co z drugą kuzyneczką? Panną Jessiką? Trzeba przyznać, że jest atrakcyjna i posłuszna, znacznie bardziej uładowana niż jej siostra.

Darley spojrział na niego z odrazą.

- Uczuciami nie można tak łatwo manipulować. Panna Oglethorp jest jeszcze o wiele za młoda, by podejmować takie decyzje.

Reginald podszedł do nich, niosąc w dłoniach kieliszki z brandy.

- Więc zabierz się do tego jutro rano i naucz ją podejmować decyzje. Jestem pewien, że będzie pojętną

uczennicą. Kiedy już jej matka i siostra znajdą się pod dobrą opieką, Marianna będzie mogła poszukać kogoś, kto poradzi sobie z nią i z jej charakterkiem.

Darley nachmurzył się i wypił spory łyk brandy.

- To wszystko bzdury. - Odstawił kieliszek na bok. - A jeśli ja nie mogę się z nią ożenić, to musisz zrobić to ty. Po tym, co wszyscy tu widzieliśmy, nie ma lepszego rozwiązania.

Markiz powoli pił ze swego kieliszka i pozwolił, by Reginald przemówił pierwszy.

- Znam tysiące lepszych rozwiązań. Nie jestem przecież tak bogaty, jak ona by sobie życzyła. Wiesz doskonale, dlaczego nie mogę się jej oświadczyć. Przecież to córka diabelnego markiza, do stu diabłów! Mogłaby polować na samego Devonshire'a, gdyby tylko chciała.

Markiz odchrząknął głośno, zwracając na siebie uwagę obydwu przyjaciół.

- Myślę, że ta dama dokonała już wyboru, a pan Montague przypieczętował swój los zachęcając ją do tego. Albo oświadczy się pan jeszcze dzisiaj, Montague, albo zażądam pańskiej głowy jutro rano.

Reginald opróżnił swój kieliszek i odstawił go na bok, odwracając się do kuzyna Marianny.

- Ona mi odmówi i będzie miała rację. Lepiej byłoby, gdyby pan zbadał najpierw moje położenie, a dopiero potem poświęcał Mariannę w imię amerykańskich zasad. Możemy przecież zachować to wszystko tylko dla siebie. Nie musimy nikomu o tym wspominać. - Odruchowo zacisnął mocniej zęby. - A jeśli przekona pan swojego lokaja, żeby oddał nam naszyjnik, będzie miała wystarczająco duży posag, by zwabić zalotnika bardziej odpowiedniego dla jej pozycji.

Markiz wzruszył ramionami.

- Nawet gdybym wiedział, gdzie jest teraz naszyjnik, to nie należy on do lady Marian, ale do tego majątku. A co do pańskiego położenia, Montague, to zbadałem je bardzo dokładnie. Ten sklep całkiem dobrze prosperuje. Spłacił pan ogromny dług w ciągu zaledwie kilku lat. Jesteś w stanie zapewnić mojej kuzynce całkiem przyzwoite utrzymanie.

Dwaj Anglicy wpatrywali się w Amerykanina, jakby ten odłonił nagle ukryte wcześniej rogi i ogon. Reginald zbladł jak ściana i z całej siły zacisnął zęby. Darley jako pierwszy odzyskał mowę.

- To zastrzeżona informacja, sir. Nie powinien mieć pan do niej dostępu. Ale skoro już tak się stało, to rozumie pan chyba, dlaczego Reginald nie może ożenić się z Marianną. Ona nie chciałaby wiązać się ze sklepikarzem. Choć i mnie bardzo zależy na tym, by Reginald został ukarany, musimy brać pod uwagę pozycję tej damy.

Markiz nie wyglądał już na rozbawionego.

- Co za banda przeklętych hipokrytów! Wolelibyście pewnie, żeby potulna Jessica wyszła za tego aroganckiego bałwana tylko dlatego, że jest córką zwykłego dziedzica? Wszystkim wam brakuje piątej klepki. - Zwrócił się wprost do Reginalda. - Oświadczyń albo pojedynek. Co wybierasz?

Reginald skłonił sztywno głowę.

- Pozwoli pan, że poproszę lady Marian o rękę, sir?

Markiz uśmiechnął się szeroko i uderzył go w plecy.

- Bardzo dobrze! Szczegóły ustalimy jutro rano, kiedy już się oświadczysz. - Amerykanin spojrział z nadzieją na Darleya. - Nie przypuszczam, żebyś chciał sobie wziąć tę drugą, co?

Darley sposepniał.

- Nie jestem interesującą partią dla kobiet. Marianna była pierwsza, która w ogóle chciała mnie słuchać. Zobaczę, jaka będzie jej odpowiedź na oświadczyni Reginalda.

Montague zaklął, żałując, że nie ma już więcej brandy. Z jednej strony wolałby przekonać Mariannę, by za niego nie wychodziła, a to ze względu na dobro jej samej. Z drugiej zaś, dobrze byłoby, gdyby się zgodziła - ze względu na Darleya.

Tym razem naprawdę narobił sobie sporych kłopotów.

Słyszając równy oddech Jessiki, która szybko zapadła w głęboki sen, Marianna wysunęła się z łóżka i podeszła do okna. Znow zaczął padać deszcz i nie mogła dojrzeć nic poza zarysami drzew, kołysanych łagodnym wiatrem. Nie widziałyby jednak więcej, nawet gdyby noc rozjaśniał blask księżyca. Jej myśli zwracały się w zupełnie inną stronę niż park przed domem.

Myślała o tym, jak całował ją Reginald Montague. Co gorsza, myślała o tym, jak ją dotykał. Samo wspomnienie tych pieścizot napełniało jej piersi rozkosznym żarem. Powinna być czerwona ze wstydu i upokorzenia, ale to ciekawość kazała jej nie wrywać się z jego uścisków. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tego rodzaju pieścizotach. Miała świadomość, że prowadziły one do zakazanego, ale wiedziała też, że to, co zdarzyło się tego wieczoru, było zakazane. Nie mogła sobie wyobrazić czegoś bardziej niebezpiecznego i haniebnego niż to, co zrobiła.

Nie była głupią, naiwną gąską. Wiedziała, że Montague będzie musiał się jej oświadczyć. Nie wiedziała, dlaczego zrobił to, co zrobił, skoro nie chciał się z nią żenić, była jednak pewna, że wcześniej o tym nie myślał. Reginald Montague nie był człowiekiem, który zgodziłby się na małżeństwo z konieczności. Nie był też jednak skończonym łajdakiem, który zabawia się kosztem niewinnych panien. Zaczynała podejrzewać, że nie wie jeszcze o wielu rzeczach dotyczących tego mężczyzny, ale jeśli będzie zmuszona za niego wyjść, z pewnością dowie się wszystkiego.

Skrzyżowała ręce na piersiach, starając się powstrzymać od drżenia. Kiedy jeszcze wczoraj myślała o małżeństwie z Darleyem, brała pod uwagę tylko bogactwo i wygody, które mógł jej zaoferować. Wybierała mężczyznę, który nie pije za dużo, jest uprzejmy i łagodny, gdyż nawet mieszkając na wsi widziała, jaki los spotyka kobiety wydane za nieodpowiednich ludzi. Nigdy dotąd nie myślała jednak o innych aspektach małżeństwa.

Za to teraz nie potrafiła myśleć o niczym innym. Była pewna, że to, co Reginald Montague robił z nią w bibliotece, nie było zbyt odległe od rzeczy, które dzieją się pomiędzy mężem a żoną. Wcześniej nie zastanawiała się wcale nad fizyczną stroną związku kobiety i mężczyzny. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią o tym. Był to temat starannie omijany przez przyzwoite kobiety, a zwłaszcza te niezamężne. Z przeczytanych przez nią książek wnosiła, że mężczyźni robili kobietom coś, co sprawiało, że te rodziły potem dzieci. Choć prawie przez całe życie mieszkała na wsi, nigdy nie dowiedziała się, skąd kury mają kurczaki, a koty śliczne kocięta. Dziedzic chronił je przecież bardzo trosk-

liwie. Nie zdawała sobie sprawy jak troskliwie, dopóki nie przekonała się o własnej ignorancji.

Z pewnością to, co robiła ona i pan Montague nie prowadziło do dzieci. To nie miałyby przecież większego sensu. Uczucia i wrażenia, jakich doznawała wtedy, tak jak i te, których doznawała teraz, kazały jej przypuszczać, że za tym kryje się coś więcej, coś, co mogłoby się zdarzyć, gdyby im nie przerwano. Właściwie powinna być przerażona i zdruzgotana, jednak w tej chwili czuła tylko ogromną ciekawość. Chciała wiedzieć, do czego prowadziły te doznania.

Nie umiała odnieść ich do lorda Darley. Choć próbowała już dziesiątki razy, nie potrafiła sobie wyobrazić, by pocałunek z Darleyem wywołał w niej te same emocje. Może w małżeństwie to wcale nie było już potrzebne. Może powinna pozwolić mu robić z nią, co tylko zechce, i wszystko by się ułożyło, tak jak to sobie wcześniej wyobrażała. Jednak teraz już jej to nie wystarczało. Musiała wiedzieć, co by wówczas straciła.

Ta myśl przeraziła ją bardziej niż wszystkie poprzednie. Nie mogła się tego dowiedzieć, nie sprowadzając jednocześnie klęski na siebie i swoją rodzinę. Musiała wyjść za pana Montague'a, by zrozumieć, do czego prowadziły jego pocałunki.

Kiedy pomyślała nad tym dłużej, ten pomysł już nie wydawał się jej tak nedorzeczny. Lord Darley na pewno nie zechce poprosić jej teraz o rękę. Nie mogła też przyjąć pieniędzy Reginalda w zamian za skradziony naszyjnik. Cała jej rodzina musiałaby wrócić na farmę bez grosza przy duszy i modlić się o jakiś cud, który pozwoliłby im spłacić długi. Chyba że poślubi pana Montague'a.

*PATRICIA RICE*

Marianna miała uczucie, że ogień trawi jej wnętrzności, kiedy jeszcze raz pomyślała o tym rozwiązaniu. Żar dosięgnął miejsc, o których nawet nie mogła myśleć. A jednak nie potrafiła zapomnieć, że wymuszone małżeństwo wzbudzi na pewno gniew pana Montague'a.

Zaniknęła oczy i oparła rozpalone czoło o chłodną szybę, modląc się, by ten człowiek nie zamordował jej którejs nocy.

## *Rozdział osiemnasty*

Lady Grace, jeśli pani pozwoli, chciałbym porozmawiać z lady Marian w salonie - oznajmił sztywno Reginald, zwracając się do dam opuszczających właśnie jadalnię.

Efemeryczny markiz zniknął bez śladu jeszcze poprzedniego wieczoru. Wyglądało to tak, jakby nigdy się tutaj nie pojawił. Montague wiedział jednak dobrze, że nie może liczyć na taki cud.

Lady Grace odpowiedziała skinieniem głowy i odeszła w stronę swoich komnat, zostawiając zakłopotaną Mariannę na środku korytarza. Reginald ujął ją za ramię i skierował ku salonowi, który niedawno został przyozdobiony holenderskimi gobelinami. Białe promienie porannego słońca wpadały do wnętrza przez świeżo umyte okna i oświetlały stare, ciężkie meble.

Wypuścił jej rękę, gdy tylko znaleźli się w salonie. Marianna unikała skutecznie jego wzroku. Stała sztywna, wyprostowana i nieustępliwa, ale cienkie muśliny nie potrafiły ukryć delikatnych kragłości jej bioder i pośladków.



Reginald nieczęsto znajdował się w sytuacji, gdy odwrócona doń plecami dama wzbudzała w nim taki zachwyt, wiedząc jednak, jak blisko był uzyskania prawa do dotykania tych boskich kształtów, nie potrafił się powstrzymać.

Próbował przywołać się do porządku i myśleć o znacznie poważniejszych rzeczach, jednak lady Marian wybrała właśnie ten moment, by podejść do okna. Słoneczne promienie z łatwością przebijały się przez ciekłą warstwę materiału, odsłaniając zarys tego, co kryło się pod spodem, i uporządkowane na moment myśli Reginalda znowu rozsypały się bezładnie. Jeszcze wczoraj wieczorem miał okazję dowiedzieć się czegoś więcej o tych wspaniałych wypukłościach, które mógł teraz tylko oglądać. Nagle przyłapał się na tym, że wyobraża sobie, jak ściąga z niej suknię.

Przerażony, zamknął oczy i spróbował jeszcze raz zebrać myśli. Kobiety nigdy tak na niego nie działały. Miał wspaniałą kochankę, która zaspokajała jego potrzeby fizyczne na wiele wymyślnych sposobów. Myślał o niej tylko wtedy, gdy był w jej ramionach. Poza tym związkiem nie interesował się kobietami. Uważał je za stworzenia nudne, samolubne, niedouczone i ograniczone, a na dodatek większość z nich nie czerpała żadnej przyjemności z kontaktów fizycznych. Wcale nie potrzebował o nich myśleć. Dlaczego więc nie potrafił teraz zapanować nad pożądaniem i odbiec myślami od tej kobiety przy oknie?

Zostało mu tylko jedno rozwiązanie. Musi to załatwić teraz. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak powinny wyglądać oświadczyzny. Nie przygotował żadnego przemówienia. Znał tylko swój obowiązek i wyobrażał sobie z grubsza, co będzie myśleć kobieta, do której się zwróci.

Próbował więc zebrać te wszystkie myśli i stworzyć z nich coś rozsądnego.

- Lady Marian, wiem, że nie jestem tym wspaniałym wybrankiem, o którym pani marzyła, ale potrafię zapewnić pani wygodne życie i wiem, że będziemy tworzyć dobraną parę. Pozwalam sobie żywić nadzieję, że odwzajemni pani moje uczucia i uszczęśliwi mnie przyjmując te oświadczenia.

Marianna słyszała niechęć i fałsz w jego głosie. Wyglądał doskonale, choć jego kołnierzyk jak zwykle nie był nakrochmalony, a surdut nie zapięty. Nie musiała się odwracać, by widzieć, jak jego jasne oczy spoglądają na nią z wysoka, a jego twarz wygląda tak, jakby odlana została z metalu, by nikt nie odczytał z niej żadnych emocji. Nie chciał się z nią żenić. Dał jej to wyraźnie do zrozumienia, choć jego słowa świadczyły o czym innym.

- W pełni doceniam ten zaszczyt. - Przez cały ranek powtarzała sobie te słowa. Nie chciała, by brzmiały one złośliwie, jednak kiedy wyczuła, że Reginald rozluźnił się, jakby odetchnął z ulgą, zrozumiała, że nie był to dobry wybór. On myślał, że zostanie odrzucony.

Marianna zmusiła się wreszcie do tego, by stanąć przed nim i spojrzeć mu w twarz. Przynajmniej tyle mogła zrobić, okazać mu taką samą odwagę, jaką on okazywał jej. Przez moment pomyślała, że widzi w jego oczach cień prawdziwego uczucia. Za moment miała to zniszczyć.

- Doceniam także fakt, że prosi mnie pan o rękę, bo został pan do tego zmuszony. Ja nie chciałabym w ten sposób zaczynać życia w małżeństwie. Może postaramy się, by okres narzeczeństwa był wyjątkowo długi?

Musiała przyznać, że jej odpowiedź nie wywarła na nim

takiego wrażenia, jakiego się spodziewała. Szybko się pozbierał, choć tajemniczy błysk w jego oku zniknął bez śladu. Skłonił głowę w oficjalnym podziękowaniu, przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób powinien wyrazić swą radość, wreszcie wybrał najodpowiedniejszy sposób. Wziął ją w ramiona i pocałował.

To nie był już ten sam pocałunek. Przypominał raczej formalny gest, jakby Reginald chciał w ten sposób zaznaczyć, że od tej chwili należy do niego. Udało mu się to. Marianna jeszcze przez dobrą chwilę czuła na plecach dotyk jego palców.

- Gdy tylko wrócimy do Londynu, ogłoszę zapowiedzi. Uczyniła mnie pani bardzo szczęśliwym człowiekiem, lady Marian.

Marianna spojrzała na niego ze złością.

- Wcale nie. Przedtem nie bawiliśmy się w grzeczności i fałszywe komplementy, i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy robić to teraz. Musiał pan poprosić mnie o rękę, a w tych okolicznościach nie widziałam innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Doceniam to, co pan dla mnie robi, i będę się starała w jak najmniejszym stopniu mieszać do pańskiego życia. Mam nadzieję, że pan także nie będzie oczekiwał ode mnie zbyt wiele. Myślę, że im rzadziej będziemy się widywać, tym bardziej udany będzie nasz związek.

Reginald zdobył się na słaby uśmiech.

- Jeśli pani przekłety kuzyn znowu podsłuchuje nas przez ściany, to pewnie dławi się teraz ze śmiechu. Chce pani dać mu okazję do jeszcze lepszej zabawy?

- Nie rozumiem, co w tym zabawnego. Byłabym szczęśliwą małżonką lorda Darley, gdyby pan się nie wtrącił.

Miałabym pieniądze na spłatę długów mojej matki, gdyby pański lokaj nie ukradł naszyjnika. W takim wypadku nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić bez pieniędzy na wieś i przyglądać się, jak nasz dom zostanie sprzedany na aukcji. Wcale mnie to nie bawi. Robię tylko to, co muszę, tak jak pan. Miałam nadzieję, że dojdziemy do jakiegoś rozsądnego porozumienia. Proszę mi wybaczyć, jeśli się myliłam.

Twarz Reginalda stała się chłodna i zacięta.

- Nie interesuje mnie ani trochę tak zwane nowoczesne małżeństwo. Jeśli już muszę się ożenić, to żona będzie należeć tylko do mnie. Niedługo sama się pani przekona, że jedną z wielu moich okropnych cech jest silne poczucie własności, nawet jeśli posiadam bardzo niewiele.

Marian spochmurniała i odwróciła się do okna.

- Nie należę do pana teraz i nie będę należeć później. Gotowa jestem darzyć pana szacunkiem, a nawet wykonywać pańskie polecenia, jeśli będą dość rozsądne, ale nigdy nie zgodzę się być podnóżkiem u pańskich stóp.

Reginald poczuł, jak jego dłonie same zaciskają się w pięści, i pomyślał, jak często jeszcze będzie miał ochotę zacisnąć je na jej gardle.

- Nie proszę pani, by była dla mnie podnóżkiem. Proszę tylko, żeby została pani moją żoną. Moją, powtarzam, a nie kogoś innego. To znaczy, że jeśli nawet zakocha się pani w jakimś przystojniaku, pozostanie pani lojalna względem mnie. Czy wyraziłem się dość jasno?

Marianna odwróciła się do niego ponownie, a na jej twarzy widać było zaskoczenie.

- Nie jestem całkiem pewna. Co właściwie mam zrobić z jakimś „przystojniakiem”, jeśli okaże się nagle, że go

kocham? Uciec do Szkocji i tam wziąć z nim ślub? Nie wydaje mi się, by było to w ogóle wykonalne, skoro będę pańską żoną.

Reginald wpatrywał się w nią oszołomionym wzrokiem, nie mogąc pozbierać myśli, które rozpiezchły się właśnie na wszystkie strony. Marianna była przecież inteligentną kobietą. Wiedział o tym doskonale. Miała dwadzieścia dwa lata i była dosyć czytana. Oczywiście, nie obracała się dotąd w wielkim świecie towarzystwa, ale z pewnością nawet na wsi...

Nie mógł być pewny niczego, gdy chodziło o lady Marian Lawrence. Reginald przeciągnął dłonią po włosach, zastanawiając się, czy jest w stanie wytłumaczyć jej, co miał na myśli mówiąc o lojalności, skoro ona najprawdopodobniej nie miała pojęcia o tym, co będzie musiała robić po ślubie. Nie sądził, by nawet tak elokwentna osoba jak on mogła sobie z tym poradzić. Pokręcił głową, poddając się ostatecznie.

- Nieważne. Porozmawiamy o tym jeszcze raz w jakiś czas po ślubie. Proszę tylko przyjąć do wiadomości, że nie zamierzam dzielić się panią z innym mężczyzną.

W jej oczach pojawił się wreszcie błysk zrozumienia. Reginald przyjąłby go z ulgą, gdyby nie rozproszył go znowu widok jej sylwetki w promieniach słońca. Będzie chyba musiał zasłonić wszystkie okna, jeśli chce zostać przy zdrowych zmysłach. Zaczynał powątpiewać, czy długie narzeczeństwo to rzeczywiście dobry pomysł.

- Naprawdę przypuszczał pan, że mogłabym całować innego mężczyznę? Albo robić z nim to, co my robiliśmy wczoraj wieczorem? - Policzki paliły ją żywym ogniem, kiedy zadawała to pytanie, postanowiła jednak, że związek

ten musi się opierać na uczciwych zasadach. Musiała zrobić to dla niego, po tych wszystkich tygodniach wypełnionych fałszem i oszustwem. Choć sama nie chciałaby się do tego przyznać, czuła pewną ulgę, że ma to już za sobą.

Reginald nie musiał sobie długo przypominać, co robił ostatniego wieczoru. Właściwie nie potrafił myśleć o niczym innym. Niepewnie przesunął się o krok w jej kierunku, resztką sił powstrzymując się od dotknięcia piersi przysłoniętych tylko cieniutką warstwą tkaniny.

- Nie jestem jedynym mężczyzną, który wie, jak całować - odparł oschle, dziwiąc się, że Marianna nie dostrzega jego pożądlivych spojrzeń i nie ucieka z krzykiem.

Ona jednak przysunęła się jeszcze bliżej, tak iż Reginald musiał tylko unieść ręce, by ją mieć.

- Pocałunki innych mężczyzn nie są nawet w połowie tak przyjemne jak twoje - wyszeptwała.

Nie mógł się powstrzymać. Miała szerokie usta, nawet trochę za szerokie w stosunku do jej twarzy, on potrafił jednak wyobrazić sobie dziesiątki rzeczy, jakie mógłby z nimi zrobić, a każdy następny był przyjemniejszy od poprzedniego. Jej wargi były wilgotne i czerwone jak dojrzałe truskawki. Koniecznie należało ich spróbować.

Tym razem pocałunek nie był ani trochę oficjalny. Reginald przygarnął ją do siebie, objął mocno i przywarł do jej ust z taką pasją, że po kilku sekundach ogarnął ich oboje prawdziwy żar. Ich języki ponownie odkrywały miejsca, znane im już z wcześniejszych poszukiwań, gdy drzwi do salonu otworzyły się z hukiem.

- Do diabła, Montague! Nie możesz jeszcze przez jakiś czas utrzymać rąk przy sobie? Poradzę Jady Grace, żeby ustaliła jak najwcześniejszą datę ślubu. - Darley stanął za

ciężkim mahoniowym krzesłem i zacisnął dłonie na jego oparciu.

Reginald delikatnie postawił Mariannę na podłodze. Ani na moment nie odrywając od niej oczu, odrzekł swemu przyjacielowi:

- Pomyślałem dokładnie o tym samym. A co ty o tym sądzisz, kochanie? Zdecydujemy się jednak na krótkie narzeczeństwo?

Marianna spojrzała na niego z niepokojem.

- Prawie się nie znamy - wyszeptła.

Montague wzruszył ramionami.

- Poznamy się szybciej, kiedy będziemy małżeństwem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli powiadomimy teraz o wszystkim twoją mamę, a potem zajmiemy się wyjazdem. Nie będę spokojny, dopóki nie opuszczę tego miejsca.

Znów stał obok niej arogancki, opryskliwy Montague, jednak uścisk jego dłoni był delikatny i czuły. Marianna zastanawiała się przez chwilę nad tym kontrastem, pozwalając, by wyprowadzono ją z pokoju. Przerazała ją myśl o małżeństwie z człowiekiem, który miał w pogardzie pół świata, ale jakaś inna część jej duszy, ta ukryta i mniej znana, pragnęła poznać lepiej jego uczucie. Miała nadzieję, że z czasem ta ukryta natura przewycięży tę przerażoną.

Znaleźli lady Grace w salonie, gdzie popijała herbatkę z markizem. Amerykanin wstał, kiedy weszli do pokoju, a gdy lady Marian już usiadła, powrócił na swoje miejsce.

- Czy mogę już składać gratulacje? - spytał, unosząc lekko brwi.

Reginald zignorował go i zwrócił się do lady Grace.

- Lady Marian zgodziła się wyjść za mnie, madame.

Mam nadzieję, że zechce pani wyrazić zgodę na ten związek.

Lady Grace spojrzała na córkę, by upewnić się, że wszystko jest w porządku, a ujrzawszy jej spłonione oblicze, uśmiechnęła się łagodnie.

- Oczywiście, panie Montague. Marianna zawsze miała swoje zdanie. Nie śmiałabym nawet sprzeciwić się teraz jej zamiarom.

- A więc za pani pozwoleniem, chciałbym, abyśmy po obiedzie wrócili do miasta. Oboje wolelibyśmy, by okres narzeczeństwa nie był zbyt długi, a muszę jeszcze poczynić sporo przygotowań.

W tym momencie wtrącił się markiz:

- Nie widzę powodów do pośpiechu. Drogie panie dopiero tu przybyły, i jeszcze nie zdążyłem ich dobrze poznać.

Reginald rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie.

- A pan z przyjemnością podejmie je na koszt mój i Darleya. Ma pan teraz rubin. Proszę zapłacić służącym ze swoich pieniędzy. My wyjeżdżamy dziś po południu.

- Rubin? - ożywiła się lady Grace i spojrzała na Reginalda. - Czyżby się jednak znalazł? Mam nadzieję, że tak. Ojciec Marianny chciał, by był częścią jej posagu.

Markiz uklonił się grzecznie w jej stronę.

- Musimy jeszcze przedyskutować pewne szczegóły, droga pani. Jednak rubin, gdziekolwiek teraz jest, należy do majątku.

Lady Grace zamrugała powiekami, zdumiona.

- Nie, nie. Jestem pewna, że to nieprawda. W przeciwnym razie nigdy bym go nie wzięła. George podarował mi naszyjnik zaraz po narodzinach Marianny, mówiąc, że



należy do mnie, ale tylko do ślubu naszej córki. Ale to i tak nie ma w tej chwili znaczenia, prawda? Naszyjnik zniknął i pewnie nigdy go nie odnajdziemy. Szkoda, bo chciałam, żeby Marianna miała coś swojego, kiedy wyjdzie za męża.

Markiz najwyraźniej zaczynał tracić cierpliwość.

- Życzyłbym sobie tego samego, droga pani, jednak faktem jest, iż na liście inwentarza figurują wszystkie klejnoty, które znajdowały się w posiadłości. Sądząc po portretach wiszących w tym domu, naszyjnik należał do rodziny od wielu pokoleń. Tak drogocenny klejnot zapewniłby mi fundusze na odremontowanie całej rezydencji, pani zaś miałyby zapewniony dom do końca życia, gdyby majątek znowu przynosił zysk.

Montague postanowił przerwać spór, który mógł wkrótce przekształcić się w otwartą kłótnię. Emocje, które malowały się na twarzy lady Grace, aż zanedo przypominały mu jej córkę. Nie chciał być świadkiem tego, co mogło za chwilę nastąpić.

- Naszyjnik pozwoliłby lady Grace zachować dom i zapewniłby jej utrzymanie do końca życia. W tym przeklętym mauzoleum jest więcej kosztowności, niż zdołałaby zgromadzić przez całe życie. Proszę sprzedać część z nich, jeśli tak bardzo potrzebuje pan pieniędzy.

Markiz przesłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Myślę, że powinniśmy zostawić panie same. Z pewnością nie będą ich interesowały dyskusje o interesach i pieniądzach. Panie pozwolą? - Amerykanin wstał z fotela i ukłonił się przed wdową.

Marianna zastanawiała się, czy powinna im powiedzieć, żeby rzucili się w morze z najbliższego urwiska. Pieniądze były dla niej równie ważne jak dla nich. Przecież decydo-

wali o jej życiu. Ponieważ amerykański kuzyn na pewno nie mógł jej niczego zapewnić, Marianna miała nadzieję, że Montague zgodzi się wypłacać jej regularną pensję. Wcale nie była pewna, czy markiz pomyślał o tym choć przez chwilę. Gdyby zdecydował się wyjechać i porzucić majątek, jej matka i siostra zostałyby bez środków do życia.

Montague dojrzał bunt w jej oczach. Ujął jej dłoń, przycisnął do ust i wyszeptał:

- Zaufaj mi...

Było to pierwsze polecenie, które jej wydał. Gdyby usłyszała takie słowa jeszcze kilka dni temu, na pewno nie pominęłaby ich milczeniem. Obiecała jednak, że postara się być mu posłuszna.

Lady Marian patrzyła z rezygnacją na oddalających się mężczyzn. Zgodziła się zawierzyć człowiekowi, który stracił jej cały majątek i który odebrał ją swemu najlepszemu przyjacielowi. Jakiegoż to wyrażenia użył Amerykanin w rozmowie, którą przytoczył później Darley? Brakowało jej piątej klepki.

Darley schował się w stajni, by tam leczyć zranione serce. Do tej pory nie wierzył, by Reginald naprawdę mógł mu to zrobić, widział jednak, jak lady Marian patrzyła na jego przyjaciela, gdy przerwał im namiętny pocałunek. Nie mógł już dłużej kryć przed sobą, że dziewczyna po prostu zakochała się po uszy w człowieku, który był nieporównanie bardziej przystojny i odważniejszy niż on sam. Musiał więc poddać się w tej grze i życzyć Mariannie wszystkiego najlepszego, choć nie wiedział, czy zdoła wypowiedzieć choćby kilka podobnych słów.

Być może bolało go nie tyle złamane serce, co urażona duma. Myślał, że udało mu się pochwycić wspaniały diament i był z siebie bardzo zadowolony. Dokoła kręciło się wielu bogatszych i przystojniejszych mężczyzn, a jednak Marianna wybrała właśnie jego. Zawsze słuchała go z ogromnym zainteresowaniem, a on z każdą chwilą rósł we własnych oczach. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, że była to tylko część planu kobiety, która chciała go uwieść.

Westchnął głośno i kopnął stertę słomy. Przydałoby się tutaj porządne sprzątanie. Chciałby dostać w swoje ręce tego lokaja Montague'a. Miał dziwne przeczucie, że za całą awanturą krył się ten łajdak. Najchętniej skrzyłby mu kark.

Wiedział jednak, że obciążanie winą za swoje problemy kogoś innego wcale nie pomoże mu ich rozwiązać. Jego matka spodziewała się, że lada dzień ogłoszą zaręczyny. Teraz musiał wrócić i powiedzieć jej, że wszystko skończone. Wolałby raczej pojechać do Szkocji i rzucić się do jeziora. Gotów był poślubić Mariannę bez względu na to, czy go kocha czy też nie, zamiast pokazywać się matce bez narzeczonej. Nie miał pojęcia, co robić w obecnej sytuacji.

Z wnętrza jednej z odległych zagród dobiegł go nagle dziwny, łagodny głos, przypominający gruchanie gołębia. Darley otworzył szeroko wrota stajni, aż blask słońca zalał całe przejście. Jeśli rzeczywiście były tu jakieś gołębie, powinny już same sobie poradzić. Nie usłyszał jednak ani trzepotu skrzydeł, ani nie dojrzał ptaków.

Zaintrygowany ruszył w głąb stajni. Gruchanie zamieniło się w delikatne mruczenie. Najpierw niewyraźne, stawało się coraz głośniejsze, aż zaprowadziło go do ostatniej przegrody. Uśmiech rozjaśnił jego smutną twarz, gdy nachylił się nad bramką i zajrzał do wnętrza.

Na kupce słomy siedziała jasnowłosa czarodziejka, niancząc puchate, wesołe kociaki. Zupełnie nie zważała na pasma brudu na jej policzkach, ani też na wygląd sukni, tarmoszonej energicznie przez koty, które próbowały się na nią wspiąć. Bezustannie mówiła coś do zwierząt radosnym głosem. Darley nigdy wcześniej nie przypuszczał, by kryło się w niej tyle ciepła i radości.

Po chwili odchrząknął niepewnie. Ona była piękna, a on nie. Jednym z powodów, dla których ośmielił się rozmawiać z Marianną, był fakt, że nie różnili się od siebie tak bardzo. Jednak panna Oglethorp była olśniewającą blondynką, której nigdy nie odważyłby się zaczepić. Choć musiał też przyznać, że nigdy nie widział, by tak rzadki klejnot siedział na brudnej słomie, bawiąc się z kociętami.

Jessica drgnęła zaniepokojona i rozejrzała się dokoła. Ujrawszy go, uśmiechnęła się nieśmiało i wróciła do swych kotów.

- Lordzie Darley, markiz powiedział, że mogę sobie wziąć, którego zechcę, ale jak mam wybrać? Wszystkie są takie śliczne.

Z dziwnym przeczuciem, że gdzieś w pobliżu kryje się rozwiązanie jego dylematu, Darley przykucnął obok niej i wybrał najmniejszego, najbrzydszego kotka, który kurczowo trzymał się jej sukni.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Naprawdę? Dlaczego?

Lord Darley położył go na ręce i delikatnie pogłaskał, słuchając melodyjnego mruczenia.

- Bo ten najbardziej potrzebuje miłości.

## *Rozdział dziewiętnasty*

Ten Montague mówi, że obrazy zaczynają zyskiwać na wartości i że z każdym rokiem będą coraz droższe, a te wazy Mingów - cokolwiek by to znaczyło - już teraz warte są fortunę. Mówi też, że te wszystkie świecidełka to prawdziwa kopalnia złota. Trzeba się tylko zorientować, których nie ma na liście. Myślisz, że on się naprawdę na tym zna?

Michael żonglował trzema srebrnymi łyżkami i przyglądał się w milczeniu ich ewolucjom. Nagle wszystkie trzy zniknęły w tajemniczy sposób. Zdawało się, że rudowłosy młodzieniec zajęty jest bardziej ćwiczeniem niż rozmową z bratem.

- Poszedłem kiedyś do jego sklepu - odparł wreszcie, wyciągając łyżeczki z różnych zakamarków swojego ubrania. Ponieważ w domu nie było żadnego szefa służby, O'Toole zajmował aktualnie jego pokój. - Było tam pełno świecących, drogich rzeczy, i bez przerwy ktoś coś kupował. Chyba nie zbiłby majątku na rzeczach, o których nic nie wie.

- Zaczynasz gadać jak ci cholerni Anglicy - mruknął markiz, siadając okrakiem na najbliższym krześle.

- Mówię, jak ludzie dokoła mnie. To jedna z podstawowych zasad tego zawodu. - Michael znowu zaczął zonglować łyżkami, tyle że teraz były już cztery.

- Szkoda, że nie możesz nas wyzonglować z tej sytuacji. Montague jest przekonany, że mamy naszyjnik, i że wywinie się od małżeństwa z naszą kuzynką, jeśli mu go oddamy. Nie podoba mi się to, że udaję pana majątku. Chciałbym, żeby wszyscy pojechali sobie do stu diabłów i pozwolili mi zająć się wreszcie tym miejscem.

O'Toole wzruszył ramionami, a jedna z łyżek upadła na łóżko. Rudzielec podniósł ją szybko i dołączył do kręgu wirującego srebra.

- Chciałeś rodzinki, no to ją masz. Poza tym dobrze jest mieć szwagra, który zna się na antykach i może zająć się sprzedażą rodzinnych pamiątek. Z tego, co widziałem, on i ta dama są siebie warci. Nasza kuzynka mogłaby cię wykluczyć z rodziny, gdyby tego zechciała. Gdyby tylko zabrała się do tego na dobre, musielibyśmy chyba posłać jej kulkę w głowę. Małżeństwo z Montagiem to zdecydowanie dobre posunięcie. Podoba mi się też pomysł z wicehrabią i tą nieśmiałą dziewczyną. Pomysł tylko - kiedyś doczekalibyśmy się hrabiny w rodzinie. Ty jako markiz i ona - hrabina - będziemy się obracać w najlepszym towarzystwie, drogi braciszku.

„Drogi braciszek” potarł zdeformowany policzek i ściągnął brwi.

- Prędzej znajdziesz się w więzieniu, jeśli tylko Montague cię w końcu dopadnie. Przecież nie możesz się pokazywać publicznie, dopóki nie oddamy tego przekłętego

naszyjnika. Chyba że wynajęlibyśmy prawników i wszystko byłoby legalne.

Michael skrzywił się i złapał wszystkie łyżki jedną ręką.

- Jedynymi ludźmi, którzy mieliby z tego jakąś korzyść, byłiby ci prawnicy. Zresztą wcale mnie nie interesuje ta ich przeklęta arystokracja. Może ucieknę do Stanów i tam sprzedam ten naszyjnik.

- O nie, hultaju. Zostaniesz tutaj i chociaż raz mi w czymś pomożesz. Nie jesteśmy już żebrakami. Oddaj naszyjnik i wymyśl jakiś sposób, żebyś znów mógł się pokazać ludziom. Niedługo zacznę sprzedawać wszystko, czego nie ma na liście inwentarza.

Gavin wstał z krzesła i ruszył ku wyjściu. Jego rudowłosego brata żonglował już sześcioma łyżkami i zaczął właśnie dokładać widelce.

Muszę wracać do Londynu, Marianno. Jeśli ty i twoja rodzina chcecie tu jeszcze zostać, to oczywiście możecie, ale ja wracam. Między innymi muszę sprawdzić, czy twój prawnik ma dość pieniędzy, by spłacić wasze długi. Jeśli powiesz mi, gdzie go znaleźć, zajmę się tym jak najszybciej.

Marianna poczuła, jak jakiś dziwny strach ściska jej żołądek, kiedy odwróciła się i spojrzała na człowieka, którego zamierzała poślubić. Jego słowa świadczyły dobitnie o tym, że wziął już na siebie odpowiedzialność za nią i za jej kłopoty, i że zamierzał poradzić sobie z nimi całkiem sam, bez jej pomocy. Poczwała się nagle jak głupiutka uczennica. A może przeszkadzała jej świadomość, że będzie należeć do tego człowieka?

- Nie mogę cię o to prosić - odparła słabo, wbijając

wzrok w wyblakły dywan u jej stóp. - Przejrzę resztę biblioteki dziedzica. Przecież to jego dom chcemy uratować, więc wszystko jest chyba w porządku.

Jedyną osobą, która zapłaciłaby jej uczciwie za te książki, był on sam, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili i nie powiedział jej o tym. Marianna wciąż myślała, że jest tylko zbieraczem i że to Jacobs kupił od niej cenny manuskrypt. Nie wiedziała, że będzie musiał przyjrzeć się jej cennej bibliotece i sprzedać ją z zyskiem, tak by oboje mieli za co żyć. Nie umiałyby się wytłumaczyć, gdyby kupił od niej te książki, a potem nie mógł ich jej pokazać. Wszystko zaczęło się okropnie komplikować, a on chciał przecież prowadzić czystą grę.

- To trochę niemądre - oznajmił wreszcie. - Nie dostaniesz za ten zbiór przyzwoitej ceny, jeśli nie sprzedasz go mnie. Czy nie prościej będzie, jeśli po prostu spłacę dług i zatrzymam książki w mojej bibliotece?

Marianna była kompletnie zaskoczona tym pomysłem, ale po chwili pojawił się w jej oczach błysk zrozumienia. Uśmiechnęła się do niego, a Reginald poczuł siłę tego uśmiechu, który wzbudził w nim jakiś dziwny żar - dziwny, bo nie był to żar pożądania, lecz coś zupełnie, zupełnie innego.

- To byłaby dosyć uczciwa wymiana, prawda? Tyle że w końcu ja i tak będę miała te książki, a ty zostaniesz bez pieniędzy. - Zamyśliła się na chwilę. — Coś mi się zdaje, że wcale na tym dobrze nie wyjdiesz.

Reginald uśmiechnął się i przechylił jej głowę, tak iż znowu patrzyła na niego.

- Nie tylko będę miał przyjemność dzielić z tobą wspólną bibliotekę, ale pozbędę się też twojej matki



i siostry. Dla nas wszystkich będzie o wiele lepiej, jeśli zapewnimy im własny dom, do którego zawsze mogą wrócić. Moje mieszkanie nie jest zbyt duże i wolałbym mieć żonę tylko dla siebie. Wcale nie uważam, bym robił na tym zły interes.

Policzki Marianny płonęły pod jego spojrzeniem. Ledwie ją dotykał, ale ona znowu to czuła - jakby jej ciało trawił ogień i przyprawiał ją o drżenie. Perspektywa małżeństwa z tym człowiekiem była coraz bliższa i bliższa, niczym jakaś gigantyczna przeszkoda, którą będzie musiała pokonać. Starła się nie przełykać głośno śliny i śmiało patrzeć mu w oczy.

- Nie przypuszczam, by mój kuzyn był w stanie zapewnić mi jakiś posag. Jedyne, co wnoszę do tego małżeństwa, to moja rodzina. Myślisz, że mogę przydać ci się do czegoś, co choć trochę zrekompensowałoby ci te braki? Potrafię zajmować się domem, ale to chyba niezbyt wiele.

Reginald pokręcił głową i przeciągnął palcem po jej ustach.

- Naprawdę tego nie wiesz, co? - Musnął ustami miejsca, gdzie przed chwilą ją dotykał, a ona lekko zadrżała. Wyprostował się i spojrzał na nią z rozbawieniem. - Ja za to wiem, że dzięki tobie będę mógł zapomnieć przynajmniej o jednej z moich ekstrawagancji. Jeśli przyjdzie mi do głowy coś jeszcze, na pewno ci o tym wspomnę.

Odpowiedziała mu spojrzeniem, od którego zrobiło mu się nagle gorąco i którego nie mógł zapomnieć przez całą drogę do Londynu. Dzięki lady Marian Lawrence będzie mógł bez żalu zrezygnować z najbardziej kosztownego spośród jego nałogów - będzie mógł zapomnieć o swej kochance, Madelyn. Reginald nie sądził, by miał trudności

z przystosowaniem się akurat do tego obowiązku związanego z małżeństwem. Marianna rozpałała jego wyobraźnię tak, jak nie czyniła tego dotąd żadna kobieta, i nie miał nic przeciwko temu, by nauczyć ją kilku rzeczy, które winna znać kochanka. Być może inni mężczyźni uważali, że jedynym zadaniem żony jest urodzenie syna. Być może inne damy sądziły, że powinny to traktować tylko jako przykry obowiązek. On jednak miał zupełnie inne poglądy i liczył na to, że Marianna także myśli podobnie. Cieszył się więc, że jego przyszła żona będzie dlań również prawdziwą kochanką.

Reginald westchnął, gdy pomyślał o Madelyn. Na pewno wpadnie w szal, kiedy powie jej, że musi odejść. Powinien zapewne dać jej jakiś bardzo cenny podarunek, by choć trochę osłodzić rozstanie. Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobi po przyjeździe do Londynu. Wolał sobie nawet nie wyobrażać, do czego mogłoby dojść, gdyby Marianna dowiedziała się, że jej przyszły mąż ma kochankę. Ich małżeństwo i bez tego nie będzie należało do najłatwiejszych.

Jeśli dojdzie do małżeństwa. Był więcej niż pewien, że markiz i O'Toole działają razem, i że to oni mają naszyjnik. Być może powinien najpierw odwiedzić dobrze mu znanych londyńskich jubilerów i dowiedzieć się, czy nikt nie próbował sprzedać rubinu. Poprosiłby ich, by schwytali złodzieja, gdyby ten pojawił się w mieście. Odzyskawszy klejnot, mógłby uwolnić Mariannę od konieczności składania ślubów, których oboje składać nie chcieli.

Oczywiście, gdyby stało się to już po rozstaniu z Madelyn, musiałby poszukać sobie nowej kochanki, co mogło być dość kłopotliwe. W tej chwili Madelyn niewiele go

obchodziła. Na pewno nie znalazłby też w sobie dość energii, by znaleźć kogoś nowego. Prawdę mówiąc, interesowała go tylko Marianna.

Reginaldomal nie podskoczył, zaskoczony i przerażony tą myślą, po czym spał konia i dystans dzielący go od Londynu przebył galopem. Starał się przy tym nie dopuszczać do siebie żadnych niepokojących myśli. Nie mógł bowiem pogodzić się z tym, że wolałby raczej posłubić Mariannę niż znaleźć nową kochankę.

Lord Darley! Myślałam, że pojechał pan do miasta z panem Montagiem. - Marianna weszła do jadalni, gdzie siedział już wicehrabia, rozmawiając z jej matką i siostrą. Markiz znowu gdzieś zniknął.

Darley spojrzał na nią, marszcząc lekko brwi.

- Nie rozmawiam z tym łajdakiem. Poza tym nie znaleźliśmy jeszcze naszyjnika, a jestem przekonany, że ten przeklęty lokaj wciąż tutaj jest i że ma ze sobą klejnot. Chciałbym prowadzić dalsze poszukiwania i uważam, że nie powinny panie pozostawać bez ochrony, kiedy złodziej wciąż jest w domu.

Ani lady Grace, ani Jessica nie dostrzegały w tym oświadczeniu żadnej niekonsekwencji, a przynajmniej nie mówiły o tym głośno. Marianna nie omieszkała jednak wytknąć mu błędu:

- Jest tutaj przecież nasz kuzyn. Nie jesteśmy całkiem same.

Darley skrzywił się, podsuwając jej krzesło.

- To taki sam łajdak jak ten służący. Nie ufam mu.

Marianna spojrzała na ściany, daremnie oczekując tłu-

mionego śmiechu, który słyszała już przecież niejednokrotnie. Zresztą, może był to tylko wytwór jej wybujałej wyobraźni. Znaleźli przecież tylko jedno ukryte przejście i to nie w tym skrzydle.

- Dziękujemy panu za troskę, sir - powiedziała lady Grace, kiedy stało się oczywiste, że Marianna tego nie zrobi. - Jest pan dla nas bardzo łaskawy.

Darley zajął swoje miejsce i rzucił okiem na Jessikę, dostrzegając na jej twarzy nieśmiały uśmiech. Jasnowiąsa piękność szybko spuściła wzrok, zawstydzona. Ona jest za młoda, pomyślał wicehrabia po raz setny tego dnia. No tak, ale on też nie był jeszcze stary; Mężczyzna nie powinien myśleć o małżeństwie przed trzydziestym piątym rokiem życia, a więc on miał jeszcze dobre sześć lat do namysłu. Nim jednak upłynie owych sześć lat, Jessica na pewno wpadnie w sidła jakiegoś odważniejszego i przystojniejszego zalotnika, a on znowu będzie musiał się oglądać za dwukrotnie młodszymi pannami.

A niech to, nie było wyjścia z tej małżeńskiej pułapki. Darley przyglądał się z ponurą miną swemu talerzowi, żałując w duchu, że nie pojechał z Reginaldem. Wszystko było o wiele prostsze, kiedy to lady Marian kierowała jego poczynaniami.

Marianna zamierzała właśnie powrócić do tej praktyki. Wymachując widelcem, wspomniała od niechcienia:

- Rozumiem doskonale, że chciałabyś poznać lepiej naszego kuzyna, mamó, ale musimy pamiętać o sukniach zamówionych u modystki. Wkrótce będziemy musiały zgłosić się do przymiarki. Chyba że zdecydowałam, że jednak nie pójdziemy na bal?

Marianna wiedziała doskonale, że kiedy znowu znalazły

się na wsi, jej matka i siostra niezbyt chętnie będą myślały o powrocie do miasta. Krótki pobyt w Londynie w zupełności wystarczył, by zaspokoić ich ciekawość świata i chęć przebywania w towarzystwie. Jednak problemy, które sprowadziły je do miasta, nie zostały jeszcze do końca rozwiązane, i na pewno nie mogły rozwiązać się same, kiedy cała rodzina przebywała tutaj. Ponieważ polowanie na bogatego męża w wykonaniu Marianny zakończyło się fiaskiem, przyszła kolej na Jessikę - teraz ona musiała znaleźć narzeczonego. To także nie mogło nastąpić w pustym domostwie na prowincji.

Poza tym Marianna jeszcze do końca nie ufała Reginaldowi. Mógł przecież wyjechać do Londynu z naszyjnikiem w kieszeni, a potem zniknąć na zawsze z jej życia. Nie sądziła, by rzeczywiście to zrobił, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni nauczyła się już, że nie można wierzyć nikomu. Jeśli rzeczywiście mieli się pobrać, to lepiej jeśli będą pokazywać się razem. Nie życzyła sobie, by Montague jeździł po mieście, jakby wciąż był kawalerem. Marianna postanowiła, że jej małżeństwo będzie naprawdę wzorowe.

- Oho, Marianna znowu ma taką minę - szepnęła Jessica do Darleya. - To znaczy, że albo zgodzimy się teraz, albo będzie nas bezustannie zadrażać.

Zdumiony tym nagłym oświadczeniem, Darley podniósł wzrok i dojrzał wyraz zrezygnowania na twarzy lady Grace, oblicze Marianny zaś było zacięte i stanowcze. Zaczynał rozumieć, kto rządzi tą rodziną. Poczł nagłą ulgę, że to Reginald, a nie on będzie przez całe życie toczył boje z tym wcieleniem uporu i determinacji. Powinien był wstydić się takich myśli, ale prawdę mówiąc, czuł tylko zadowolenie.

- Zapewne masz rację, kochanie. Może powinniśmy przekonać markiza, by nam towarzyszył. Musi przecież także przebywać w towarzystwie.

Tajemniczy arystokrata pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszedł do jadalni w koszuli z podwiniętymi rękawami, rozsiewając wokół siebie zapach stajni, a kiedy damy nie okazały najmniejszego oburzenia, przysunął sobie krzesło i rozsiadł się na nim wygodnie.

- Markiz wcale nie potrzebuje takich rzeczy - oznajmił, jakby od dawna już prowadził tę rozmowę. Obserwował z pewnym zainteresowaniem, jak służąca pospiesznie nalewa mu herbaty. Właściwie wolałby coś mocniejszego, ale bardzo chciało mu się pić, więc przyjął z wdzięcznością i to. Opróżnił szybko filiżankę, podczas gdy służba ustawiała przed nim talerze. - Mam wystarczająco dużo pracy i bez spotykania gromady nadętych snobów.

- Nie wszyscy są snobami, mój drogi - powiedziała lady Grace, marszcząc w zamyśleniu brwi. - Choć niektórzy mogą być dość surowi w swych sądach. Lepiej byłoby, gdybyś pojawił się tam w przyzwoitym ubraniu. Może lord Darley i pan Montague zechcieliby ci pomóc.

Gavin przyjrzał jej się z uwagą, by sprawdzić, czy mówi poważnie, po czym przeniósł wzrok na młodą kuzynkę, chcąc zobaczyć jej reakcję na tę potworną propozycję. Marianna starała się ukryć uśmiech za filiżanką. Przynajmniej ona rozumiała, że ubranie było najmniejszym z jego zmartwień. Markiz potarł odruchowo policzek i pochylił się nad swym talerzem.

- Osobiście uważam, że lord Effingham jest o wiele bardziej efektowny jako upiór - mruknęła Marianna z rozbawieniem. - Moglibyśmy przyjmować tutaj żadnych

wrażen gości, polecając im tylko, by wzięli ze sobą własne jedzenie i służbę. Wystarczy po powrocie do Londynu rozpuścić trochę plotek o tych gotyckich odwiedzinach, ginących klejnotach, ukrytych przejściach i duchach, a całe towarzystwo natychmiast zechce tu przyjechać, żeby zobaczyć na własne oczy upiornego markiza. Jestem pewna, że moglibyśmy nawet pobierać opłatę za wejście i zbić na tym niezły majątek.

- Widzę, że bardzo tęskni pani za rozrywką, lady Marian - burknął Gavin. - Mam nosić czarną pelerynę i kryć się w cieniach, by odpowiednio przerazić pani towarzystwo?

- Och, proszę, nie - pospieszyła z odpowiedzią Jessica. - To byłoby naprawdę zbyt przerażające. Nie lubię maskarad. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo jak dotąd nie byłam na żadnej. Jednak chowanie się w cieniu i czarna peleryna przyprawiają mnie o dreszcze.

Marianna z najwyższym trudem stłumiła chichot, wkładając do ust łyżkę z zupą. Lord Darley pochylił się nad jej siostrą i poklepał uspokajająco jej dłoń, zapewniając, że póki on tu jest, nikt nie ośmieli się czaić w cieniu. Potem spojrzała na swego kuzyna i zobaczyła w jego oczach coś, co kazało jej jeszcze raz przyjrzeć się Jessice i Darleyowi. Omal nie zakrzuszyła się zupą, gdy dojrzała rumieniec na policzkach siostry.

Gdy powróciła spojrzeniem do markiza, ten najspokojniej w świecie pochylał się nad talerzem.

Dziwne... Miała niejasne wrażenie, że markiz jest z czegoś bardzo zadowolony i że ma to związek z nowym kolorem na policzkach Jessiki.

## *Rozdział dwudziesty*

Reginald zaklął szpetnie, próbując wbić się w surdut bez pomocy O'Toole' a. Zbyt szybko przyzwyczał się do usług tego łajdaka, co było zapewne związane z luksusem, jakim otaczano go w dzieciństwie. Miał nadzieję, że Mariannie nie zależy tak bardzo na luksusach, w innym bowiem przypadku mogło dojść między nimi do poważnych konfliktów.

Była to dosyć absurdalna myśl, doskonale jednak oddawała stan, w jakim znajdował się ostatnio jego umysł. Żałował, że nie ma wielkiego domu z drogimi meblami, eleganckiego powozu i mnóstwa pieniędzy, za które mógłby jej kupować najpiękniejsze suknie, doskonale jednak wiedział, na co naprawdę go stać. Gdyby było to małżeństwo z miłości, nie przejmowałby się tym tak bardzo. W tej konkretnej sytuacji obawiał się jednak, że srodze rozczaruje kobietę, która chciała wyjść za mąż dla pieniędzy.

Łańcuch skojarzeń doprowadził go znowu do tego przekłętą naszyjnika. Ustalił już co prawda wysokość



sumy, którą będzie co tydzień oddawał Mariannie na jej własne potrzeby, jednak kwota ta mogłaby być znacznie większa, gdyby tylko udało się odnaleźć naszyjnik i sprzedać go. Wiedział oczywiście, że lady Marian i tak oddawałaby te pieniądze rodzinie, i że gdyby naszyjnik trafił w jej ręce, sprzedałaby go bez zastanowienia, byle tylko pomóc swej matce i siostrze. Sam nie miałby nic przeciwko temu, gdyby klejnot prawnie należał do niej. Markiz mógł poszukać funduszy gdzie indziej.

Najpierw jednak musiał znaleźć naszyjnik, co równało się odnalezieniu O'Toole'a. Jak dotąd poszukiwania przeprowadzone u londyńskich jubilerów nie przyniosły żadnych rezultatów. Miał nadzieję, że jego służący nie był na tyle głupi, by sprzedawać klejnot gdzie indziej. Na prowincji nie dostałby nawet połowy tej ceny, jaką oferowano w Londynie. No tak, ale O'Toole może się bać, że w stolicy zostanie schwytany i będzie wolał dostać mniej pieniędzy i pozostać na wolności. Reginald chętnie wyrównałby mu tę stratę, byle tylko mógł osobiście skrócić mu kark.

Gdy uznał, że surdut jest już wystarczająco gładki, przejrzał się w lustrze, poprawił fular i ruszył do wyjścia, zabierając po drodze kapelusz i laskę. Wiadomości o jego rychłym małżeństwie ukazały się już w gazetach. Dziś wieczór musi więc udawać szczęśliwego narzeczonego, odwiedzając znane mu londyńskie kluby.

Już w pierwszym z nich Reginald zaczął żałować, że nie ma z nim Darleya. Jeszcze niedawno wszyscy oczekiwali, że to właśnie on zerwie z kawalerskim stanem, i teraz niektórzy dżentelmeni przyglądali się Reginaldowi podejrzliwie i jakby z naganą. Jego niechęć do małżeństwa była

powszechnie znana. Oświadczając, że zamierza ożenić się z kobietą bez majątku, którą uważano do tej pory za przyszłą małżonkę Darleya, wywoływał prawdziwą rzekę plotek i domysłów. Tylko Darley potrafiłby docenić uroki tego spektaklu.

Mimo to Reginald uważał, że doskonale radzi sobie z rozplotkowanymi arystokratami i że zachowuje przy tym isticie stoicki spokój. Wszystkich znajomych, którzy chcieli zająć się opuszczoną przez niego Madelyn, kierował do niej. Jego była kochanka rzuciła w niego drogocenną kryształową wazą, kiedy wyjaśnił cel swej wizyty. Nie sądził, by chciała brać pod uwagę jego sugestie dotyczące następnego „przyjaciela”. Nie przypuszczał także, by Marianna w pełni doceniła jego poświęcenie. Gdy pomyślał o tym wszystkim, czuł się wyjątkowo podle.

Jednak dopiero gdy wszedł do klubu White'a, gdzie czekał nań jego brat, zrozumiał, że najgorsze jeszcze przed nim.

Charles, wicehrabia Witham, podniósł kieliszek porto w powitalnym geście.

- Przypuszczałem, że pokażesz się dzisiaj w mieście. Siadaj, Reggie. Powiedz mi, co się z tobą działo ostatnimi czasy.

Reginald nie zamierzał oczywiście mówić swej rodzinie o wszystkim, co mu się ostatnio przydarzyło, wiedział jednak, że brat ma na myśli ostatnie ogłoszenia w gazetach. No cóż, miał po prostu wyjątkowego pecha, że Charles zdecydował się opuścić swoją wioskę i przejechać taki kawał drogi do Londynu akurat w chwili, gdy ogłoszono jego zaręczyny. Reginald usiadł przy stoliku i zamówił kieliszek wina.

- Nie wygłupiaj się, Charley. Czytałeś gazety, inaczej by cię tutaj nie było. Jeśli chcesz ją spotkać, będziesz musiał pojechać do Hertfordshire, do uroczej rudery markiza Effingham. Nie zapomnij wziąć ze sobą własnej służby. Effingham nie trwoni nawet pensa na takie głupstwa. - Te dwa zdania powinny dość jasno opisać bratu aktualną sytuację, tak by nie musiał się już zagłębiać w szczegóły jego związku z Marianną. Reginald nie lubił mówić o niej podczas jej nieobecności. Wolał, by znalazła się u jego boku, kiedy będzie ją przedstawiał rodzinie. Była to kolejna myśl, która całkiem go zaskoczyła. Pospiesznie łyknął wina.

- Mogłeś mieć córkę każdego bogacza w królestwie, a ty wybrałeś biedną intelektualistkę? Nie myślałem, że jesteś takim romantykiem, braciszku.

Starszy od Reginalda o pięć lat Charles nie został obdarzony równie olśniewającą urodą jak młodszy brat. Jego fryzura zaczęła się już przerzedzać, choć włosy miał zawsze cienkie i słabe. Nie był ani tak wysoki, ani tak dobrze zbudowany jak Reginald, jednak sposób, w jaki się nosił, miał w sobie pewien urok i świadczył o jego niepospolitej naturze. To samo dotyczyło sposobu, w jaki zwracał się do innych - spokojny i elegancki arystokrata nigdy nie podnosił głosu ani nie pozwalał sobie na sarkazm. Mimo to pytanie, które zadał Reginaldowi, było w stu procentach celne.

Reginald starał się nie krzywić.

- Gdzie słyszałeś, że to intelektualistka? - Była to jedyna odpowiedź, na jaką mógł się zdobyć w tej chwili.

Charles uśmiechnął się lekko.

- Zostawiłem moją wizytówkę w domu tej damy, oczywiście, bo jedynie to mogłem zrobić w tej sytuacji. Mój służący porozmawiał w tym czasie z jej lokajem. Zdaje się, że ta pani uwielbia chodzić do muzeów i galerii, uczęszcza też na odczyty naukowe i literackie. Nie znam nikogo z naszego towarzystwa, kto byłby równie dobrze wykształcony.

Reginald zastanawiał się, czy w butelce jest dość porto, by był w stanie przetrwać jakoś ten wieczór. Nie bardzo w to wierzył. Może powinien wrócić do Hertfordshire. O wiele przyjemniej było znosić złośliwości Marianny niż własnych krewnych. Być może dlatego, że w czasie gdy ona łajała go bez litości, on wyobrażał sobie znacznie przyjemniejsze rzeczy, którymi mogłaby zająć swój języczek, i zastanawiał się, kiedy wziąć ją w ramiona. To prawda, że język miała ostry, ale każda inna część jej ciała była słodsza, niż mógł sobie to wyobrazić.

Głośny śmiech z drugiego krańca stołu przerwał te rozmyślenia.

- Wpadłeś po uszy, co? Nawet mnie nie słuchasz. Nie myślałem, że dożyję dnia, kiedy potężny Reginald zostanie rzucony na kolana przez ładną twarzyczkę. Nie mogę się doczekać spotkania z tą damą. Kiedy powróci do miasta?

Reginald wzruszył ramionami.

- Bal u Devonshire'a jest za dwa dni. Podejrzewam, że do tego czasu będzie już w Londynie. - Przez chwilę siłował się z własnym sumieniem, nie wiedząc, co jeszcze powinien powiedzieć Charlesowi. Jego brat znał go zbyt dobrze, by wierzyć, że naprawdę zadurzył się w jakiegokolwiek kobiecie, bogatej czy biednej, intelektualistce czy

idiotce. Trudno jednak było mu wyznać prawdę o okolicznościach tego nieoczekiwanego narzeczeństwa. Charles nie naciskał na razie zbyt mocno. Może uda mu się całkiem pominąć ten temat.

- Skoro nie jest bogata, to z czego zamierzasz ją utrzymywać? Nie chce mi się wierzyć, by Effingham z własnej woli zgodził się na ten związek.

A jednak Charles postanowił dążyć do samego końca. Reginald po raz kolejny skrzywił się i wychylił kieliszek wina.

- Musisz poznać Effinghama, żeby to zrozumieć. To Amerykanin, dziwak i samotnik. Odziedziczył majątek w ruinie, a w ogóle nie ma pieniędzy. Wydaje mi się, że chce mieć tylko pewność, że nikt z rodziny nie będzie próbował odebrać mu nawet tego.

Charley chrząknął niejednoznacznie.

- A więc widziałeś tego człowieka. Byłem ciekaw... W mieście aż wrze od plotek. Nikt nie miał nawet pewności, że on naprawdę istnieje.

- Och, istnieje z całą pewnością. - To przecież on był przyczyną tego cholernego małżeństwa, choć oczywiście Reginald nie wspomniał o tym głośno. Zresztą nie była to jedyna rzecz, jaką miał mu do zarzucenia. - Jak już mówiłem, to Amerykanin. Nie bardzo orientuje się w tutejszych układach i najwyraźniej nie chce czegokolwiek się o nich dowiedzieć. Ma na twarzy okropne blizny, jak sadzę, po rapierze. Widocznie walczył na wojnie. Jest w nim coś z żołnierza. Biorąc pod uwagę fakt, że nie ma ani szylinga na zabawę, doskonale rozumiem, dlaczego trzyma się z dala od towarzystwa.

- Wygląda więc na to, że to my będziemy musieli zająć

się swoją narzeczoną i ślubem. Harriet chciała przyjechać już kilka tygodni temu, ale znowu spodziewa się dziecka, i nie chciałem, by podróżowała zbyt długo. Pogoda poprawiła się chyba na tyle, że drogi są już przejezdne, więc może wybierze się teraz.

Reginald spojrział na niego z wyrzutem.

- Gratulacje. Nie raczyłeś mi wspomnieć o tym, kiedy byłem u was przed miesiącem. Zakładasz małą dynastię, co?

Charles wzruszył obojętnie ramionami, ale w jego oczach pojawił się błysk dumy.

- Harriet mówi, że chce mieć całe stadko dzieciaków. Szczerze mówiąc, to wielki kłopot, ale nie bardzo wiem, jak miałbym ją powstrzymać. Urwałaby mi głowę, gdybym znalazł sobie kochankę.

Reginald wyobraził sobie nagle, jak brzuch Marian powiększa się z powodu ciąży i znowu szybko sięgnął po kieliszek. Nigdy dotąd nie myślał o dzieciach, a teraz miękły mu nogi na samą wzmiankę o nich. Czy Marianna kiedykolwiek pomyślała o tym, że będzie nosić jego dziecko? Na pewno. Kobiety zawsze myślą o tych rzeczach. Muszą. Przecież to one noszą ten ciężar. Wychodząc za niego, Marianna zgadza się urodzić jego dziecko. Niech to diabli wezmą, ale te rozmyślenia podsyciły tylko jego żądzę. Nim dojdzie do ślubu, chyba spłonie z pożądania.

- Znowu cię zwiodłem na niebezpieczne ścieżki, co?  
- spytał Charles dobrotliwie. - Pamiętam, że zanim ożeniłem się z Harriet, nie mogłem wytrzymać przez kilka miesięcy. Czasami też mnie tak ponosiło. Choć nigdy nie przypuszczałem, że zdarzy się to t o b i e. Zawsze uchodziłeś

za piekielnie opanowanego człowieka, drogi braciszku. Ciągle jeszcze nie wiem, jak udało ci się tak nieźle żyć bez pomocy ojca. On jest pewien, że zarabiasz na tych swoich koniach, ale przyjrzałem się temu dość dobrze. Nie mógłbyś utrzymywać się tylko z tego.

Reginald westchnął zrezygnowany. Ich rozmowa zawsze musiała dotknąć tego tematu. Wolałby chyba smażyć się w piekle, niż przyznać przed rodziną, że jest sklepikarzem. Nie wiedział też, jak powiedzieć o tym Mariannie, ale ona sama w sobie była dlań bardzo trudnym i zagadkowym tematem. Zamówił kolejną butelkę porto.

- Stajnia zarabia na sobie bez problemów. Mam sporo szczęścia. Możesz powiedzieć ojcu, żeby się nie martwił. Nie przyjdziemy żebrać pod jego drzwi. Odłożyłem pewną sumę dla Marianny, na wypadek gdyby coś mi się stało. Gdybyśmy tylko odnaleźli ten przeklęty naszyjnik, miałyby dodatkowy dochód, ale złodziej okazał się sprytniejszy od nas. - Reginald wbił mordercze spojrzenie w wino. Alkohol musiał być silniejszy, niż przypuszczał, inaczej nie wygadałby się tak łatwo. Rzadko wspominał komukolwiek o swoich kłopotach i miał dosyć mocną głowę. Lepiej będzie, jeśli poprzestanie na tym kieliszku.

Charlie wypił łyk ze swego kieliszka.

- Naszyjnik? Skradziono klejnoty tej damy? Dlaczego nie powiadomiła policji?

No to doczekał się. Ostrożnie, by nie powiedzieć za wiele, Reginald opisał okoliczności kradzieży, nie wspominając jednak, po co wykonał kopię. Nie krył za to swoich podejrzeń co do udziału w przestępstwie O'Toole'a i markiza. Charles był zafascynowany.

- A więc skończyło się na tym, że prosisz tę damę o rękę, by jej wynagrodzić stratę posagu? Bardzo jesteś szlachetny.

Reginald z hałasem odstawił kieliszek.

- Nie, wcale nie. Nie oświadczyłem się dlatego, by jej wyrównać straty. Żenię się z Marianną, bo nie sądzę, bym kiedykolwiek znalazł równie fascynującą i pociągającą kobietę. Jestem pewien, że będzie nam ze sobą bardzo dobrze. - Reginald ze zdumieniem stwierdził, że wierzy w każde swoje słowo. Może powinien kupić kilka skrzynek tego porto. Spojrzał z odrazą na butelkę. Nie cierpiał porto.

Charles wyprostował się na krześle, całkowicie usatysfakcjonowany.

- Chciałem się tylko upewnić, że nie robisz jakiegoś głupstwa i nie wplątujesz się w awanturę, z której musielibyśmy cię wyciągnąć. Małżeństwo to dożywotni wyrok, Reggie. Chyba nie chcesz zmarnować sobie życia jedną, nie przemyślaną decyzją. Nie sądziłem, byś kiedykolwiek stracił głowę, ale gdy w grę wchodzi kobiety, nie można być pewnym niczego. Ojciec powie ci to samo. Martwił się, że zrobisz coś głupiego, kiedy los zwróci się przeciwko tobie. Wiem, że chciałby, bym cię o wszystko wypytał. Skoro czujesz się odpowiedzialny za kradzież naszyjnika, to może powinniśmy ocenić jego wartość i oddać jej tę sumę jako prezent ślubny. Myślę też, że w jej sejfie powinno się znaleźć trochę więcej świecidełek, które mogłaby na siebie założyć. Harriet ma jasną cerę i nie może nosić kolorowych rzeczy.

Reginald czuł, że zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. Bezmyślnie kiwał głową, myśląc o tym, jak pięknie



wyglądałaby lady Marian w rodzinnych klejnotach. Nie sądził, by jego ojciec posiadał rubin równie cenny jak ten, który został skradziony, ale Marianna nie miałaby chyba o to pretensji. Chciał, żeby wiedziała, że rodzina jej męża nie klepie biedy, tak jak on sam. Chciał, żeby miała poczucie bezpieczeństwa i pewność, że nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji jak jej matka. Cieszył się więc, że Charles sam to wszystko rozumiał. Reginald zamknął oczy i starał się jeszcze raz prześledzić tok swych myśli, jednak nagle wszystko mu się pomieszało.

Charles roześmiał się głośno.

- Zdaje się, że czas zabrać cię do domu, bracie. Nigdy nie miałeś mocnej głowy do porto. Założę się, że wypijeś jeszcze butelkę brandy, zanim tu przyszedłeś. Nigdy nie mieszaj brandy z winem, to złota rada, bracie.

Reginald pozwolił, by starszy brat wyciągnął go z klubu i odprowadził do domu jak pijanego młodzieniaszka. Zresztą czuł się jak pijany uczeń. Wkrótce miał się ożenić, a nigdy dotąd nie myślał nawet o małżeństwie. Być może za rok będzie już ojcem, a potencjalną matkę swego dziecka poznał przecież zaledwie miesiąc temu. Przez głowę przemykały mu różne obrazy: naga Marianna, leżąca w jego łóżku, gromada rozwrzeszczanych dzieciaków, plotkujące kobiety w jego salonie. Czuł, że nazajutrz będzie bardzo, ale to bardzo chory.

Charles przytrzymał głowę brata, kiedy zwracał do rynsztoka wszystko, co zdążył zjeść tego wieczora, a potem wynajął dorożkę, która zawiozła ich do domu Reginalda.

Wicehrabia nie zdziwił się ani trochę, kiedy do przedpokoju wbiegł rudowłosy służący, by pomóc swemu panu

wejść na górę. Zdumiał się dopiero wtedy, gdy Reginald spojrzął na rudzielca, wydał okrzyk wściekłości i rzucił się z pięściami na mniejszego mężczyznę. Zazwyczaj nie wykorzystywał swej przewagi fizycznej nad słabszym przeciwnikiem.

Potrzeba było pomocy dwóch policjantów, sekretarza Jaspera i samego Charlesa, by oderwać Reginalda od człowieka, który okazał się jego służącym. Charles skinął głową z aprobatą, kiedy Jasper zapłacił policjantom i zamknął za nimi drzwi. Lepiej zatrzymać takie rzeczy w rodzinie.

Reginald nie odrywał wściekłego spojrzenia od lokaja, który leżał na podłodze, przykładając chusteczkę do zakrwawionego nosa i rozbitych warg.

- Gdzie to jest, do stu diabłów, ty hultaju, kłamco, złodzieju...

Zdawało się, że za moment znowu zacznie maltretować biednego rudzielca, więc Jasper i Charles ujęli go mocno pod ramiona.

Mężczyzna leżący na podłodze dyszał przez chwilę ciężko, wreszcie odparł:

- Człowiek nie może wyjechać na dwa dni do starych rodziców, bo potem potraktują go jak parszywego kundla. Oto zapłata za wszystkie trudy i wyrzeczenia. Ojciec powtarzał mi, żebym nigdy się nie poniżał i nie żebrał. Bóg jeden wie, jak bardzo starałem się zachować godność i dumę, ale są pewne granice, których nie można przekroczyć. Proszę, zamieniłem tę szafę w prawdziwe cacko, którego nie powstydziliby się sam Brumell i co dostaję w zamian? Brudzi koszule, błoci buty, wraca do domu w zapaskudżonym surducie, a potem jeszcze wyzywa od

złodziei i bije. Mam tego dość. Prędeż wróć zebrać na ulice, zanim znowu dam się nabrać. Prędeż...

Charles kopnął go lekko pod żebro.

- Zamknij gębę, łajdaku. - Spojrzał na Reginalda, który nie wyglądał o wiele lepiej od swego służącego, jednak jego oczy wciąż płonęły gniewem. Wicehrabia ujął go jeszcze mocniej. - Chcesz mi pewnie powiedzieć, że to ten służący, który zniknął z twoim naszyjnikiem?

- Masz rację, braciszku. Zaraz wybiję z niego każdy, najmniejszy diament, choćbym musiał je wyciągnąć mu przez nos. - Reginald rzucił się do przodu, powstrzymała go jednak dwie pary mocnych ramion.

Rudowłosa mężczyzna usiadł prosto i delikatnie obadał swój nos, choć nie wyglądało na to, by stało mu się coś poważnego.

- No tak, oskarżają mnie o kradzież, jeśli dobrze zrozumiałem. Przekleści, podejrzliwi arystokraci. Pojechałem tylko w odwiedziny do rodziców i przyjaciół. Mieszkają w wiosce niedaleko domu Effingham. Wypiłem troszeczkę za dużo, zdarza się przecież każdemu, no i musiałem zostać na noc. Musiałem sam tu wrócić, kiedy okazało się, że wyjechał pan beze mnie. Nie postępuje się tak z własnym służącym, jeśli spytacie mnie o zdanie, ale przecież i tak nikt się ze mną nie liczy.

- I bardzo dobrze - odparł oschle Charles. - Bo gadasz za dużo i od rzeczy. Mój brat twierdzi, że ukradłeś naszyjnik pewnej damy. Jeśli nie chcesz skończyć w Newgate, to lepiej zacznij mówić na temat.

O'Toole zaczął się podnosić ociężale z podłogi, czyniąc z tego prawdziwe i głęboko tragiczne przedstawienie, wreszcie ukłonił się nisko.

- Pan wybaczy, sir. Nie poznałem pana od razu. - Przy-  
stawił szybko chustkę do nosa, by powstrzymać nowy  
krwotok. - Nie kradnę naszyjników, sir. Zupełnie nie  
pasują do mojego ubrania - mówił niewyraźnie przez  
warstwę materiału. - Czasami zdarza mi się pożyczyć  
spinkę czy dwie, ale zawsze je zwracam. Nigdy nie  
dotknąłem czegoś cenniejszego niż zegarek. Mogę pana  
zapewnić, że nie mam żadnego naszyjnika.

Reginald chrząknął ostrzegawczo, a Charles zastanawiał  
się przez moment, czy nie powinien go jednak puścić. Ten  
łajdak spuściłby trochę z tonu, gdyby jego własny pan  
przydusił go trochę, ale to nie wyjaśniłoby zagadki znik-  
nięcia naszyjnika. Wicehrabia spojrział na nieco ogłupiałego  
sekretarza, który najwyraźniej został wyrwany ze snu przez  
całe to zamieszanie. Jego spodnie naciągnięte były wprost  
na nocną koszulę.

- Lepiej zawołajmy z powrotem tych policjantów. Niech  
zajmą się nim w Newgate, może wtedy chętniej udzieli  
nam wszystkich wyjaśnień.

Służący zadrżał ze strachu.

- Nie, nie, panowie, proszę, nie róbcie mi tego. Jestem  
niewinny. Jestem rozpieszczonym jedynakiem, nie wy-  
trzymałbym długo w takim miejscu. Jeśli szukacie naszyj-  
nika, to może chodzi wam o ten, który znalazłem w surducie  
pana Montague'a, kiedy czyściłem ubrania. Niebieski  
barchan doskonałej jakości, a on go całkiem zabrudził.  
Pajęczyny! Nigdy jeszcze nie widziałem tyle paskudztwa  
na dobrym ubraniu. Arystokraci w ogóle nią mają szacunku  
dla swoich ubrań.

Reginald zeszywniał z wściekłości. Jego oczy miały  
pioruny.

*PATRICIA RICE*

- O'Toole, natychmiast oddaj naszyjnik!

Lokaj spojrział nań oczami niewinnego dziecka.

- Przecież leży na pańskim biurku, tak jak go pan zostawił. Ja w ogóle nie miałbym pojęcia, co zrobić z tak cenną rzeczą. Wydawało mi się trochę dziwne, że zostawia go pan tak na wierzchu, ale w końcu kim ja jestem, żeby pouczać lepszych od siebie.

Reginald był już w połowie schodów, kiedy jego służący zakończył trochę przydługie wyjaśnienia.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Jesteś pewny, że to prawdziwy klejnot? - spytał Charles, obserwując, jak jego brat przysuwa naszyjnik do lampy i bada go dokładnie. Reginald odburknął coś niezrozumiale i sięgnął po soczewkę, by lepiej przyjrzeć się kamieniom.

- Tak, to oryginał - potwierdził wreszcie beznamiętnym głosem.

- Więc w czym problem? Przyznaj, że popełniłeś błąd, wynagrodź jakoś wszystkie zniewagi temu biedakowi i oddaj naszyjnik swojej damie. - Charles ze zdumieniem patrzył na młodszego brata, który zmarszczył gniewnie brwi. Reginald już jako dziecko był uparty i niezależny, ale zawsze przyznawał się do pomyłek.

- Pięć największych diamentów to podróbki. Ten pętał je podmienił. - Reginald odłożył lupę do szuflady i zacisnął dłoń na naszyjniku, jakby chciał go zgnieść.

Charles gwizdnał przeciągle.

- No to zawołajmy jednak policjantów. Szybko sobie o nich przypomni, kiedy spędzi nockę w Newgate.

Reginald zamyślił się na chwilę.

- Nie, niech myśli, że daliśmy się nabrać. Mógł schować te kamienie gdziekolwiek, a może już je sprzedał. Niczego mu nie udowodnimy. Wciąż jestem przekonany, że on działa w zмовie z Effinghamem. Chcę go złapać na gorącym uczynku.

- Nie mam pojęcia, jak chcesz to zrobić. - Charles pokręcił głową i sam przyjrzał się cennemu naszyjnikowi. Prawdę mówiąc, nie widział żadnej różnicy pomiędzy poszczególnymi klejnotami.

Czując coraz większe zmęczenie i narastający ból głowy, Reginald wzruszył ramionami z rezygnacją.

- Ja też jeszcze nie wiem, ale znajdę jakiś sposób. Weź ze sobą to paskudztwo. Nie chcę dawać temu parszywcowi następnej szansy. - Potarł dłonią czoło.

- Nie, zaczekaj. Przecież muszę go oddać Mariannie.  
- Przez niego straciła szansę na małżeństwo z bogatym Darleyem. Nie chciał, by teraz straciła po raz drugi właściwie cały swój majątek. Zastanawiał się, czy odzyskawszy naszyjnik zechce unieważnić zaręczyny. Głowa pękała mu z bólu, gdy zaczął rozmyślać o tym, co jeszcze go czeka.

Charles włożył naszyjnik do kieszeni.

- Spotkamy się jutro i razem odwiedzimy te damy. Jeśli zamierzają iść na bal, to jutro powinny być już w domu. Przygotowania do takiego balu zajmują kobietom sporo czasu.

Nie Mariannie, pomyślał Reginald, ale zachował tę myśl dla siebie. Musiałby tłumaczyć, że lady Marian jest inna,

że nie traci czasu na strojenie się, malowanie, wybieranie takiej a nie innej wstążeczki. Marianna będzie raczej rozmyślać nad tym, jak skrócić kark O'Toolowi, jak sprzedać bibliotekę Effinghama i za kogo wydać siostrę. Nie była podobna do żadnej ze znanych mu dam, ale Charles chyba nie potrafiłby tego należycie docenić. Reginald nie wspominał więc o tym ani słowem.

Skinał tylko głową i pożegnał brata, który wyszedł z naszyjnikiem w kieszeni.

Nie musiał nawet wrzeszczeć na O'Toole'a, kiedy ten pomagał mu ściągać surdut. Łajdak miał na tyle rozumu, by trzymać język za zębami.

Kiedy lokaj oznajmił, że na dole czeka pan Montague i lord Whitam, Marianna omal nie wpadła w panikę - nie dlatego, że nie pamiętała żadnego lorda Whitam, ale ze strachu, że Montague przyszedł odwołać zaręczyny. Mając całe dwa dni do namysłu, mógł zorientować się, że zrobił naprawdę kiepski interes.

Z pewnością nie oznajmiłby jej tego w obecności jakiegoś obcego mężczyzny. Lord Jakiś-tam na pewno nie jest prawnikiem. Reginald przyszedł pewnie z przyjacielem, który miał mu dodać otuchy - zamiast Darleya, bo ten nie chciał z nim rozmawiać. Musiała znaleźć jakiś sposób, by przywieść obu tych dżentelmenów do zgody.

Ponieważ Jessica i lady Grace wciąż odpoczywały po długiej podróży, Marianna zawołała Lily i nerwowo wyczekiwała gości. Gdy weszli do salonu, jej spojrzenie natychmiast powędrowało ku Reginaldowi. Wyglądał wspa-



niale w brązowym surducie, irchowych spodniach i wysokich, lśniących butach. Jednak podkrążone oczy i ociężałość ruchów, świadczyły o tym, że poprzednia noc nie należała do spokojnych. Poczowała, jak oblewa ją gorący rumieniec, kiedy pan Montague pochylił się nad jej dłonią.

- Zdaje się, że nie spał pan dobrze tej nocy, sir - wyszeptwała, tak by tylko on usłyszał jej słowa.

Na jego ustach pojawił się cień chytrego uśmieszku.

- Myślałem tylko o pani, odkąd się rozstaliśmy.

To był Montague, którego dobrze znała. Zaczerwieniona, wyrwała dłoń z jego uścisku i zwróciła się do drugiego gościa. Wyglądał niezwykle elegancko i wyniośle, a w jego twarzy kryło się coś znajomego. Marianna starała się nie przypatrywać mu zbyt otwarcie.

- Lady Marian, czy mogę przedstawić pani mego brata, Charlesa? Charles, oto moja narzeczona.

Oczywiście, zupełnie o tym zapomniała. Pan Montague był synem hrabiego, ale nie jego spadkobiercą. Wynikało z tego jasno, że rna starszego brata. Po prostu nie myślała dotąd o jego rodzinie, bo sam rzadko o niej wspominał. Próbowwała nie zagryzać warg, kiedy wicehrabia pochylił się nad jej dłonią. Wyglądał naprawdę bardzo dostojnie. Czuła się przy nim jak podłotek.

- Bardzo mi miło, sir - zdołała wykrztusić, żałując, że nie ma przy niej matki. Darley był wicehrabią, ale nie wprawiał jej w takie zakłopotanie jak ten człowiek. Co prawda jej kuzyn był markizem, ale nie miał prezencji, która wymagała odpowiedniego traktowania i szacunku. Marianna spojrzała bezradnie na pana Montague'a.

Reginald usiadł obok niej i położył rękę na oparciu sofy,

jakby należał już do tego miejsca, a Marianna do niego. Bo tak było w istocie, jak niechętnie przyznała w duchu. Dała mu wszelkie powody, by uważał ją za swoją własność. Założył nogę na nogę i czekał, aż jego brat usadowi się w fotelu naprzeciwko. Marianna przypuszczała, że jej narzeczony uśmiecha się skrycie, i że zasługuje na porządny kuksaniec, postanowiła jednak odgrywać skromną pannę najlepiej, jak potrafiła.

- Cieszę się, że mam wreszcie okazję poznać kogoś z rodziny pana Montague'a, sir. Dużo mi o niej opowiadał.

Marianna spuściła skromnie wzrok i złożyła ręce na kolanach.

Charles spojrzął z powątpiewaniem na swego brata.

- Ciekawe, dlaczego trudno mi w to uwierzyć? Reggie wolałby myśleć, że w ogóle nas nie ma, oprócz tych rzadkich okazji, kiedy nas spotyka.

Reginald bawił się kosmykiem włosów, które opadały na szyję Marianny, i pochylił się nad nią poufale.

- Czy nie powinnaś raczej mówić mi teraz po imieniu, kochanie? Nie chcielibyśmy chyba, żeby mój brat źle nas ocenił.

Znowu się z niej śmiał, była tego pewna. Wiedział doskonale, że odgrywa przed jego bratem tę samą komedię, którą ćwiczyła przez ostatnie tygodnie w towarzystwie innych arystokratów. Właściwie powinna otworzyć usta i powiedzieć wszystko, co naprawdę przychodziło jej do głowy, nie chciała jednak zaprzepaścić kolejnej szansy. Nie chciała zrazić do siebie rodziny Reginalda, gdyż ta mogłaby namówić go do zerwania zaręczyn. A ten podlec wykorzystywał to, by zabawić się jej kosztem.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Nie chciałam, by twój brat pomyślał, że za bardzo się spoufalam, Reginaldzie. Jestem pewna, że lord Witham jest zbyt dobrze wychowany, żeby zachowywać się tak jak ty, kochanie.

Charles zachichotał z satysfakcją.

- Zdaje się, że zaczynam cię rozumieć, Reggie. Przez tyle lat robiłeś z ludzi głupców, a oni nawet o tym nie wiedzieli, a teraz znalazłeś wreszcie kobietę, która może ci śmiało stawić czoło. Nie musi pani być uprzejma ze względu na mnie, lady Marian. Trzeba, żeby ktoś wreszcie przytarł mu rogów.

Marianna uśmiechnęła się ciepło do gościa.

- Może chciałby się pan czegoś napić, lordzie Witham? Moglibyśmy podyskutować o charakterze pańskiego brata przy herbacie i ciasteczkach. - Ledwie dostrzegalnym gestem wysłała Lily po tacę.

Reginald pociągnął delikatnie za loczek, który trzymał w dłoni, i chrząknął znacząco przy uchu Marianny, ale kiedy służąca wyszła, przemówił łagodnym głosem:

- Mamy dla ciebie niespodziankę, kochanie. Charles, naszyjnik, proszę.

Marianna spojrzała ze zdumieniem na wicehrabiego, który wstał i podał jej aksamitną sakiewkę. Obserwowała ją z wyraźnym zaciekawieniem, ale ona zapomniała o wszystkim, gdy tylko zobaczyła blask rubinu. Krzyknęła radośnie i podniosła klejnot na wysokość oczu.

- Naszyjnik mojej matki! Znalazłeś go. Gdzie? Złapałeś złodzieja? - Podekscytowana zwróciła się od razu do Reginalda.

Uśmiechnął się z satysfakcją, podziwiając wspaniały

blask jej rozpalonych oczu. Podobało mu się też to, że od razu przyjęła, iż to właśnie on odnalazł naszyjnik, choć podał go jej Charles. Mógł trafić znacznie gorzej. Jeśli już trzeba mieć żonę, to powinna ona wierzyć w zdolności swego małżonka.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy odparł:

- O'Toole wrócił wczoraj do domu. Mówi, że znalazł naszyjnik w kieszeni mojego surduta. Oboje wiemy dobrze, że naszyjnik w mojej kieszeni był kopią, ale nie mam przeciw niemu żadnych dowodów. — Zawahał się na moment, nie wiedząc, czy powinien mówić jej o pięciu podmienionych diamentach. Jeśli markiz był zamieszany w to fałszerstwo, ucierpiałyby na tym stosunki rodzinne. Jednak gdyby sama się o tym dowiedziała, mogłaby posądzić go o kradzież. Spojrzał pytająco na Charlesa.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Nie możemy w tej chwili stwierdzić z całą pewnością, kto jest odpowiedzialny za kradzież. Lepiej powiedzmy wszystko, co wiemy. Ponieważ naszyjnik był w tym czasie w twoich rękach, to my powinniśmy wymienić fałszywe części.

Marianna spoglądała na obu mężczyzn, czekając na słowa wyjaśnienia.

Po chwili Reginald opowiedział jej o brakujących diamentach i nieskładnych tłumaczeniach O'Toole'a. Marianna jeszcze raz przyjrzała się naszyjnikowi, lecz nie dostrzegła żadnej różnicy. Szybko jednak przypomniała sobie, że nie potrafiła też odróżnić kopii od prawdziwego klejnotu. Wsunęła go z powrotem do sakiewki i zamknęła ją.

- Być może nie powinniśmy mówić o tym mamie, zwłaszcza jeśli markiz jest zamieszany w tę sprawę. Zresztą nie przeszkadza nam to specjalnie. Możemy się podzielić tą odrobiną, którą mamy, a on nie był bardzo chciwy. Oddał nam przecież najcenniejszą część. - Spojrzała na wicehrabiego. - Naprawdę nie uważam, by trzeba było cokolwiek wymieniać. Naszyjnik miał być częścią mojego posagu. Reginald nie musi przecież dopłacać do czegoś, co i tak stanie się jego własnością.

Charles spojrział na nią z aprobatą.

- Nasza rodzina zobowiązana jest jednak uczcić jakoś wasze zaręczyny. Pani musi przedyskutować to jeszcze z Reginaldem. Tymczasem chcielibyśmy wyprawić uroczystą kolację z tańcami na waszą cześć. Kiedy przybędzie tu moja żona, umówię ją z panią, by ustalić szczegóły. - Podniósł się z fotela, jakby chciał już wyjść.

- Nie napił się pan nawet herbaty, sir. Nie zechciałby pan zostać jeszcze chwilę?

Charlie zerknął na swego brata.

- Niestety, jestem jeszcze umówiony, ale podejrzewam, że Reginald z miłą chęcią poczeka na ciasteczka. Mam nadzieję, że pani służąca pojawi się tu wkrótce. Nie chciałbym zostawiać go z panią sam na sam, zwłaszcza kiedy patrzy na panią w ten sposób.

Marianna odwróciła się do Reginalda, nie dojrzała jednak w jego oczach niczego, czegoby tam już wcześniej nie było. Charles znowu zachichotał i wyszedł, zostawiając kochanków tylko we dwoje.

- Szybko się uczysz, kochanie. Być może kiedyś będzie mi brak twoich brutalnych prawd, podejrzewam jednak, że słodkie rozmówki bardziej przysłużą się tworzeniu atmo-

sfery harmonii i zrozumienia w rodzinie. - Reginald pochylił się nad nią i przywarł do jej ust.

Marianna nie była na to przygotowana. Nie miała przecież prawie żadnych doświadczeń z mężczyznami. Nie miała pojęcia, jakimi torami biegną ich myśli. Szczególnie trudno było jej odgadnąć, co myśli ten właśnie człowiek, który skrywał wszelkie emocje za nieruchomą maską, jakiej nie powstydziliby się marmurowy posąg. Jednak jego usta wcale nie przypominały marmuru. Westchnęła z zadowoleniem, gdy jego wargi powoli dostosowywały się do jej ust.

Właśnie ogarniały ją pierwsze dreszcze podniecenia, kiedy brzęk filiżanek za drzwiami kazał im odsunąć się od siebie na bezpieczną odległość. Marianna słyszała, jak pan Montague - Reginald - jęknął z rozczarowaniem, i zerknęła nań kątem oka. Wcale nie przypominał teraz beznamiętnego posagu.

Za Lily weszła do salonu lady Grace. Wyglądała tak, jakby właśnie wstała z łóżka i ubrała się tylko dlatego, że ma gości, zamiast pozostać w porannym negliżu aż do chwili, gdy wypije filiżankę czekolady. Ziewnęła, dyskretnie zakrywając dłonią usta i uśmiechnęła się do pana Montague'a.

- Wcześniej pan nas odwiedził, sir. Bardzo cenię taką gorliwość. Zdaje się, że rozminęłam się z pańskim bratem.

Reginald szybko podniósł się z sofy i pochylił nad ręką szacownej damy, po czym podprowadził ją do fotela. Znowu usiadł obok Marianny, ale tym razem nie objął jej ramieniem.

- Wkrótce będzie pani miała okazję poznać całą moją rodzinę. Żona mojego brata przybędzie tu za kilka dni, i nie

wątpię, że mój ojciec zechce jej towarzyszyć. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca?

- Nie, miałyśmy piękną pogodę. Choć muszę przyznać, że podróż trochę nam się dłużyła. - Lady Grace odprawiła służącą i nalała sobie herbaty.

Marianna położyła na tacy aksamitną sakiewkę.

- Mamo, pan Montague znalazł nasz naszyjnik. Najwidoczniej po prostu zginął, a nie skradziono go.

Reginald nawet nie mrugnął okiem, słysząc te słowa. Popijał herbatę i przyglądał się lady Grace, która cieszyła się głośno z odzyskania swego jedyne go klejnotu. Bez trudu można było odgadnąć, że dla niej jedyną wartością naszyjnika były związane z nim wspomnienia.

Pan Montague pochylił się nad siedzącą obok Marianną. Musieli porozmawiać.

- Czy nie jest jeszcze za wcześnie, by zaprosić cię na przejażdżkę po parku? Moglibyśmy wstąpić do jubilera i wybrać prezent zaręczynowy, bo wcześniej tego nie dopilnowałem.

Zaskoczona lady Marian spojrzała nań spod rzęs, odparła jednak spokojnie;

- Tak, w parku musi być teraz prześlicznie. Mamo, czy nie masz nic przeciwko temu?

Lady Grace odprawiła ich machnięciem ręki.

Kiedy znaleźli się już w kariołce Reginalda - tym razem bez towarzystwa O'Toole'a - Marianna spojrzała pytająco na swego narzeczonego, który nagle dziwnie sposepniał.

- Czy jest jeszcze jakiś problem, o którym nie zdążyłeś wspomnieć? - spytała, starając się zignorować nieprzyjemne uczucie, które obejmowało jej żołądek. Reginald za dobrze

odgrywał rolę troskliwego zalotnika. Obawiała się, że teraz zaskoczy ją czymś bardzo nieprzyjemnym.

- Umieściłem w gazetach ogłoszenia o naszych zaręczynach, zanim jeszcze znalazł się naszyjnik. Cały Londyn wie, że zamierzamy się pobrać. Teraz masz swój klejnot z powrotem i nie potrzebujesz mnie więcej. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś poczekała jakiś czas ze zmianą decyzji i zerwaniem zaręczyn. Gdybyś zrobiła to teraz, stałbym się pośmiewiskiem dla całego miasta.

Marianna gapiła się na niego ze zdumieniem.

- Liczysz na to, że zerwę nasze zaręczyny?

Montague z ponurą miną strzelił batem nad końskimi łbami i zawrócił w stronę bram parku.

- Tak, mówiąc wprost, tak to właśnie wygląda. Podejrzewam, że na to zasłużyłem. Te szczerze rozmowy stają się trochę bolesne, prawda?

Marianna opadła na oparcie i wpatrywała się bezmyślnie w świeżą zieleń drzew. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Naszyjnik miał być tylko doraźnym środkiem. Muszę wyjść za mąż, żeby moja matka nie musiała się martwić o swoje utrzymanie przez resztę życia. Jeśli naprawdę nie chcesz tego małżeństwa, to musimy zerwać zaręczyny już teraz i modlić się, żeby nikt nie dowiedział się o tym za wcześnie. Możemy sobie na to pozwolić przez pewien czas, jednak już w tym roku muszę znaleźć nowego zalotnika.

Montague spojrział na nią z irytacją, ona jednak wciąż patrzyła w bok.

- Chciałem tylko dać ci okazję do zerwania zaręczyn z honorem, gdybyś naprawdę tego chciała. Ja wcale nie zmieniłem zdania.



*PATRICIA RICE*

Przynaglił konie do szybszego biegu, tak iż przerażeni przechodnie musieli uskakiwać na boki.

Marianna zacisnęła mocno dłonie. Reginald postępował jak człowiek honoru. Powinna go zwolnić z obietnicy po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Przecież najwyraźniej tego właśnie oczekiwał. Zamknęła oczy i próbowała zmusić język do mówienia, ten jednak odmówił jej posłuszeństwa.

Chciała poślubić Reginalda Montague'a.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Gdy weszli do sklepu jubilera, nie wyglądali wcale na zakochaną parę, szukającą prezentu zaręczynowego. Reginald oglądał w milczeniu wystawy, aż odnalazł kolekcję broszek. Marianna powoli szła jego śladem i stała za jego plecami, kiedy przeglądał wystawiony towar. Gdy zrezygnował z tego zakupu i zajął się pierścionkami, ona pozostała na miejscu, wpatrując się ze smutkiem w brosze. Ani trochę nie przypominało to spokojnego narzeczeństwa, o którym marzyła.

- Ta jest bardzo ładna - powiedziała łagodnie, starając się złagodzić nieco jego gniew. - Przypomina trochę tę broszkę z kości słoniowej, którą kiedyś oglądaliśmy razem. Wyglądałaby bardzo dobrze na moich porannych sukniach.

Reginald spojrział na ozdobę jeszcze raz i odwrócił się.

- Chciałbym ci dać coś, co nosiłabyś wtedy, gdy będziemy wychodzić razem, a nie broszkę, której nikt prócz nas nie zobaczy.

Marianna westchnęła z rezygnacją. Była zmęczona walką. Powzięła już decyzję i musi się tego trzymać. Szkoda tylko, że podjęła tak trudne wyzwanie. Nie będzie jej łatwo zadowolić Reginalda Montague'a.

Przyjrzała się pierścionkom. Reginald miał przed sobą tacę z najcenniejszymi klejnotami. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Marianny, gdy pomyślała, jak ogromne bogactwo marnuje się w tym jednym miejscu. Zwróciła się ku nieco skromniejszej wystawie i wskazała na drobny, złoty pierścionek z pojedynczym granatem.

- Coś takiego wygląda bardzo elegancko.

Montague rzucił tylko okiem na skromny klejnot.

- Towarzystwo pomyślałoby, że jestem sknerą, gdybym dał ci coś tak małego.

Marianna parsknęła zde gustowana i poddała się ostatecznie. Starła się za wszelką cenę dążyć do kompromisu. Jeśli on postanowił trzymać się tylko swego zdania i nie ustąpić ani odrobinę, to ona nie potrafiła już temu zaradzić. Odwróciła się od niego i wyszła na zewnątrz.

- Niech to diabli... - Reginald zwrócił się do zdumionego jubilera. - Proszę zapakować broszkę z kości słoniowej i pierścionek z granatem. - Jego spojrzenie padło na wystawę naszyjników. Delikatne i gustowne kompozycje diamentów i szmaragdów odpowiadałyby zapewne gustom narzeczonej i jego własnym. - I proszę to dostarczyć pod ten adres. - Podał jubilerowi wizytówkę i zabrał pudełka, ułożone przez jednego z subiektów. Właściciel sklepu nie potrzebował nawet patrzeć na kartę wizytową, by ukłonić się temu klientowi z szacunkiem. Od razu poznał przecież Reginalda Montague'a.

Reginald wydał o wiele więcej, niż zamierzał, choć Marianna poprosiła go o znacznie mniej. Musiałem chyba całkiem stracić rozum, myślał pośepnie, rozglądając się po ulicy w poszukiwaniu narzeczonej. Gdyby poprosiła go o piękne diamenty, roześmiałyby się i kupiłby jej granaty. Ona poprosiła o granaty, więc kupił jej diamenty. Po prostu tracił resztki kontroli nad swymi poczynaniami.

Dojrzał ją w końcu przed wystawą „Antykwariatu Arystotelesa” i jęknął cicho. Dlaczego przywiózł ją akurat na tę ulicę, kiedy w mieście były setki sklepów jubilerskich?

- Ciekawe, czy sprzedał już mój manuskrypt? - zapytała spokojnie, kiedy ją dogonił. - Nie ma go na wystawie.

- Okładki szybko schną i blakną na słońcu. Kryształy i klejnoty wyglądają o wiele lepiej na wystawie. Kolekcjonerzy i tak wiedzą, że w środku są książki. - Wyciągnął pudełko z broszką. - Muszę przyznać, że masz doskonały gust. Artysta, który to wyrzeźbił, musi być bardzo utalentowany.

Marianna otworzyła pudełko i ze zdumieniem przyglądała się jego zawartości. Delikatnie dotknęła lekko rozchylonych płatków róży wyrzeźbionej w kości słoniowej.

- Dziękuję - wykrztusiła z trudem. Gdy wreszcie podniosła nań wzrok, jej oczy wypełnione były łzami.

Reginald poczuł, że ogarnia go jakieś ogromne wzruszenie, którego wcale nie chciał odczuwać. Pragnął teraz pochwycić ją w ramiona, przygarnąć do siebie i całować te lśniące kryształki, a jednocześnie ogarnął go palący wstyd, gdy zrozumiał, jakim był głupcem i arogantem. Ona chciała jedynie takiego właśnie prostego podarunku, czegoś, co połączyłoby ich oboje. On chciał się tylko popisać najnowszym zakupem. Naprawdę, był wyjątkowym głupcem.

Onieśmielony wyciągnął pudełko z drugiej kieszeni.

- Ten drobiazg nie może się równać z twoim rubinem, ale chciałbym, żebyś nosiła coś, co oznaczałoby, że należysz do mnie. Mówiłem ci już, że jestem bardzo zaborczym mężczyzną.

Marianna zacisnęła w dłoni pudełko z pierścionkiem i spojrzała w twarz swego narzeczonego.

- Staram się bardzo ułatwić ci to wszystko, Reginaldzie. Gdybym była lepszym człowiekiem, pewnie zwolniłabym cię z obietnicy, ale jestem tchórzem. Boję się, że już nigdy nie spotkam kogoś, kto podobałby mi się tak jak ty. Powiedz, czy naprawdę robię coś złego?

Zamiast odpowiedzieć, Reginald wziął pierścionek, zdjął rękawiczkę z dłoni Marianny i włożył klejnot na jej palec.

- Jest trochę za luźny. Mam go oddać do poprawki?

Jej palce zacisnęły się mocno wokół złotego krążka.

- Nie, nie chcę go zdejmować. Muszę po prostu do niego dorosnąć.

Wreszcie uśmiechnął się do niej łagodnie, co dziwnie kontrastowało z jego marsowym obliczem.

- Nie popadasz chyba w romantyczne uniesienia, kochanie? Bo ja nie jestem dobry w tej grze. Wciąż próbuję wymyślić jakąś odpowiedź na to, co powiedziałaś. Nie wiedziałem, że mnie lubisz. Dotąd myślałem, że mną tylko pogardzasz.

- I chyba powinnam. - Cofnęła dłoń z jego uścisku i założyła rękawiczkę. - Uważasz, że jestem głupia i romantyczna, a w myślach wysyłasz mnie pewnie do stu diabłów, podczas gdy ja jestem pewna, że będę dla ciebie bardzo dobrą żoną. Gdybym tak nie myślała, nigdy nie zgodziłabym

się na to małżeństwo. A ponieważ wszyscy już dawno wyjaśnili mi, że nie chciałeś nigdy związać się na stałe z jakąkolwiek kobietą, jestem pewna, że nie odbieram ci szans na znalezienie prawdziwego uczucia. Zresztą nie wiem nawet, czy jesteś zdolny do prawdziwego i trwałego uczucia. Ja postaram się tylko zyskać twój szacunek.

Radość tańczyła w oczach Reginalda, gdy podał jej rękę.

- Już go masz, moja droga. Nie przychodzi mi na myśl żadna inna kobieta, której byłbym się w stanie oświadczyć. Znajdziemy jakiś sposób, żeby ten układ zadowolił nas oboje.

Układ. Marianna zatrzymała westchnienie dla siebie. Byłoby jej bardzo miło, gdyby Reginald częściej obdarzał ją czułymi spojrzeniami i wyznaniem. Cieszyła się jednak, że zdobył się na nie przynajmniej teraz, gdy podarował jej pierścionek zaręczynowy. Nie byli przecież naprawdę zakochani. Mieli tylko układ.

Starła się nie skrzywić z niesmakiem. Przez niego zachowała się dzisiaj jak prawdziwa romantyczka.

Och, Marianno, wyglądasz olśniewająco! Chciałabym kiedyś być choć trochę podobna do ciebie. - Jessica wpatrywała się tęsknie w odbicie siostry w lustrze, poprawiając szarfę u jej sukni.

Marianna przyjrzała się sobie krytycznie. Lily zręcznie upięła jej ciemne włosy, które tworzyły teraz olśniewającą gamę delikatnych fal i luźnych loczków, przepasanych złotą wstążką. Na szarfie, która opasywała ją w talii, widniały pąki trzech róż, wyjęte z całego kosza kwiatów

przysłanych przez Reginalda. Sama suknia wykonana była z cienkiego jak papier jedwabiu w kolorze kości słoniowej, przetykanego delikatną złotą nicią, która podkreślałaby dobrze jeden z jej klejnotów - naszyjnik z rubinem.

Jednakże dekolt tej sukni był tak duży, że Marianna obawiała się, iż nikt nawet nie zauważy naszyjnika. Ubrania szyte przez Lily zawsze były dość skromne. Ta suknia natomiast, choć wykonana przez modystkę, odbiegała dość daleko od tego, co Marianna uważała za przyzwoite. Zaczerwieniła się na samą myśl, że będzie na nią patrzył Reginald. Wysoki stanik, przy którym upierała się modystka, wypychał jej piersi do góry tak, że nikt nie mógłby chyba tego nie zauważyć.

„Olśniewający” z pewnością nie było słowem, jakiego użyłaby Marianna, chcąc opisać swój wygląd, ale Jessica zawsze była taktowna. Nie mogła przecież powiedzieć „śliczna”, bo do tego określenia nie pasowała twarz Marianny. Jej usta były naturalnie czerwone, oczy za ciemne, a cera raczej śniada niż kremowa. „Piękna i oryginalna” - owszem, ale na pewno nie „śliczna”.

W tej chwili Marianna czuła się nieswojo, a raczej nieprzyzwoicie. Ukradkiem próbowała podciągnąć niewielki stanik, ale był on dokładnie dopasowany do jej ciała. Poruszała ramionami, sprawdzając, czy krótkie rękawy nie zakryją choć trochę wielkiego dekoltu, ale udało jej się tylko przekrzywić kwiatki umocowane na szarfie. Jessica pomogła jej ułożyć je z powrotem i Marianna wreszcie dała za wygraną. Może poczuje się lepiej, jeśli nie będzie już patrzeć na swe odbicie.

Zwróciła więc krytyczne spojrzenie na Jessikę. Jej siostra

wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać prawdziwa dama. Jej suknia była skromniejsza, jak przystało młodej dziewczynie. Była nieco smuklejsza od Marianny, a drobne falbanki z jasnoniebieskiego jedwabiu, zdobiące śnieżnobiały staniczek, podkreślały delikatnie młodzieńcze krągłości. To samo zadanie spełniały falbany ciągnące się wzdłuż jej pleców. Smukła, jasnowłosa i niebieskooka Jessica wyglądała jak prawdziwa księżniczka z bajki. Marianna uścisnęła ją radośnie.

- Jesteś piękna, Jessie. Wszyscy mężczyźni padną do twoich stóp. Nawet książę będzie chciał cię natychmiast poznać. Pamiętaj tylko, żeby się uśmiechać i przytakiwać wszystkiemu, co mówią mężczyźni, a na pewno doskonale sobie poradzisz.

Uśmiech Jessiki nieco przygał.

- Lord Darley jest jedynym dżentelmenem, który zapytał mnie, czy przyjdę na bal. Myślisz, że poprosi mnie o taniec? Nie chciałabym podpierać ścian przez cały wieczór.

- Będziesz miała zajęte wszystkie tańce, chyba że sama zechcesz usiąść. Jestem tego pewna. Zobaczmy, jak radzi sobie mama.

Jessica będzie na pewno zajęta przez cały wieczór, choćby dlatego, że towarzystwo paliła ciekawość, i wszyscy chcieli się dowiedzieć czegoś o markizie i ogłoszonych niedawno zaręczynach. Marianna nie wspominała o tym jednak głośno. Nauczyła się już całkiem skutecznie trzymać język za zębami. Jeśli teraz tylko ciekawość przywiedzie towarzystwo do ślicznej Jessiki, to potem sama jej uroda będzie wystarczającym magnesem.

Zajechały przed rezydencję księcia Devonshire równocześnie z wieloma innymi powozami, choć ich był najmniej



elegancki. Marianna jeszcze raz zastanawiała się, po co w ogóle przyjmowały zaproszenia, ale ich bilety wizytowe zostały przyjęte jak wszystkie inne i zapowiedziano je tak samo uroczyście jak innych gości, jakby nie różniły się niczym od markiz i księżnych wypełniających salę. „Lady Grace” i „lady Marian” wprowadzone pomiędzy księżną Taką i księżną Owaką nie powinny właściwie zwrócić niczyjej uwagi, jednak kilkanaście osób zainteresowało się ich przybyciem.

Kilkoro przyjaciół lady Grace natychmiast pospieszyło złożyć jej serdeczne gratulacje, związane z rychłym zamażpójściem córki. Kilku kawalerów, którzy zalecali się wcześniej do Marianny, podeszło teraz do niej, żartując, że dała im za mało czasu, i prosząc o taniec. Lord Darley dołączył do nich, nim zrobiła to jego matka, która chciała by zapewne czynić Mariannie wyrzuty, że zdecydowała się poślubić człowieka o znacznie niższej pozycji i majątku niż jej Geoffrey. Darley, chcąc udowodnić, że wcale nie czuje się urażony, poprosił Mariannę o jeden z walców, po czym zarezerwował sobie dwa tańce w karnecie Jessiki. Jasnowłosa piękność rozpromieniła się z radości, co zwabiło kilku innych młodzieńców, którzy chcieli z nią zatańczyć. Wicehrabia rzucał im groźne spojrzenia i nie odstępował trójki dam ani na krok.

Bal miał się rozpocząć lada chwila i Marianna z coraz większym zdenerwowaniem obserwowała nowo przybyłych. Zarezerwowała pierwszy taniec dla Reginalda, jednak on wciąż się nie pojawiał. Oczywiście w takim natłoku powozów mógł gdzieś utknąć.

Kiedy wreszcie odźwierny zaanonsował Charlesa, wice-

hrabiego Witham i pana Reginalda Montague'a, Marianna odetchnęła z ulgą, ściągając na siebie uwagę kilku młodych mężczyzn, stojących w pobliżu. Nieświadoma, że stała się obiektem ich zainteresowania, obserwowała z przejęciem, jak Reginald schodzi do sali balowej. Wiedziała dokładnie, kiedy ją dostrzegł, choć nawet się do niej nie uśmiechnął. Serce zabiło jej trochę mocniej, kiedy ruszył prosto w jej stronę. Inni też musieli się im przyglądać. Wyglądało to tak, jakby w środku tłumu utworzyła się nagle ścieżka, łącząca ich oboje.

Orkiestra zaczęła już grać, kiedy podszedł do lady Grace. Musiał pozdrowić ją w należyty sposób, i na pewno uczynił to także lord Witham, choć Marianna nie słyszała ani słowa. Poczuła tylko gorące spojrzenie Reginalda i zniewalający uścisk jego ramion, kiedy poprowadził ją na parkiet, nie pytając nawet o pozwolenie.

Zgodnie ze zwyczajem, tańcem otwierającym był kadryl. Nie dawało im to okazji do normalnej rozmowy, jednak Marianna cały czas czuła na sobie spojrzenie Montague'a, który ani na moment nie spuszczał jej z oka pomimo różnych formacji tancerzy. Zastanawiała się, czy jej suknia stała się nagle przezroczysta, oczywiście tylko w oczach jej narzeczonego. Nikt inny nie poświęcał jej tyle uwagi. Czuła, jak powoli oblewa się rumieńcem, starała się jednak zachowywać całkiem normalnie.

Kiedy taniec dobiegł końca, Reginald nie odprowadził jej do matki, jak wymagały tego dobre obyczaje, lecz odciągnął na bok i dotknął kwiatów na jej talii.

- Nie przypuszczałem, że będziesz je nosić właśnie tutaj, ale gdybym wcześniej widział tę suknię, prosiłbym

cię właśnie o to. Z drugiej strony, zastanawiam się, czy nie lepszy byłby klejnot, który wisiałby w tym miejscu. - Jego spojrzenie przyłgnęło do miejsca, które miał na myśli.

Marianna zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Jesteś nieprzyzwoity - wyszeptała, ale bez gniewu. Jego słowa i spojrzenia sprawiały, że czuła się dziwnie podekscytowana, jak wtedy, gdy ją całował. Wiedziała aż za dobrze, czego nie skrywa jej suknia.

- To ta sukienka jest nieprzyzwoita - mruknął Reginald.

- Nie masz jakiejś chusty albo szala, którym mogłabyś się okryć?

Marianna zeszywniała, urażona.

- Nie jest bardziej nieprzyzwoita niż suknie, które noszą inne damy. Uszyła ją dla mnie bardzo dobra modystka. Myślałam, że ucieszysz się, kiedy zobaczysz mnie w pięknej kreacji.

- Cieszyłbym się, gdybym był jedynym mężczyzną w tej sali. Czuję, jak wszyscy dyszą i nie mogą się doczekać, kiedy cię wreszcie zostawię. Nie lubię się dzielić z innymi. - Pochwyił jej karnet i przejrzał go szybko, po czym wrzucił do wielkiej donicy z palmą.

Wyciągnął do niej rękę i oznajmił:

- Podejźmy do twojej mamy i wyjaśnię, że nie zamierzam się dzielić tobą z nikim dzisiejszego wieczoru. Ona może o tym poinformować twoich zawiedzionych zalotników.

Oszołomiona Marianna pozwoliła zaprowadzić się do swej rodziny. Nie miała pojęcia, co znaczyła jego reakcja na wydekoltowaną suknię. Miała nadzieję, że mu się w niej spodoba. Czyżby uważał ją za bezwstydną? I kto mu dał prawo wyrzucać jej karnet z tańcami? Przecież uwielbia

tańczyć. Miała ochotę krzyknąć i kopać, wiedziała jednak, że patrzą na nich setki oczu. Lord Witham stał obok jej matki.

- Zanosi się chyba na małą scenkę zazdrości - mruknął wicehrabia, kiedy ujrzał nadchodzącą parę. Wzbierający w Mariannie bunt był widoczny niemal dla wszystkich. Chmurna mina Reginalda zaskoczyła jego brata. Pan Montague nigdy nie okazywał swych uczuć publicznie.

- Och, mam nadzieję, że Marianna nie była zbyt impulsywna. Czasami nie uważa na słowa. - Lady Grace zacisnęła nerwowo dłonie i spojrzała na młodszą córkę, by upewnić się, że jest bezpieczna pod opieką lorda Darley, i że nie słyszy wypowiedzianych przez nią słów. Potem odwróciła się, by stawić czoło nadciągającej burzy.

Witham uśmiechnął się w duchu, słysząc ten eufemizm z ust lady Grace. Był pewien, że lady Marian ma ostry języczek i że dzielnie stawia czoło jego bratu. Nie przypuszczał też, by to jakieś nieostrożne słowa stanowiły tutaj problem. Spojrzał na śmiałą kreację młodej damy i zagryzł wargi, nie chcąc uśmiechać się otwarcie. Marianna nie ukazała ani odrobiny tych wdzięków, kiedy odwiedził ją tamtego ranka. Reginald poddawany był katuszom, jakich Charles nie życzyłby najgorszemu wrogowi, jednak wicehrabia wolał nie wyjaśniać tego zatroskanej lady Grace.

- Droga pani, byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani wyjaśnić innym partnerom lady Marian, że nie zamierzam pozwolić mej narzeczonej oddalać się ode mnie dzisiaj wieczoru. Będą musieli znaleźć sobie inne partnerki do tańca, chyba że chcą zatańczyć ze mną. - Reginald przemawiał oficjalnym tonem, z szacunkiem

spoglądając na kobietę, do której się zwracał, a nie na tę, która go irytowała.

Charles zachichotał, kiedy oszołomiona lady Grace szukała w myślach jakiejś odpowiedzi.

- To chyba nie ten naszyjnik tak bardzo cię poruszył, drogi braciszku? Mówiłeś, że na kiedy chcesz ustalić datę ślubu?

Marianna próbowała strząsnąć z siebie dłoń Reginalda.

- Nigdy, jeśli to ja mogę coś powiedzieć na ten temat. On jest po prostu niezrównoważony.

Reginald przyciągnął ją do siebie i spojrzał na nią groźnie.

- Następnym razem do modystki pójdziemy razem. Nie pozwolę, żeby moja żona... - Przerwał nagle, marszcząc brwi, pochylając się niżej i wpatrując całkiem otwarcie w jej oszałamiający dekolt.

Marianna podniosła rękę, by odepchnąć go od siebie, ale Charles pochwycił ją i dyskretnie pokręcił głową. Potem odchrząknął znacząco.

- Reggie, posuwasz się chyba trochę za daleko.

Reginald wziął do ręki naszyjnik swej narzeczonej i podniósł go, tak by padał nań blask świec. Księżę zdecydował się zrezygnować z lamp gazowych, które osmoliłyby niedawno zakupione kotary, i choć setki świec tworzyły kameralny nastrój, to nie dawały zbyt wiele światła.

Reginald wypuścił wreszcie naszyjnik i powiedział do Marianny ze zdziwieniem:

- Przecież nie przywoziłem go tutaj. Został u markiza Effingham. Dlaczego założyłaś go akurat dzisiaj?

Lady Marian zachłysnęła się ze zdumienia.

- Czy tobie aby nie pomieszało się w głowie? Przyniosłeś mi go wczoraj.

## *KLEJNOT*

Reginald zacisnął zęby i powoli podniósł wzrok na brata.

- On znowu to zrobił. Ten nędzny łobuz znowu to zrobił. Tym razem, kiedy dostanę go w swoje ręce...

- Odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę schodów, zaciskając dłonie w pięści.

Choć lady Grace nie miała pojęcia, co się dzieje wokół niej, Marianna i Charles wymienili zaniepokojone spojrzenia. Kiedy Charles usprawiedliwiał się pospiesznie przed lady Grace, Marianna pobiegła za Reginaldem.

Jeśli naszyjnik znowu został skradziony, zamierzała osobiście poderżnąć gardło złodziejowi.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Charles dogonił Mariannę po chwili. Chwycił ją za ramię i próbował zatrzymać.

- Nie możesz iść z nim. Robimy niezłe przedstawienie. Uśmiechnij się i poszukaj następnego partnera do tańca. Reggie i ja zajmiemy się tym.

Marianna uśmiechnęła się do niego uroczo, poklepała go po ręce, podniosła skraj sukni i weszła na schody. Towarzyszyły jej zdumione spojrzenia i przytłumione szepty. Sam książę podszedł bliżej, by dowiedzieć się, o co chodzi. Marianna znowu obdarzyła go słodkim uśmiechem i przyspieszyła kroku.

Charles mruknął coś o nagłej chorobie w rodzinie i pospieszył jej śladem. Nie miał w zwyczaju często przeklinać, jednak w tej chwili cisnęło mu się na usta kilka soczystych słówek.

Marianna dogoniła Reginalda przy drzwiach, gdy ten przywoływał właśnie powóz swego brata. Nie zauważył nawet jej przybycia. Żałował teraz, że nie przyjechał

własną kariolką i że nie zabrał ze sobą O'Toole'a. Chętnie zamordowałby go od razu.

- Jadę z tobą - oznajmiła Marianna.

Nie zamierzał tracić czasu na kłótnie. Powóz właśnie nadjeżdżał, a on zbiegał już po schodach. Opamiętał się jeszcze na tyle, by dosłownie wrzucić Mariannę do wnętrza. Sam skoczył za nią, a Charles w ostatniej chwili uchwycił się drzwi i dołączył do nich.

- Oboje macie chyba źle poukładane w głowach. Reputacja lady Marian będzie zrujnowana. Nie możecie ścigać bandytów w środku nocy. Tego się tak nie załatwia. Wezwę policję. Oni dopadną tego ptaszka, jeszcze zanim my to zrobimy. Musicie wrócić na bal i uciszyć plotki.

- To ty możesz tam wrócić z lady Marian i uciszać plotki. Ja wyciągnę naszyjnik z gardła O'Toole'a. Zbyt długo robił ze mnie głupca.

Marianna nie zwróciła nawet uwagi na obszerne, wygodne, wyłożone aksamitem wnętrze powozu wicehrabiego. Pochwyciła dłoń Reginalda i splótła swe palce z jego, jakby dodając sobie w ten sposób sił i pewności.

- Nie rozumiem. Jak on je mógł podmienić? Naszyjnik miałam cały czas na sobie, odkąd go tylko przyniosłeś.

Reginald obrzucił ją gorącym spojrzeniem, wyobrażając sobie, jak ciężki łańcuch spoczywa między jej piersiami, przez całą noc i cały dzień. Omal nie zachłysnął się tym cudownym obrazem. Gdyby nie był taki wściekły na O'Toole'a, i gdyby nie obecność jego brata...

Powrócił myślami do rzeczywistości.

- O'Toole był ciągle w hallu, kiedy zszedłeś tam wczoraj wieczorem? - spytał Charlesa.



Wicehrabia zastanawiał się przez chwilę.

- Tak. Opierał się o ścianę i ciągle trzymał przy twarzy chustkę, a Jasper nie spuszczał z niego oka. Potem go zawołałeś.

- Pewnie otarł się o ciebie, kiedy szedł na górę? - spytał z rezygnacją Reginald.

- Rzeczywiście, chyba tak było. Myślałem, że jest osłabiony i trochę się zatacza. To nie jest żaden siłacz, sam o tym wiesz. Musiałeś go nieźle poturbować.

- Bzdura. - Reginald usiadłby prosto i założył ręce na piersiach, jednak Marianna wciąż trzymała jego dłoń. - Wsadził ci rękę do kieszeni. Musiał znaleźć kopię i przywiózł ją ze sobą. Ale co chciał przez to osiągnąć?

- Albo miał nadzieję, że kiedy już oddałeś mi naszyjnik, nie zauważysz różnicy, albo chciał zyskać jeszcze trochę na czasie, nim ucieknie z Anglii - próbowała zgadywać Marianna. - Nie jestem taka pewna, czy on jest w zмовie z moim kuzynem, Reginaldzie. Wierzę, że lord Effingham kazał mu oddać prawdziwy naszyjnik.

- Więc lord Effingham każe mu zrobić to jeszcze raz. Zamierzam związać i zakneblować tego niewdzięcznego bękarta i rzucić go do stóp twojemu kuzynowi. - Po tym jak go uduszę, dodał w myślach Reginald. Nie chciał wyjawiać przed Marianną, jak bardzo jest wścikły. Teraz była to już sprawa jego urażonej dumy. Żaden człowiek - a szczególnie chudy, rudowłosy lokaj - nie będzie wodził go za nos.

Podróż przez mokre ulice miasta była dość krótka. Siedzieli w milczeniu, a każde z nich zajęte było własnymi myślami. Reginald martwił się tym, co zrobi, jeśli O'Toole'a

nie będzie w domu. Marianna modliła się, by nie doszło do bijatyki. Charles próbował obmyślić jakiś plan, który nie dopuściłby do skandalu, jaki wkrótce mógł mieć miejsce. Żadne z nich nie miało większych nadziei na sukces.

Nim jeszcze koła karety przestały się toczyć, Reginald był już na zewnątrz i przykazywał Mariannie, by została na miejscu. Ta wyskoczyła z powozu, nim Charles mógł ją powstrzymać. Z wyrazem zrezygnowania na twarzy podążył ich śladem, rozmyślając nad tym, gdzie i jak może uzyskać specjalne pozwolenie na ślub. Żadna dama - poza żoną, oczywiście - nie powinna wbiegać za dżentelmenem do jego domu. Będzie musiał wpoić to swoim córkom, kiedy trochę podrosną.

Jasper ukazał się w hallu, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Sekretarz starał się zachować stoicki spokój, kiedy jego pracodawca - odziany w eleganckie spodnie i frak - pognął w górę schodów, jakby ktoś przypalał mu pięty. Ze zdumieniem przetarł oczy, kiedy bogini w delikatnych jedwabiach i złocie pobiegła za nim. Ale kiedy do domu wszedł dystyngowany wicehrabia, który wzruszył ramionami i podążył śladem tych dwojga, Jasper odwrócił się na pięcie i wrócił do swojego gabinetu, gdzie jak zawsze czekała na niego karafka z brandy.

Nim Marianna odnalazła sypialnię Reginalda, on trzymał za gardło swego lokaja, unosząc go kilka cali nad podłogę. Twarz O'Toole'a stawała się głęboko purpurowa, co wcale nie pasowało do jego rudej fryzury.

- Reginaldzie, nie dowiesz się niczego, jeśli go zabijesz - oznajmiła spokojnie Marianna. - Pewnie nie masz sznura albo powroza, którym moglibyśmy go związać?

Lokaj zacharczał rozpaczliwie i spojrzął na nią dzikim wzrokiem.

Charles wszedł do pokoju w chwili, gdy Marianna zadała pytanie. Zachichotał, widząc przerażoną twarz O'Toole'a.

- W koloniach często stosuje się takie praktyki, droga pani. Z braku odpowiednich przyrządów przerzuca się sznur nad gałęzią drzewa. Rezultat jest równie zadowalający jak na prawdziwej szubienicy.

Marianna spojrzała na niego z zaciekawieniem, jednak polecenie Reginalda szybko poderwało ją do czynu.

- Zdejmij prześcieradła z łóżka. Powinny wystarczyć. Zrobimy z niego mumię.

O'Toole łąpczywie chwycił powietrze, gdy posadzono go wreszcie na krzesło i wykręcono mu ręce za oparcie.

- Mam nadzieję, że dostanę jakąś nagrodę za udział w takich zabawach, moi panowie - zaprotestował łagodnie.

- Och, z pewnością, mój drogi O'Toole. - Reginald obwiązał mocno tułów służącego i zawiązał prześcieradło za oparciem krzesła. - Daj mi jeszcze jedno. Zwiążę mu też nogi. - Potem zwrócił się do O'Toole'a. - Wydaje mi się, że wyjazd do Australii będzie wystarczającą nagrodą, chyba że wolisz krótki pobyt w marynarce wojennej Jej Królewskiej Mości. Rozumiem, że Amerykanie są trochę oburzeni sposobem, w jaki traktujemy naszych marynarzy, ale ty pasowałbyś tam doskonale. Jestem pewien, że dobrze ci służy morskie powietrze.

- Kiepski ze mnie żeglarz, sir. Wolałbym zrezygnować z tych przyjemności, jeśli nie ma pan nic przeciw temu. Gdyby mógł mi pan wyjaśnić zasady i cel tej gry, zagrałbym trochę lepiej.

- Cel? - Reginald zastanawiał się nad tym przez chwilę, krępując jednocześnie nogi swego służącego. - Celem tej gry, mój dobry człowieku, jest nauczyć cię, że nie należy bawić się rzeczami, które nie należą do ciebie. Im szybciej oddasz naszyjnik tej damy, tym szybciej cię rozwiążę, choć nie spodziewam się, byś w najbliższej przyszłości cieszył się wolnością.

- W takim razie, proszę pana, wolałbym raczej zrezygnować z tej zabawy. Właściwie nie potrzebuję teraz żadnej nagrody.

Reginald uśmiechnął się ponuro, sprawdzając wszystkie wiązania.

- Twardy z ciebie facet, O'Toole, muszę ci to przyznać. - Odwrócił się do Charlesa. - Mówię ci, że powinniśmy wysłać Jaspera po markiza. Niech mu powie, że mamy tutaj jego służącego i że chcemy go oddać policji, jeśli prawdziwy naszyjnik nie znajdzie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. To chyba dobry pomysł, prawda?

Marianna zmarszczyła brwi.

- A co będzie, jeśli pan O'Toole nie pracuje u mojego kuzyna?

Reginald wzruszył ramionami.

- Więc niech sam powie, gdzie ukrywa naszyjnik. - Wytarł ręce i ruszył do drzwi.

- Zaczekajcie chwilę! - zawołał za nimi O'Toole.

Reginald odwrócił się i podniósł brwi w niemym pytaniu.

O'Toole spojrzał na Mariannę.

- Ta pani przecież nosi naszyjnik. Więc co mam oddać?

Reginald uśmiechnął się zimno.

- Prawdziwy naszyjnik. Dobranoc, O'Toole.

Wyszedł, zostawiając służącego, który miotał przekleństwa i próbował uwolnić się z więzów. Marianna i Charles poszli za nim.

Na dole Reginald wydał odpowiednie polecenia sekretarzowi i wysłał służącego po policjanta, który strzegłby domu. Zadowolony, że zrobił wszystko co w jego mocy, zwrócił się wreszcie do Marianny.

- Zrobiliśmy przedstawienie przed całym towarzystwem i wywołaliśmy pewnie prawdziwy skandal. A co powinniśmy zrobić teraz? Chciałabyś wrócić na bal?

- Pozwolisz mi tańczyć? - spytała.

- Oczywiście. - Reginald wziął ją za rękę i pociągnął do drzwi. - Tylko ze mną. Chyba, że zmienisz tę suknię.

- Nie zmienię jej. Zapłaciłam za nią prawdziwą fortunę. Zamierzam nosić ją przy każdej okazji. - Marianna zbiegła za nim ze schodów.

- Więc przygotuj się na to, że do końca życia będziesz tańczyć tylko ze mną. Nie mam zamiaru patrzeć, jak dorośli mężczyźni ślinią się w tańcu. - Reginald wyciągnął rękę, by pomóc jej wejść do powozu.

Marianna zignorowała go i sama wspięła się do wnętrza.

- Tylko dzieci się ślinią. A skoro mówimy o dzieciach, to z nimi wcale nie chcę tańczyć.

Stojący za nim Charles przewrócił oczami i wyciągnął zegarek. Żałował, że nie ma przy nim Harriet. Chciałby usłyszeć kilka rozsądnych słów, które pomogłyby mu utrzymać równowagę ducha, bo czuł, że lada moment może powiedzieć coś niewłaściwego. Zastanawiał się, czy był kiedykolwiek tak młody, żeby paplać w podobny sposób, zamiast przygarnąć do siebie młodą damę i zamknąć jej usta długim pocałunkiem.

Reginald walczył z taką właśnie pokusą, choć Marianna zamilkła, gdy tylko Charles wsiadł do powozu. Oszłamiający zapach róż, które jej podarował, mieszał się z delikatniejszym, cytrynowym aromatem, którym musiała pokropić swoje loki na tę okazję. Pragnął zanurzyć twarz w jej włosach, przyciągnąć ją do siebie i zapomnieć o wszystkim poza radością przebywania z nią. Wiedział, że to, co dzisiaj zrobił, było szalone, ale wcale się tym nie przejmował. Zrobił, co uważał za stosowne, i zamierzał wykorzystać to do końca. Był całkowicie przekonany, że noce spędzone z Marianną będą najwspanialszym wydarzeniem w jego życiu.

Reginald skrzywił się z niesmakiem, kiedy powóz skręcił w stronę rezydencji księcia Devonshire. Jego myśli dalekie były teraz od przepychu pałacu i sztucznych uśmiechów gości. Zastanawiał się, czy Marianna myśli o tym samym. Wyczuwał jej niechęć, kiedy pomagał jej wysiąść z powozu.

Wreszcie Charles przerwał zakłętą ciszę.

- Będziemy musieli wejść razem, żeby nikt nie przypuszczał, że byliście choć przez chwilę sami. Powiedziałem księciu, że w rodzinie zdarzyła się nagła choroba. Może służącej lady Marian?

- Lepiej będzie, jeśli powiemy prawdę matce Marianny. Ich służąca to naprawdę jeszcze jeden członek rodziny. Lady Grace byłaby bardzo poruszona, gdybyśmy ją okłamali. - Głos Reginalda znowu stał się zimny i jakby bezosobowy, kiedy wprowadził Mariannę do rezydencji.

- Mam nadzieję, że w takim razie gotów jesteś szybko się ożenić. Lady Grace nie pochwali tej eskapady, nawet jeśli odbyła się ona przy moim udziale.

Marianna chwyciła mocniej ramię Reginalda i spojrzała nań z niepokojem.

- Przepraszam. Chciałam tylko być przy tobie, żebyś nie zrobił nic, czego miałbyś potem żałować.

Reginald zdobył się na posępny uśmiech i pochylił się nad nią.

- To ty pierwsza pożałujesz, że kiedykolwiek miałaś ze mną do czynienia. I nie powiem ci, że twoje poszukiwania zakończyły się sukcesem. Staniesz się tylko jeszcze bardziej porywca. Ale ja naprawdę zamierzam udusić O'Toole'a.

Marianna uśmiechnęła się do niego niepewnie, kiedy wchodzili do sali balowej. Nie do końca rozumiała, co kryje się za jego słowami. Reginald mógł mieć na myśli wiele rzeczy. Czego miała żałować i czemu? Żałował, że powstrzymała go przed uduszeniem O'Toole'a? Czy rozgniewany zdolny był do aktów prawdziwej przemocy? Może powinna towarzyszyć mu w drodze powrotnej z balu, żeby uchronić tego biednego człowieka przed śmiercią?

Perspektywa małżeństwa z mordercą tak ją oszołomiła, że nie zwracała nawet uwagi na powszechne zainteresowanie, jakie wzbudził ich powrót. Uśmiechnęła się uprzejmie do księcia, który podszedł do nich i wyraził głębokie zaniepokojenie, pozwoliła, by lord Witham wytłumaczył wszystko, i poprosiła, by zaprowadzono ją do jakiegoś ustronnego pokoju, w którym mogłaby dojść do siebie. Musiała zebrać trochę odwagi, żeby znowu stanąć twarzą w twarz z tłumem. Albo z Reginaldem. Nie wiedziała, czego boi się bardziej.

Kiedy wyszła, czekał na nią tylko Reginald. Jego brat

pewnie uciekł w inną część sali, żeby uniknąć pytań ze strony jej matki i siostry. Nie potrafiła odczytać nic z jego twarzy i oczu, kiedy patrzył na nią z daleka. Pamiętając jednak, co mówił o jej sukni, była pewna, że nie odrywa spojrzenia od jej dekoltu. Spuściła oczy i starała się nie czerwienić za mocno.

- Pomyślałem, że chętnie napijesz się trochę ponczu i pospacerujesz na balkonie, zanim wrócimy do towarzystwa. Trochę tutaj duszno. - Reginald położył jej dłoń na swej ręce i poprowadził sztywno w stronę stołu.

- Chyba nie wypada spacerować na balkonie - wyszepiała, kiedy podał jej poncz. - Wystarczy już tematów do plotek jak na jeden wieczór.

- Możemy spokojnie kontynuować to, co już zaczęliśmy. Przecież ogłosiliśmy zaręczyny, więc wszyscy pomyślą, że jesteśmy trochę romantyczni. Oczywiście wszyscy też będą skrupulatnie liczyć miesiące od narodzin naszego pierwszego dziecka, ale to normalna rzecz.

Marianna spojrzała na niego z oburzeniem, ale twarz Reginalda była całkiem spokojna, kiedy prowadził ją do drzwi balkonu. Ich pierwsze dziecko? Nie sięgała myślami dalej niż do dnia ślubu, a on mówi już o dzieciach. Ta myśl przyprawiła ją o dziwne i fascynujące drżenie, kiedy weszli w objęcia chłodnego wieczoru.

- Nie chcę, żeby uważano, że spieszę się do dzieci - zaprotestowała, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. - Panowie myślą wtedy o nieprzyzwoitych rzeczach.

Reginald parsknął głośno.

- Przypuszczam, że kiedy widzą cię w tej sukni i tak nie



potrafią myśleć o niczym innym. Chyba zamknę cię w domu na klucz, kiedy już będziemy małżeństwem.

- Zaczyna mnie męczyć to ciągle powracanie do tematu mojej sukni - odparła Marianna ze złością. - Mam doskonały gust, a ta suknia nie jest gorsza od innych, które widziałam na tym balu. Jeśli rzeczywiście chcesz być zaborczym tyranem, będę musiała jeszcze raz zastanowić się nad tym małżeństwem.

Reginald przygarnął ją mocno do siebie.

- Za późno. Co się stało, to się nie odstanie. Ani moja, ani twoja rodzina nie pozwoli nam teraz odwołać zaręczyn. Dzisiaj ostatecznie przypieczętowałaś, swój los, kochanie. Postaraj się nie protestować zbyt energicznie, kiedy będziemy podchodzić do ołtarza.

Pocałunek zamknął jej usta, nim zdążyła mu odpowiedzieć.

Marianna zaczęła sobie przypominać, dlaczego chce tego małżeństwa. Lubiła zaborczość ust Reginalda, żar jego ciała, kiedy przygarniał ją do siebie, chciwość jego rąk, gdy brał ją w ramiona. Wiedziała, że jest jeszcze kilka cech, za które szanuje i podziwia tego człowieka, ale zapomniała o nich w tej chwili, tak jak zapomniała o wszystkim innym. Oparła dłonie na jego ramionach i zacisnęła je mocno, kiedy ich usta przywarły do siebie, budząc płomień pożądania. Czuła jego twarde ciało aż za dobrze, kiedy przylgnęła do niego z całą mocą.

Oboje nie byli świadomi, że mają publiczność, dopóki ciemna postać, opierająca się o poręcz balkonu, nie przemówiła do nich sama:

- A ja myślałem, że przyszedł tu podziwiać moją

## *KLEJNOT*

tajemniczą pelerynę, kuzynko. Kiedy zrozumiesz, że powinnaś trzymać się z dala od tego człowieka?

Odziany w ciemną pelerynę osobnik wyszedł z cienia i stanął w blasku padającym z okien sali balowej. Kaptur skrywał jego twarz i tylko fragment białej koszuli widoczny był spod fałd ubrania, kiedy mężczyzna oparł ręce na biodrach. Jednak i Marianna, i Reginald od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Markiz Effingham przybył do Londynu.

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

Reginald łagodnym, lecz stanowczym ruchem przesunął Mariannę za siebie.

- Krewny czy nie, mam już dość tego wścibiania nosa w nie swoje sprawy. Jeśli nie przyjechałeś tu, po to, żeby oddać Mariannie naszyjnik i brakujące diamenty, to lepiej odejść stąd jak najszybciej.

Stojąca za jego plecami Marianna omal nie krzyknęła. Reginald poczuł, jak przesuwa się do przodu, by przerwać ich rozmowę, zatrzymał ją jednak w miejscu, w bezpiecznej odległości od Amerykanina.

Skryta pod kapturem twarz markiza nie mogła powiedzieć im nic o jego emocjach, jednak w jego głosie była nutka rozbawienia, kiedy odrzekł:

- Masz niezłe oko. Potrzebowałem tych diamentów. Oddam je, gdy tylko majątek zacznie przynosić zyski. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, by ktoś zauważył, że są fałszywe, więc udało ci się mnie przyłapać. Ale wysłałem tu przecież Michaela z naszyjnikiem. Wciąż

uważam, że należy do mnie, ale nie chciałem wywoływać niepotrzebnych waśni. Michael zazwyczaj wypełnia moje polecenia. Czy to nie ten właśnie klejnot nosi lady Marian?

Marianna zacisnęła palce na ramieniu Reginalda. Nie zaprotestował, kiedy stanęła u jego boku i przytuliła się doń. Ten gest jakoś dziwnie go uspokoił.

- To jest kopia, którą twój przeklęty lokaj wyjął ze skrytki. Nie wątpię, że zamierzał okraść nas obu. Oddał mi oryginał, a potem znowu go zamienił, nim zdążyłem zwrócić go Mariannie. Myślał pewnie, że kiedy już go założy, nie zauważę zmiany. - Reginald nie wspominał oczywiście, że niewiele brakowało, a naprawdę nic by nie zauważył, zaprzątnięty bardziej naturalnymi atutami Marianny.

Markiz westchnął z irytacją.

- Tym razem naprawdę skręcę mu kark. Powtarzałem mu już setki razy, że te jego lepkie rączki wpakują go kiedyś w niezłe kłopoty. Ale masz rację tylko w połowie. Michael nigdy by mnie nie okradł. Ma nieco spaczone poczucie sprawiedliwości, kształtowane przez długie i ciężkie lata, o których nie będę wam teraz opowiadał. Czeka pewnie, żeby się przekonać, czy zauważysz zmianę, a gdy tego nie zrobisz, z czystym sumieniem odda naszyjnik w moje ręce. Jego lojalność jest godna pochwały, choć nie można tego powiedzieć o innych jego cechach. Dopilnuję, żeby zwrócił wam naszyjnik.

- Och, kochanie, myślisz, że powinniśmy... - Marianna nie zdążyła dokończyć pytania, gdyż na balkonie pojawił się książę i brat Reginalda. Sprawa służącego markiza musiała więc poczekać jeszcze przez jakiś czas.

- Ach, więc macie jednak przyzwoitkę. Lady Grace

zaczęła się już martwić. - Książę posłał Reginaldowi i Mariannie wesołe spojrzenie, po czym zwrócił się do człowieka ukrytego w cieniu. - Czy miałem przyjemność pana poznać?

- Effingham. Mam nadzieję, że zaproszenie jest aktualne - odparł ochrypły głos spod kaptura.

Młody książę rozpromienił się nagle.

- Effingham! Powinienem być się domyślić, że przyjedzie pan tutaj dopilnować interesów swojej kuzynki. Pewnie nie ma pan teraz czasu na rozmowę o tych cennych przedmiotach, które wymienił pan w liście? A może spotkalibyśmy się jutro w moim klubie?

Charles skrzywił się lekko i przemówił do młodej pary:

- Wy dwoje pokażcie się lepiej w sali balowej, zanim wszyscy nabiorą przekonania, że jesteście już w drodze do Szkocji. Lady Grace zaczyna tracić tę swoją cudowną cierpliwość.

- Och, ale musimy powiedzieć markizowi...

Reginald wziął Mariannę za ramię.

- Nie musimy nic mówić markizowi. Nie dowiedział jeszcze, że można mu ufać bardziej niż jego lokajowi. - To powiedziawszy, ruszył w stronę drzwi.

Nie przejmując się ani trochę brytyjską etykietą, która określa jasno, jak należy traktować księcia, markiz przerwał nagle rozmowę i stanął na drodze pana Montague'a.

- Dlaczego wydaje mi się, że lady Marian chciała mi coś powiedzieć?

- Bo lady Marian ma o wiele łagodniejszy charakter niż ja. Nigdy nie myślałem, że dojdę kiedyś do takiego wniosku, a jednak tak właśnie jest. Będzie pan łaskaw nas przepuścić.

Ta dama chce ze mną zatańczyć dzisiejszego wieczoru.  
- Reginald zaczął omijać mroczną postać, która stała na ich drodze.

Z tyłu dobiegło dyskretne chrząknięcie Charlesa.

- Reggie, mógłbyś przynajmniej nas przedstawić, zanim mnie tutaj zostawisz.

Reginald skrzywił się, ale spełnił prośbę brata.

- Gavin Lawrence, markiz Effingham; Charles Montague, wicehrabia Witham. A teraz, jeśli panowie pozwolą...

Ponieważ markiz znowu chciał powstrzymać Reginalda, Charles próbował ułagodzić wzburzone wody.

- Effingham! Miałem nadzieję, że spotkamy się jeszcze przed ślubem. Gdzie się pan zatrzymał? Chciałbym jutro oficjalnie się z panem zapoznać, jeśli to możliwe, oczywiście.

W głosie Amerykanina pobrzmiwała nuta udręczenia, kiedy starał się uwolnić od księcia i wicehrabiego. Ci zaś zdecydowani byli dopełnić swoich obowiązków i nie spuszczała oka z młodej pary, która najwyraźniej miała coś na sumieniu.

- Jestem tutaj tylko dziś wieczór, żeby spotkać się z moją kuzynką. Lady Marian, gdyby była pani tak uprzejma, chciałbym zamienić z panią słowo na osobności.

Marianna spojrzała pytająco na Reginalda. Mile połączony faktem, że narzeczona chce zasięgnąć najpierw jego opinii, a nie ulega kuzynowi, Montague zdobył się na pojedynczą odpowiedź. Skan i przerobienie pona.

- Tam, gdzie teraz jest, nic mu się nie stanie. Oddam go twojemu kuzynowi, gdy tylko naszym wróci do moich rąk, obiecuję.

Książę i wicehrabia przyglądali się w osłupieniu, jak

markiz doskakuje do pana Montague'a i chwyta go za koszulę, wyraźnie poruszony tą dziwną odpowiedzią.

- Gdzie on jest, Montague? Co z nim zrobiłeś? Kiepski z niego brat, ale mam tylko jego. Ja się z nim porachuję, nie ty.

Reginald chwycił go za nadgarstki i wykręcił je. Przykry odgłos kości ocierającej o kość, zmusił markiza do wyrwania się z uchwytu przeciwnika i zaciśnięcia dłoni w pięści. Zanim jednak zdołał zadać cios, księżę i Charles pochwycili go za ramiona.

- Reginald to diabelnie uparty, niezależny człowiek. Gdyby bicie go przynosiło jakiś skutek, już dawno bym to zrobił, ale on staje się tylko jeszcze gorszy - przemawiał łagodnie Charles, trzymając rękę markiza w mocnym uścisku. - Lady Marian, proszę powiedzieć swojemu kuzynowi to, co chciałby wiedzieć, zanim komuś stanie się krzywda.

- Zawsze pogrywałeś nieuczciwie, mój bracie. To nieładnie prosić moją narzeczoną, żeby zrobiła coś wbrew mojej woli. To ją stawia w bardzo trudnej sytuacji, i ty dobrze o tym wiesz. - Reginald poprawił ubranie i spojrzał groźnie na zakapturzonego mężczyznę, wciąż gotowego rzucić się nań z pięściami. - Nie wiedziałem, że ten łajdak jest twoim bratem. Nie bardzo przypomina pozostałych członków rodziny.

Markiz trochę się uspokoił, zrozumiawszy, że jego brat wciąż jest cały i zdrowy.

- Na szczęście podobny jest do swojej matki, a nie do ciemnowłosych i narwanych Lawrence'ów. Przepraszam, Marianno, ty jesteś tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę. Dobrze wiedzieć, że krew Lawrence'ów przynaj-

mniej kobiety czyni pięknymi. No więc co zrobiłeś z Michaelem?

Marianna wciąż nie mogła ochłonać ze zdumienia, wywołanego wiadomością, że ma jeszcze jednego kuzyna - lokaja i złodzieja. Zerknęła na narzeczonego, a gdy ten skinął głową, odrzekła:

- Związaliśmy go. Jest w domu Reginalda.

Markiz wyrzucił z siebie przekleństwo, którego Marianna jeszcze nigdy nie słyszała, wyrwał się z uścisku księcia i Charlesa, po czym ruszył ku drzwiom balkonu.

- Związali go! Do licha, ten dom na pewno już się pali albo fruwa gdzieś w przestworzach, a zanim tam dojadę, niewiele z niego zostanie. Związali go! - Wciąż mrucząc coś do siebie i przeklinając pod nosem, otworzył drzwi i wszedł pomiędzy rozbawionych arystokratów, a jego czarna peleryna ciągnęła się za nim niczym flaga ciemności.

Na widok tego upiornego gościa, który kroczył przez środek sali, wymawiając jakieś tajemnicze zaklęcia, damy piszczały ze strachu i mdlały, a panowie usuwali się na bok. Markiz w ogóle nie dostrzegął zamieszania, jakie wywołał tym nagłym wtargnięciem. Nie ściągając kaptura z głowy, zmierzał do wyjścia, a książę i inni kroczyli jego śladem.

Kiedy Marianna i Reginald także zaczęli przesuwac się w kierunku schodów, Charles postanowił interweniować.

- Ja pójdę z nim. Wy zostaniecie tutaj. Wywołaliście już spory skandal i to wam powinno wystarczyć na ten wieczór. Ktoś musi tutaj zostać i wytłumaczyć wszystko gościom, żeby zapobiec plotkom i domysłom.

Dopiero teraz zdali sobie sprawę, że wokół nich kłębi się



podniecony tłum. Lady Grace próbowała precyzyjnie się do córki, Jessica i Darley czekali przy schodach, nie wiedząc, co mają robić, pozostali goście zaś szeptali między sobą i wpatrywali się w markiza, który podchodził już do wyjścia.

Reginald machnął ręką z rezygnacją.

- No to pośpiesz się. Nie spuszczaaj go z oka, dopóki nie dostaniesz naszyjnika. Jasper ci pomoże.

Charles obrócił się na pięcie i pobiegł za wychodzącym markizem, przystając tylko na moment przy księciu, by szybko wyjaśnić sytuację.

Marianna przytuliła się do Reginalda i potrząsnęła głową.

- To wszystko nie jest tego warte. Żałuję, że kiedykolwiek spojrzełam na ten naszyjnik. Jego brat? - Z niedowierzaniem spojrzeła na swego towarzysza.

Reginald nie lubił pozostawiać swoich spraw w rękach innych ludzi i pewnie byłby teraz wściekły, że został na sali, gdyby nie spojrzeł w oczy Marianny. W tej chwili myślał tylko o tym, że chciałby znowu znaleźć się z nią sam na sam. Kiedy ludzie zaczęli tłoczyć się dokoła nich i zadawać dziesiątki pytań, orkiestra zagrała walca. Reginald ścisnął mocniej jej dłoń i spytał:

- To chyba mój taniec, prawda?

Marianna otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się dokoła. Jej rodzina i Darley już się przepychali w ich kierunku. Lady Jersey klepała ją po ramieniu i proponowała, że zaprowadzi ją do pokoju wypoczynkowego. Lady Agatha chwyciła Reginalda za rękę i zasypywała go pytaniami. Przyjaciele i znajomi wymieniali uwagi i domysły co do tożsamości tajemniczego mężczyzny w pelerynie. Panie podziwiałały jego sylwetkę, panowie zaś krytykowali jego

brak wychowania i zastanawiali się, czy może być niebezpieczny. A Reginald chciał z nią tańczyć?

To był świetny pomysł. Oddała uścisk dłoni.

- „A więc prowadź, MacDuff!” - zawołała cicho, celowo przekształcając cytat.

- „I niech przekłety będzie, kto pierwszy zawoła: Stać, dosyć!” - odparł Reginald, prowadząc ją przez zdumiony tłum.

Marianna omal nie zachłysnęła się ze zdumienia, słysząc tę odpowiedź i wpadła w ramiona narzeczonego, kiedy wprowadził ją na parkiet. Nie odrywała wzroku od jego twarzy i nie zważała, gdzie stawia stopy, kiedy Reginald prowadził ich zręcznie między innymi parami. Świadomość, że naprawdę znalazła mężczyznę, który zna Szekspira, wprawiała ją niemal w euforię, a świat zdawał się wirować radośnie wokół niej. Wreszcie jednak poczuła gorący dotyk dłoni Reginalda na swych plecach i ciepło jego spojrzenia. Nagle zarumieniła się aż po uszy.

- Nie chciałam tak się w ciebie wpatrywać - wymamrotała nieśmiało.

- Dopóki nie zauważysz siana między moimi zębami, wszystko będzie w porządku.

- Nie rozumiem, dlaczego miałbyś mieć siano między zębami.

Jego oczy śmiały się do niej.

- No to słomę. Ryczące osły często mają słomę w pysku.

Marianna wykrzywiła lekko usta, próbując skryć uśmiech.

- Nigdy mi tego nie przebacysz, prawda?

- Hmm, za jakieś tysiąc lat, może sto więcej lub mniej. Myślisz, że kiedy już się pobierzemy, moje życie powróci

do jakiegoś porządku, czy też zawsze będzie wokół nas panował chaos?

Spojrzenie, jakim obdarzył ją teraz Reginald, przypawiło ją o mocniejsze bicie serca. Wciąż nie potrafiła sobie uświadomić, że wkrótce naprawdę poślubi tego człowieka. Prawie w ogóle się nie znali. Znała jednak natarczywość jego ust i wiedziała, jakie uczucia w niej wywołuje. Nie wyobrażała sobie, by mogła to robić z jakimkolwiek innym mężczyzną. Będą razem jeść, będą mieszkać w tym samym domu... Zarumieniła się, kiedy pomyślała o spaniu w jednym łóżku. Z pewnością nie.

- Chciałbym wiedzieć, jakie to myśli przywołały na twoje policzki ten czarujący rumieniec, ale może lepiej będzie, jeśli się tego nie dowiem. Taniec się skończył. Myślisz, że jeśli podoistymy tutaj przez jakiś czas, zlitują się i zaczną następny?

Wciąż stała w objęciach Reginalda na środku sali, podczas gdy pozostali tancerze rozchodzili się już do różnych miejsc między innymi gośćmi. Marianna dyskretnie wysunęła się z jego uścisku.

- Lepiej wracajmy do mojej matki. I tak zrobiliśmy już dzisiaj niezłe przedstawienie.

- Nigdy nie chciałem zwracać na siebie uwagi, ale skoro już tak się dzieje, to przyznam, że niewiele mnie to obchodzi. Darley idzie do nas, i jeśli chce mi ciebie zabrać, powiem mu „nie”. - Reginald trzymał mocno jej dłoń.

- Co cię napadło? - Nie mogąc się powstrzymać, Marianna znowu spojrzała na piękną twarz narzeczonego. Serce zadrzało jej gwałtownie, gdy ujrzała zacięty grymas.

Ten arogancki człowiek, którego tak niedawno poznała, stawał się kimś, kogo lubiła i rozumiała aż za dobrze.

Reginald zdołał zamienić gniewną minę na niepewny uśmiech.

- Nie wiem. To chyba przez tę suknię. Mam dziwną ochotę poprosić twoją matkę o rachunek, żebym mógł cię wreszcie zabrać do domu.

Marianna nie wiedziała, czy śmiać się, czy też zganić go za to dziwne wyznanie. Przybycie Darleya rozwiązało jej dylemat.

- Zostałem wyznaczony do sprowadzenia was obojga z parkietu, zanim zrobicie z siebie kolejne widowisko. Będę wam wdzięczny, jeśli pokażecie wszystkim, jak ważne są dla was moje polecenia.

Reginald ukrył szybko wyraz irytacji i frustracji malujący się na jego twarzy, podał ramię Mariannie i poprowadził ją w stronę lady Ogleshorp.

- Jak mamy się dobrze poznać, kiedy nie możemy zostać sami nawet na dwie minuty? - spytał retorycznie, gdyż nikt nie chciał mu odpowiedzieć.

- Lady Grace potrafi być naprawdę stanowcza, kiedy ktoś ją rozzłości. Zdaje się, że oboje dostaniecie dzisiaj niezłą burę - oznajmił Darley niewinnym tonem.

- Może powinienem sprawdzić, jak radzi sobie Charles - zastanawiał się głośno Reginald, kiedy byli już blisko owej damy.

- Tchórz - mruknęła Marianna, kiedy stanęli przed jej matką. Żałowała, że nie może jakoś zachować spojrzenia, którym obdarzył ją Reginald. Była w nim odrobina lęku, zmieszania i frustracji, o które nigdy go nie podejrzewała. Spodziewała się zresztą, że już nigdy nie ujrzy podobnych

uczuć w jego oczach. Dobrze było wiedzieć, że istnieją jednak rzeczy, z którymi dumny Reginald Montague nie potrafił sobie poradzić.

- Mamo, wiedziałaś, że markiz ma brata i że ten człowiek przez cały czas był służącym Reginalda? - Bezpośredni atak zazwyczaj odwracał uwagę lady Grace.

Szacowna dama uniosła brwi w wyrazie zdumienia, ale nie odrywała lodowatego spojrzenia od twarzy swego przyszłego zięcia.

- Więc powinniśmy go zaprosić na wesele. Bo chyba nie planujecie długiego narzeczeństwa, prawda?

- Nie sądzę, by były jakieś trudności z uzyskaniem specjalnego zezwolenia. Chciałbym oczywiście, by najpierw lady Marian poznała resztę mojej rodziny, ale może pani ustalić datę według swego uznania - odparł Reginald oficjalnym tonem.

- Bardzo dobrze. Myślę, że pierwszy dzień przyszłego miesiąca będzie odpowiedni. Nie chciałabym, by ktokolwiek pomyślał, że musimy się spieszyć.

Nim lady Grace zdążyła powiedzieć coś więcej, jej młodsza córka krzyknęła ze zdumieniem. Jessica patrzyła w stronę wyjścia, gdzie zgromadził się niewielki tłum. Większość gości udała się do stołów z jedzeniem, gdy tylko muzycy przestali grać, jednak kilku maruderów znalazło jakąś nową rozrywkę.

- On miał gołębia, mamo. Odleciał. Widziałaś to? - Oczarowana tym pokazem, Jessica ruszyła w stronę zgromadzenia.

Marianna próbowała odgadnąć, co tak ubawiło jej siostrę, widziała jednak tylko niewielki tłum roześmianych ludzi, którzy przyglądali się czemuś z uwagą. Reginald, który był

od niej wyższy i mógł więcej zobaczyć, zmarszczył czoło i także nie odrywał oczu od tego spektaklu. Pociągnęła go ze rękę.

- Co tam się dzieje?

Pan Montague podsunął ramię lady Oglethorp, Darley szybko dołączył do Jessiki i wszyscy ruszyli w stronę schodów i rozbawionego towarzystwa. Może księżę zaplanował jakąś dodatkową rozrywkę w czasie przerwy na kolację? Marianna wcale nie spieszyła się do stołów z jedzeniem, więc chętnie dołączyła do Reginalda.

Tymczasem zmarszczka na czole pana Montague'a pogłębiła się jeszcze bardziej, kiedy bez słowa przeprosin przepychał się w tłumie widzów. Marianna szła obok niego, nie chcąc raczej zostawać w tyle. Zaczynała podejrzewać, że wcale nie był to taki niewinny pokaz, a przynajmniej na to wskazywała gniewna mina Reginalda. Rozejrzała się dokoła, szukając źródła powszechnego zainteresowania.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu i surducie podobnym do tych, jakie nosili goście, stał obok kolumny i wyciągał właśnie z kieszeni wstęgę kolorowych szalików. Gdy dojrzał Mariannę, uśmiechnął się szeroko, zdjął kapelusz i złożył jej głęboki ukłon. Gdy znów się wyprostował, trzymał w wyciągniętej dłoni bukiet kwiatów.

Zdumiona lady Marian spojrzała w jego twarz, nim przyjęła podarunek. Jej oczy otwierały się coraz szerzej i szerzej....

Michael O'Toole, służący. Jej kuzyn.

## *Rozdział dwudziesty piąty*

Marianna przyjęła bukiet kwiatów i położyła dłoń na ramieniu Reginalda, bojąc się, że ten zrobi coś niemądrego. Nie wiedziała, jak pan O'Toole uwolnił się z krępujących go więzów. Na pewno nie zdążył tego zrobić markiz i Charles. Musiała pamiętać, że był to jej krewny i że choć miał okazję do ucieczki, nie wykorzystał jej. Markiz powiedział, że O'Toole ma własne poczucie sprawiedliwości, i coś mówiło jej teraz, że ten dziwny człowiek nie powinien być sądzony według zwykłych standardów. Postanowiła zaczekać i zobaczyć, co będzie działo się dalej.

Elegancki jak zawsze O'Toole - bo pod takim nazwiskiem znała go dotąd - oparł się o kolumnę, włożył dłoń do kieszeni podejrzenie dużej jak na wieczorowe ubranie i wyciągnął stamtąd drugi bukiet. Podszedł o krok i podał go Jessice. Młoda dama dygnęła radośnie i szybko rozdzieliła kwiaty wśród stojących dokoła niej dam.

Kiedy uwaga części tłumu zajęta była Jessiką i jej kwiatami, O'Toole wyprostował się i odchylił połą surduta,

jakby tam czegoś szukał. Nagle w powietrze wzbіło się całe stadko gołębi, a stojący najbliżej widzowie cofnęli się w zdumieniu. Korzystając z chwilowego zamieszania, rudowłosy młodzieniec ukłonił się lady Grace, sięgnął do jej elegancko ułożonej fryzury i wyciągnął stamtąd maleńkie emaliowane pudełeczko, które podał szacownej damie.

Lady Grace przyjęła podarunek z zaciekawieniem, dotykając jednocześnie włosów, jakby bała się, że czekają tam na nią dalsze niespodzianki. Uradowana samym pudełkiem, nie spieszyła się z jego otwieraniem. O'Toole zrobił to za nią, strzelając palcami i wykonując nieznaczny ruch dłonią, po którym wieczko odskoczyło z trzaskiem.

Odstraszeni przez gołębie goście wracali już na swoje miejsca i przyglądali się chichocząc, jak lady Grace wyciąga delikatny naszyjnik z jasnych szafirów. A przynajmniej Mariannie wydawało się, że to szafiry. Mogły być przecież fałszywe, a ona i tak nie zauważyłaby różnicy, ale nie wypadało jej podawać w wątpliwość wartości prezentu. Jej matka uśmiechnęła się tak, jakby były to najprawdziwsze diamenty, i tylko to się liczyło. O'Toole ukłonił się z gracją i pocałował rękę damy, kiedy dziękowała mu za tę niespodziankę.

Rudzielec mrugnął figlarnie do Marianny i zwrócił się ponownie ku oszołomionej Jessice. Marianna nie miała odwagi, by odwrócić się od niego i spojrzeć w twarz Reginalda. Syn hrabiego może nie być zachwycony faktem, że będzie miał w rodzinie ulicznego sztukmistrza, choć nawet Reginald musiał przyznać, że O'Toole to wyjątkowo elegancki magik. I bardzo zręczny - musiała o tym pamiętać. Ściągnęła gniewnie brwi, gdy sięgnął do kieszeni Darleya.



Wicehrabia także był podejrzliwy i próbował cofnąć się poza jego zasięg. Nagle z kieszeni i włosów stojących dokoła niego gości zaczęły wypadać kolorowe pióra. Roześmiany tłum zajął się łapaniem tych zabawnych podarunków i wypchnął biednego Darleya do przodu. Nim znowu mógł uciec, O'Toole wyciągnął zza jego ucha pudełko. Wicehrabia zaczął głośno protestować i domagać się zwrotu swojej własności.

- Chciał pan je wręczyć tej damie, prawda? - spytał Michael uprzejmie, kłaniając się Jessice i podając jej prezent.

- Jeszcze nie teraz, głupcze!! - Gwałtownie protestował Darley, ale nie odrywał wzroku od Jessiki, kiedy ta wzięła pudełko w ręce.

Gdy spojrzała na niego i chciała oddać mu zgubę, wicehrabia pokręcił głową.

- Chciałem jeszcze poczekać i zrobić to we właściwy sposób - oznajmił sztywno. Spojrzał niepewnie na Mariannę i Reginalda, po czym zwrócił się ponownie do Jessiki.

- Zobaczyłem to w sklepie i pomyślałem, że będzie do pani idealnie pasowało, i zrozumiałem, że bardzo chcę, by pani to miała. - Przełknął nerwowo ślinę, czekając na reakcję Jessiki, która wpatrywała się w niego swymi błękitnymi jak niebo oczyma.

O'Toole skutecznie odwracał uwagę tłumu, wyciągając złote zegarki z włosów dam i dżentelmenów.

Szczęśliwy, że nie jest już ośrodkiem zainteresowania, Darley przemówił łagodnie:

- Wiem, że nie powinienem dawać tego damie, która nie jest moją żoną, ale myślałem... Gdyby pani chciała się nad tym zastanowić... To znaczy, mogę poczekać, aż pani będzie gotowa...

Zdumiona, lecz wyraźnie uradowana Jessica otworzyła pudełko. Na satynowej poduszce spoczywał delikatny pierścionek w kształcie srebrnej róży, z przepięknym diamentem osadzonym w środku. Jessica, która nigdy nie była dobrym mówcą, przenosiła tylko spojrzenie z klejnotu na Darleya i z powrotem, aż jej modre oczy napełniły się łzami. Jej wargi poruszały się bezgłośnie, jakby chciały coś powiedzieć, lecz nie były w stanie tego uczynić. Wicehrabia natychmiast zaczął ją uspokajać.

- Nie musi pani nic mówić, panno Oglethorp. Proszę tylko zatrzymać to do czasu, gdy będzie pani gotowa.  
- Darley zamknął jej dłoń w swojej. Potem spojrzał niepewnie na Reginalda. - Dopiero co kupiłem ten pierścionek. Skąd on mógł wiedzieć, że mam go ze sobą?

Jakby wyczuwając, że rozmowa dwóch dżentelmenów dotyczy właśnie jego, O'Toole odwrócił się i włożył za ucho Jessiki piękną białą gardenię, przywołując uśmiech na twarz młodej damy. Dopiero wtedy odwrócił się do pana Montague'a.

Marianna zauważyła, że Jessica i Darley wciąż trzymają się za ręce. Pozwoliła sobie zerknąć na Reginalda, ale jego twarz była niewzruszona, gdy krzyżował spojrzenia ze swoim byłym służącym. Figlarny, a nawet nieco złośliwy błysk w oczach jej kuzyna przyprawił ją o dreszcze. Przypomniała sobie, co mówił markiz o fruwających domach. W tej chwili była więcej niż pewna, że Michael O'Toole mógłby unieść salę balową nad ziemię, gdyby tylko zechciał.

- Naszyjnik lady Marian to łatwizna - mruknął O'Toole, wyciągając nie wiadomo skąd kilka złotych monet, żonglując nimi od niechcienia, i mierząc Reginalda spojrzeniem.

- Ma go teraz na sobie. Może ten bardziej odpowiada jej gustom? - zapytał jakby sam siebie.

Reginald szybko odwrócił się do Marianny. Rubin mienił się wspaniale w blasku świeczek osadzonych na kolumnie. Przez moment Montague nie mógł oderwać spojrzenia od kremowych pagórków, którymi otoczony był klejnot, wreszcie jednak otrząsnął się i skupił uwagę na właściwym miejscu. W tym świetle rubin wyglądał na prawdziwy. Skóra pod klejnotem zaczęła delikatnie różowieć i Reginald z ociąganiem oderwał wzrok od tego fascynującego widoku. Spojrzał na O'Toole'a, który żonglował monetami i jakimś naszyjnikiem.

Montague poczuł, jak narasta w nim prawdziwa wściekłość, kiedy rozpoznał delikatnie zdobiony, szmaragdowy naszyjnik, który chciał podarować Mariannie w dzień ślubu. Zamknął go na kluczyk w szufladzie swego biurka, gdy tylko przyszedł do domu. Jeśli ten przekłety złodziej ukradł kamienie z...

O'Toole uśmiechnął się szeroko, jakby czytając w jego myślach. Zatoczył dłonią niewielki łuk, i monety zniknęły, a naszyjnik znowu leżał w swoim pudełku. Rudzielec pokłonił się nisko i wręczył go lady Marian.

- Pani narzeczony jest równie zręcznym magikiem jak ja, ale jego prezent to prawdziwy klejnot. Chciałby ukryć prawdziwy podarunek pod tymi świecidełkami, ale myślę, że jest pani dość inteligentna, by odkryć prawdę. Proszę przyjąć słowa przeprosin za wszystkie przykrości i kłopoty, jakie pani sprawiłem. - Po tych słowach O'Toole posłał Reginaldowi złośliwe spojrzenie. - Ale nie przepraszam za nic, co uczyniłem pani narzeczonemu. Proszę trzymać go krótko - zakończył i odwrócił się do nich plecami, by dalej bawić tłum.

Marianna spojrzała niepewnie na śliczne szmaragdy, a potem na niewzruszone oblicze Reginalda.

- To twoje? - Z pewnym ociąganiem podała mu pudełko. W zasadzie nie przepadała za klejnotami, ale to była najpiękniejsza i najdelikatniejsza ozdoba, jaką kiedykolwiek widziała. Nie mogła się powstrzymać i jeszcze raz rzuciła okiem na błyszczące kamienie.

Reginald jakby nieco się rozluźnił.

- Zamierzałem podarować ci to w dniu ślubu. Chciałem, żebyś miała coś swojego, a nie tylko rodzinne pamiątki. Sprawdźmy, czy pasuje?

Marianna przyjrzała się bliżej pięknemu naszyjnikowi i otworzyła szeroko oczy.

- To prawdziwe dzieło sztuki - mruknęła, zafascynowana grą światła na powierzchni klejnotu. - Nigdy nie przypuszczałam, że biżuteria może być tak piękna.

- Nigdy też nie będzie piękniejsza od twoich oczu. Byłem głupi, kiedy myślałem, że piękno moich kolekcji to wszystko, czego potrzebuję. - Reginald zamknął pudełko, zmuszając ją do spojrzenia w jego twarz.

Marianna nie miała czasu, by zinterpretować dziwny blask w jego oczach, gdyż nagle za ich plecami rozległ się ogłuszający huk. Ze środka tłumu widzów wzbijały się ku górze kłęby dymu, a powietrze wypełnił egzotyczny zapach, przypominający aromat gardenii. Reginald przyciągnął ją do siebie i zamknął w mocnym uścisku, gdy przestraszeni goście odsunęli się do tyłu. Wszyscy na próżno wypatrywali eleganckiego sztukmistrza, który stał tam jeszcze przed kilkoma sekundami. Wyglądało to tak, jakby rozpułnął się w powietrzu.

Reginald odchrząknął z niedowierzaniem i ruszyłby

zapewne na poszukiwanie swego byłego lokaja, gdyby jego uwagi nie przykuł jeszcze inny widok. Ścisnął mocno dłoń Marianny i spojrzął na człowieka, którego właśnie anon-sowano przy wejściu. Zesztywniał nagle i odsunął nieco swą narzeczoną, tak by zajęła właściwą prawdziwym arystokratom pozycję u jego boku.

Lady Marian, która nie ochłonęła jeszcze po tajemniczym zniknięciu O'Toole'a, spojrzała na Reginalda, jakby domagając się od niego wyjaśnień. Powędrowała spojrzeniem do miejsca, w które on wciąż się wpatrywał, i wstrzymała na moment oddech.

Człowiek stojący na schodach nosił się tak samo dumnie i miał ten sam arogancki wyraz twarzy jak mężczyzna u jej boku, tyle że odcisnęły na niej swe piętno lata, których Reginald jeszcze nie przeżył. Po chwili lady Marian zrozumiała, że rysy twarzy nie są jednak dokładnie takie same; nos starszego mężczyzny był dłuższy i bardziej spiczasty, a usta węższe. Mimo to podobieństwo było uderzające. Marianna zadrżała lekko, obawiając się tego, co mogło za chwilę nastąpić. Ani przez moment nie miała wątpliwości, że nowo przybyły gość to hrabia Mellon, ojciec Reginalda.

- Do diabła... - mruknął Reginald pod nosem. - Mówiąc między nami, mamy dzisiaj chyba trochę za dużo krewnych do zabawiania.

Marianna zaczęła chichotać, choć był to raczej histeryczny, a nie radosny śmiech.

- Jeśli wyciągnie z płaszcza bukiet kwiatów, z pewnością zemdleję.

- Ja też - odparł Reginald ponurym tonem.

Hrabia dostrzegł wreszcie swoją ofiarę i ruszył prosto

w stronę młodszego syna. Podniecony i rozplotkowany tłum rozstępował się przed nim. Kolejne rozrywki i skandale z nawiązką wynagrodziły wszystkim straconą kolację.

Hrabia Mellon zatrzymał się wreszcie przed pechową parą. Marianna zacisnęła kurczowo palce na bukietcie i naszyjniku, ale ojciec Reginalda nie poświęcił jej wiele uwagi. Od razu wbił mordercze spojrzenie w swego syna.

- Wytłumacz mi, proszę, zamieszanie, jakie zastałem w twoim domu, kiedy przyjechałem tam w odwiedziny.

Reginald odpowiedział mu z chłodną wyniosłością:

- Dobry wieczór, sir. Miło mi znowu cię widzieć.

Hrabia skrzywił się z niesmakiem.

- Zachowaj te kłamstwa dla siebie. Wolałbyś raczej zniknąć, tak jak zrobił to ten drugi łajdak. Zapoznam się najpierw z tą młodą damą, jeśli pozwolisz, a potem dowiem się, o co tu chodzi. Nie dość, że sala balowa Devonshire pełna jest gołębi, dymu i młodych idiotów, to w twoim mieszkaniu roi się od kobiet o złej reputacji i hałaśliwych kundli. Zdaje się, że cały Londyn zwariował. Chciałbym tylko wiedzieć, czy to zaraźliwe.

Marianna zaczęła chichotać. Nie mogła się powstrzymać. Wszystko to było po prostu zbyt nieprawdopodobne. Reginald wyglądał tak, jakby za chwilę miał się udusić. Hrabia - pomimo surowego wyrazu twarzy - był zupełnie oszołomiony. Niemal słyszała, jak pod sufitem rozbrzmiewa głośny śmiech Michaela O'Toole'a. Tajemniczy upiór w pelerynie i sztukmistrz - rodzina jej ojca przewróci chyba cały Londyn do góry nogami.

Wreszcie pojawiła się przy nich lady Grace, a kiedy Reginald dokonywał prezentacji, gniewny grymas na twarzy

jego ojca nieco złagodniał. Gdy wszystko zostało już powiedziane, pochylił się nisko nad ręką matki lady Marian.

- Grace, minęło już chyba tysiąc lat. Jak to się stało, że nie widzieliśmy się przez ten czas?

Lady Grace uśmiechnęła się z zadumą.

- Żadne z nas nie udziela się towarzysko, sir. Miło znowu pana widzieć.

Marianna i Reginald obserwowali ze zdumieniem, jak ich rodzice spierali się żartobliwie o tytuły i nazwiska, i o to, jak się mają tytułować. Potrząsając głową z niedowierzaniem, Reginald delikatnie odciągnął Mariannę od tej sceny pojednania po latach.

- Nie spieszno mi wracać do domu i odkryć tam ten bałagan, na który skarżył się mój ojciec. Przy odrobinie szczęścia Charley i twój kuzyn sami zaprowadzą tam porządek. Myślisz, że możemy już wrócić na balkon i poznać się ze sobą trochę lepiej?

Oczy Reginalda płonęły dziwnym blaskiem, kiedy wpatrywał się w jej twarz. Marianna starała się nie czerwienić za mocno. Doskonale wiedziała, co on rozumie przez „poznawanie się”, ale byli przecież zaręczeni. Czy nie powinna spełniać wszystkich jego życzeń?

Zerknęła na niego poprzez zasłone rzes.

- Jesteś pewien, że to rozsądne? A co będzie, jeśli nie spodobamy się sobie jeszcze przed ślubem?

- Moja droga, w tej chwili próbuję wymyślić jak wystawić całą twoją rodzinę na sprzedaż, jako cenne, rzadkie i dziwaczne egzemplarze. Ale ciebie na pewno bym zatrzymał. Chodźmy, chciałbym się przekonać, co zdobyłem dzięki mej niezmierzonej cierpliwości.

Marianna musiała niemal biec, by dotrzymać mu kroku,

## *KLEJNOT*

kiedy ciągnął ją przez salę wypełnającą się już gośćmi wracającymi z kolacji.

- Cierpliwość? - spytała z oburzeniem. - Nie widziałam, byś kiedykolwiek okazał choćby odrobinę cierpliwości. Jeszcze nic pan nie zdobył, sir.

Reginald wszedł na balkon, pociągnął za sobą Marianne i mocno zamknął drzwi, by nie słyszeli hałasu, muzyki i ludzi. Potem zaprowadził ją do cienia i objął mocno w pól.

- A więc mam przed sobą konkretne zadanie. Od czego powinienem zacząć?

Zanim mogła udzielić mu wyczerpującej i złośliwej odpowiedzi, Reginald pochylił się nad nią i zamknął jej usta pocałunkiem.

Był to najlepszy na świecie sposób, by ją uciszyć, a przy tym dostarczał mu ogromnej przyjemności.



## *Rozdział dwudziesty szósty*

Promienie słońca odbijały się od wielkich okien wystaw sklepowych, które mijali po drodze. Marianna chłonęła krzątanicę ulicy, wystawne stroje, śmiech i rozmowy ludzi, których miała wkrótce poznać. Podobał jej się zapach pasztecików, które smażono w budkach na rogach ulic. Zachwycała ją różnorodność przedmiotów, którymi kusiły wystawy. Jednak przede wszystkim uwielbiała spacerować przy boku tego dumnego mężczyzny, za którym oglądali się wszyscy przechodnie, bez względu na to czy się gniewał, czy też śmiał.

Teraz wyglądał tak, jakby się gniewał, co wzbudzało w Mariannie lekki niepokój. Całkiem niespodziewanie Reginald pojawił się w ich domu tego popołudnia, przeprosił grzecznie jej rodzinę i zabrał ją na spacer, nie pytając nawet o zgodę. Oczywiście o wiele bardziej odpowiadało jej towarzystwo narzeczonego niż matki i siostry, ale wciąż nie umiała odgadnąć, w jakim naprawdę jest nastroju. W ciągu ostatnich tygodni mieli mnóstwo spraw do

załatwienia, i tylko od czasu do czasu udawało im się znaleźć kilka chwil dla siebie. Do ślubu został już tylko tydzień, a czas, w którym przebywali sam na sam, mógł być mierzony w minutach.

Reginald nie powiedział, że ją kocha, ale Marianna wcale tego nie oczekiwała. Prawił jej cudowne komplementy, co i tak było dla niej przyjemnym zaskoczeniem. Dzięki pocałunkom, kradzionym w krótkich chwilach spędzonych tylko we dwoje, nauczył ją prawdziwej namiętności. Ani trochę nie obawiała się teraz nocy poślubnej. Jej narzeczony był bardziej niż łagodny, lepszy, niż kiedykolwiek mogła się spodziewać, choć wciąż dawał jej do zrozumienia, jak bardzo jej pożąda. Nocą, gdy leżała sama na łóżku, jej serce biło jak szalone, pragnąc jego obecności. Nie, na pewno była już gotowa, by zostać jego żoną. To nie mogło być powodem jej dzisiejszego niepokoju.

Ten niepokój związany był raczej z dziwnym milczeniem Reginalda, który nie odzywał się do niej, odkąd wyszli z domu. Nie miał już lokaja, który jechałby z nim w kariołce, dlatego gdy podróżowali razem, trzymali się zawsze za ręce i bez przerwy rozmawiali. Dzisiaj było zupełnie inaczej. Po prostu zawiózł ją na tę ulicę, podał lejce jakiemuś ulicznikowi, którego znał już chyba wcześniej, i pomógł jej wyjść z powozu. Jego ponura mina zaczęła ją przerażać.

Nie chcąc okazać strachu, Marianna krzyknęła z zachwytu na widok wystawy w oknach „Antykwariatu Arystotelesa”.

- Spójrz, Reginaldzie! To wygląda jak miniatuurka hallu w Arinmede! Jak oni zrobili taki maleńki witraż? Czy to nie cudowne? Słońce mieni się wszystkimi kolorami,

dokładnie tak jak w domu. Nigdy nie widziałam czegoś równie misternego.

Reginald odsunął się od okna, by pozwolić jej w pełni podziwiać dzieło artysty.

- Twój kuzyn ma bardzo zręczne dłonie. Czas, żeby zajął je wreszcie czymś pożytecznym - powiedział burkliwie, nie ośmielając się jej dotykać.

Nie zaprotestował jednak, gdy wzięła go delikatnie za rękę. Jego palce zacisnęły się mocniej, a Marianna odważyła się wreszcie rzucić mu pytające spojrzenie. Jessica byłaby zapewne przerażona jego sroga miną, ale ona wiedziała już, że Reginald po prostu chowa się za tą maską i cynicznymi manierami. I kochała tego człowieka, który próbował ukryć swe prawdziwe oblicze. Uśmiechnęła się i obserwowała, jak jej narzeczony spogląda na nią ostrożnie.

- Chyba nie masz na myśli markiza? Gavin może jednym słowem ustawić w szeregu cały pułk żołnierzy, ale nigdy nie byłby w stanie zrobić czegoś tak delikatnego. A jeśli nawet to dzieło Michaela, to skąd ty o tym wiesz? Łatwiej chyba złapać krasnoludka niż jego.

- On uważa się za Irlandczyka - odparł z rezerwą Reginald, wciąż nie wiedząc, jak jej powiedzieć to, co powiedzieć musiał. - Dlatego każe się nazywać O'Toole, a nie Lawrence.

Marianna wydeła lekceważąco usta.

- Wiesz, że nie musisz być dla mnie taki uprzejmy, Reginaldzie. Nie myśl, że nie wypytałam już o to Gavina. On też próbuje ubrać wszystko w ładne słówka, tak jak ty, ale nie trzeba chyba wielkiej inteligencji, żeby zrozumieć zachowanie Michaela. On nie wierzy, że mógłby pochodzić od tego samego ojca co Gavin. Kiedyś dowiem się

wszystkiego o tej historii, ale w tej chwili nie ma to większego znaczenia. Ich matka wyszła za mojego stryjecznego dziadka, kiedy urodził się Michael, więc jego nazwisko brzmi Lawrence, bez względu na to, co on o tym sądzi.

Reginald zdobył się na słaby uśmiech, ale jego spojrzenie wciąż było czujne i nieufne.

- Więc jego urodzenie nie ma dla ciebie znaczenia? Przyjęłabyś do rodziny złodzieja i ulicznego sztukmistrza, nawet gdyby wcale nie był z tobą spokrewniony?

Marianna wzruszyła ramionami i odwróciła się do fascynującej wystawy.

- Domyślam się, że było im bardzo ciężko po śmierci rodziców. Nie uważam, by Michael był naprawdę złym człowiekiem. Po prostu jego zasady nieco różnią się od naszych. A jeśli Gavin twierdzi, że jest jego bratem, to dla mnie wystarczający powód. Przedtem nie miałam żadnych krewnych poza mamą i Jessiką. Muszę przyznać, że jest to dosyć przyjemne uczucie. Poza tym, oni chronią mnie trochę przed lawiną twoich krewnych.

- Mam nadzieję, że nikt z mojej rodziny nie zrobił ci przykrości? - Reginald nerwowo pocierał kciukiem jej nadgarstek.

- Nie, wszyscy są cudowni. Twoja bratowa to prawdziwa czarodziejka, bardzo chciałabym zobaczyć jej synka. Uwielbiam też twojego brata. Żałuję teraz, że nie byłam z tobą, kiedy wróciłeś do domu po balu u księcia. Lord Witham opowiada o tym straszne historie. Nie mogę uwierzyć, że Michael w tak krótkim czasie narobił takiego okropnego zamieszania. Czy rzeczywiście niektóre z dam były rozebrane? Charles nie chce mi powiedzieć wprost, ale ten błysk w jego oku...

Reginald uśmiechnął się wreszcie szeroko i uściśnął mocniej jej dłoń.

- Po pierwsze, i tak nigdy się tego nie dowiesz, a po drugie, to bardzo nieprzyzwoicie pytać o takie rzeczy. Dość powiedzieć, że Michael jeszcze długo będzie musiał płacić za ten epizod. - Uśmiech zniknął z jego twarzy.  
- Ale nie dlatego cię tutaj przywiozłem.

Marianna spojrzała mu prosto w oczy.

- Czekałam, aż się na to zdobędziesz. Mam to z ciebie wyciągnąć, czy też sam mi powiesz?

- Nie, moja czarownico, chyba nie chciałbym się dostać w twoje zręczne rączki. Za kilka dni i tak będziemy ślubować sobie uczciwość. Szkoda tylko, że zabrakło mi odwagi, by od razu ci o tym powiedzieć. Teraz sprawy zaszły już tak daleko, że nie ma dla nas odwrotu, i boję się, że będziesz mną pogardzać do końca naszych dni.

Zdumiona Marianna uwolniła dłoń z uścisku tylko po to, by położyć ją na jego ramieniu.

- Dobrze się czujesz? Myślałam, że przez ostatnich kilka tygodni doszliśmy do jakiegoś porozumienia. Za bardzo cię lubię, bym kiedykolwiek miała tobą pogardzać. Przecież dobrze o tym wiesz. - Nagle pobladła i odsunęła się od niego. - Chyba że znalazłeś kogoś innego, kogo możesz naprawdę kochać. Czy to dlatego chciałbyś się mnie pozbyć?

Tłumiąc przekleństwo, Reginald chwycił ją wpół i zaciągnął do wejścia.

- To mogłoby być najlepsze wyjście dla nas wszystkich, ale tak nie jest. To nie ja chciałbym uwolnić się z tego związku. To ty będziesz żałować, że kiedykolwiek mnie poznałaś. Rozwazałem już wszystkie wyjścia z tej sytuacji,

myślałem o tym, jak ukryć to przed tobą, miałem nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, że może rozkocham cię w sobie tak, żebyś wcale o to nie dbała, ale nie mogę tego zrobić. Za bardzo cię pokochałem, żeby dalej prowadzić tę grę. Musisz poznać prawdę, nim będzie już za późno na odwrót.

Marianna, której zakręciło się nagle w głowie po usłyszeniu tych kilku zadziwiających słów, nie zważała już na całą resztę i pozwoliła zaciągnąć się do wnętrza antykwiariatu. Chłopiec, który obsługiwał właśnie jakiegoś klienta, podniósł na nich wzrok i ukłonił się z szacunkiem. Słyszając trzask otwieranych drzwi, Jacobs wychynął z pomieszczenia na tyłach sklepu, jednak gdy ich ujrzął, wzruszył tylko ramionami i powrócił na swoje miejsce. Marianna była trochę zaskoczona, że nie pospieszył ich obsłużyć, jednak zachowanie Reginalda zdumiało ją na tyle, iż nie zaprzętała sobie głowy czym innym.

Wciąż trzymając ją mocno w talii, skierował swe kroki na zaplecze antykwiariatu. Marianna zaczęła się opierać.

- Gdzie my idziemy? - spytała szeptem. - Nie możemy tam wejść.

- Możemy tu robić, co tylko zechcemy - odparł Reginald i pochwyciwszy kryształowy przycisk, cisnął nim w marmurowy posąg. Wyszczerbiony kryształ odbił się od posagu i upadł na turecki dywan. Marmurowa statua zachwiała się niebezpiecznie. Marianna wstrzymała oddech, spodziewając się katastrofy, czekając, aż ktoś wyskoczy na nich z krzykiem. Chłopiec przy ladzie uniósł tylko brwi w niemym pytaniu, jego klient szybko wymknął się ze sklepu, uciekając przed szaleńcem, lecz nikt nie oburzał się na lekkomyślne zachowanie Reginalda.

- Reginaldzie, co ty robisz? - Marianna z zapartym

tchem patrzyła, jak jej narzeczony wyciąga zza lady kilka grubych tomów oprawionych w skórę. Gdy rzucił książki w jej ramiona, przycisnęła je mocno do siebie, w obawie że zrobi z nimi to samo co z kryształem.

Kiedy już jej ręce były całkiem zajęte, Reginald zaczął przyozdabiać ją biżuterią, którą wyjmował z pudełka na wystawie. Wpiął w jej włosy błyszczący diadem, uszy ozdobił diamentowymi klipsami, na szyi zapiął kilka złotych kolii, a na rękę założył ciężkie, bogato zdobione bransolety. Marianna rozpaczliwie starała się pozbyć książek i odłożyć je na półki, nim zostanie chodzącą wystawą biżuterii.

- Reginaldzie, natychmiast przestań! - syknęła stanowczo, kiedy owinał ją płaszczem ze złotego materiału, który wydawał jej się dziwnie znajomy.

- Niby dlaczego? - spytał obojętnie. - Te rzeczy należą przecież do mnie. - Poprawił płaszcz na jej ramionach i dodał. - Albo do twojego kuzyna, jeśli chodzi akurat o to. Pozwolił mi łaskawie sprzedawać jego rzeczy w komisie, więc nie musiałem płacić mu gotówką. Moja prowizja pozwoli nam żyć całkiem wygodnie przez kilka następnych lat, jeśli uda mi się je sprzedać.

To raczej sposób, w jaki wymawiał te słowa, niż sama ich treść kazała Mariannie zatrzymać się i zastanowić, co on właściwie próbuje jej powiedzieć. Dotknęła drogocennej bransolety na ręce i spojrzała z zainteresowaniem na fascynujący wybór tytułów książek, którymi wypełnione były półki. Jej spojrzenie powędrowało jeszcze raz ku miniaturce na wystawie. Ciągnąc za sobą złoty tren, bez wahania wkroczyła za ladę i weszła do pomieszczenia, które przeznaczone było tylko dla właściciela i obsługi sklepu.

Pokój na zapleczu krył w sobie fascynującą różnorodność książek, map i antyków zbyt delikatnych, by można je bezpiecznie wystawić na publiczny widok. Ukryte w rogu schody prowadziły na następne piętro. Marianna zerknęła przez ramię na bladą twarz Reginalda i śmiało zaczęła się wspinać na stopnie, jakby to ona była właścicielką. Jej narzeczony nie protestował.

Poły płaszcz trzepotały wokół niej niczym skrzydła. Wbiegła na schody i weszła do pomieszczenia, które było zapewne dużym warsztatem. Podłogę zrobiono ze starych desek, nie przykrywały jej cenne dywany. Półki wypełnione były jakimiś dziwnymi narzędziami, nogami od stołów i krzeseł, głowami rozbitych posągów i niezliczoną ilością równie nieprzydatnych i dziwacznych przedmiotów. Obok okna osadzonego w dachu znajdował się stolik, pokryty mnóstwem błyszczących kawałków metalu, tkaniny i szkła. Za stołem siedział jej kuzyn, Michael.

O'Toole podniósł głowę, zaniepokojony jej nagłym wtargnięciem. Wyglądało na to, że pracuje właśnie nad miniaturową repliką domu Arinmede, ale Marianna nie zwróciła na to uwagi. Podeszła wprost do przeciwległej ściany dużego pomieszczenia, gdzie dostrzegła jakieś drzwi. Michael obserwował spokojnie, jak Montague wbiega po schodach za jego kuzynką i z niebezpiecznym błyskiem w oku idzie w to samo miejsce co ona. Dopiero gdy oboje zniknęli w odległym pokoju i zamknęli za sobą drzwi, O'Toole uśmiechnął się szeroko i powrócił do swojej pracy.

Gdy Reginald wszedł do swojego biura, Marianna odwróciła się na pięcie, otaczając się wirującym złotym kręgiem. Teatralnym gestem rozpięła spinkę pod szyją i pozwoliła, by płaszcz opadł na podłogę. Przeszła po nim,



rzucając na błyszczącą tkaninę bransoletkę. Rozpinając kolejne naszyjniki, bransolety i klipsy, i rzucając je na podłogę, zbliżała się powoli do swego narzeczonego.

Złoto i klejnoty znańczyły drogę, która prowadziła ją do Reginalda. A on stał jak wryty tuż przy drzwiach, nie zważając zupełnie na fortunę, która poniewierała się po podłodze, lecz skupiając całą uwagę na podchodzącej doń kobiecie. Jego oczy zwięziły się niebezpiecznie, kiedy Marianna stanęła przed nim i położyła dłonie na jego piersiach.

- Chcesz się teraz kochać ze mną? - spytała namiętym szeptem.

Reakcja jego ciała była zapewne zgodna z jej oczekiwaniami, ale Reginald nie poddawał się tak łatwo. Stał w bezruchu, nie pozwalając sobie nawet jej dotknąć.

- Jeszcze nie rozumiesz, prawda? - Zatoczył ręką szerokie koło. - To jest moje biuro. To jest mój sklep. Jestem właścicielem tego miejsca. Tak zarabiam na życie. Kochanie, jestem sklepikarzem.

- A ja, mój głuptionsie, będę żoną sklepikarza. - Marianna wsunęła dłonie pod rozpięty jak zwykle surdut Reginalda. Naprawdę była zafascynowana jego twardym smukłym ciałem i jego zapachem. Reginalda otaczał delikatny cytrynowy aromat, a czasem jeszcze przyjemna woń starych książek. Była pewna, że dzięki temu rozpoznałaby go nawet w całkowitej ciemności.

Jego ręce z ociąganiem objęły ją w talii, jakby chciał ją od siebie odepchnąć.

- Czy głuptions jest lepszy od ryczącego osła? - zapytał Montague z czystej ciekawości.

- Nie lepszy, ale z pewnością miłszy.

Wtuliła się w niego, a on nie zaprotestował. Czuła się bezpiecznie i ciepło, opierając głowę o jego pierś i słuchając bicia jego serca. Reginald objął ją mocniej.

- Nie traktujesz tego poważnie, kochanie - zwrócił jej uwagę. - Jeśli towarzystwo dowie się, z czego żyję, będziemy zrujnowani. Rodzina i przyjaciele będą nami pogardzać i szydzić z nas, nikt nie będzie nas już zapraszał. To właśnie może cię spotkać, jeśli za mnie wyjdiesz. Nie jestem bogaczem, Marianno. Musisz się dobrze zastanowić, zanim podejmiesz tę fatalną decyzję. Jesteś córką markiza. Możesz mieć kogoś znacznie lepszego ode mnie.

Marianna westchnęła i zaczęła się bawić guzikiem od jego koszuli.

- Więc kupujesz i sprzedajesz książki i różne antyki? - Poczuli, jak on kiwa głową. - Ja też kupuję i sprzedaję książki. Gavin też to robi. Oczywiście wolę raczej kupować niż sprzedawać, ale z czegoś trzeba żyć. Nie widzę żadnej różnicy.

Reginald pogłaskał delikatnie jej plecy.

- Ty i Gavin sprzedajecie coś od czasu do czasu, kiedy potrzebujecie pieniędzy. Nie zajmujecie się zawodowo kupowaniem rzeczy, a potem ich sprzedają z zyskiem. To wielka różnica, kochanie.

- Myślę, że mogłabym się zająć taką pracą - odparła Marianna w zamyśleniu. - To byłoby spore wyzwanie. Niedawno słyszałam, jak lady Agatha mówiła, że chciałyby kupić *lorgnon*. Widziałam w Covent Garden okulary z rączką, które byłyby dla niej idealne. Kupiłabym je i sprzedała lady Agacie za co najmniej dwukrotnie wyższą cenę. Myślę, że byłoby to dość zabawne.

Reginald wbił palce w jej wymyślną fryzurę i delikatnie odchylił jej głowę, tak by patrzyli sobie w oczy.

- Kocham cię, nawet jeśli jesteś szalona. Nie pojedziesz do Covent Garden, żeby kupić lady Agacie *lorgnon*. Czy to jasne?

- Nawet jeśli kocham pana tak bardzo, by uważać się za szaloną, nie pozwolę się panu zastraszyć, panie Montague. Jeśli chcę sprzedać lady Agacie *lorgnon*, to zrobię to. I nawet najdłuższy na świecie pocałunek nie przekona mnie, żebym zmieniła zdanie.

- Nawet najdłuższy? - Jego oczy wypełnione były radością, kiedy na nią patrzył.

- Nawet najdłuższy - odparła stanowczo.

Pochylił się i odnalazł jej cudownie pełne usta.

- A jeśli będę cię całował dość długo, pokochasz mnie bardziej? - Zdążył jeszcze wyszeptać.

- Do szaleństwa - zgodziła się, nim ich wargi przywarły do siebie.

W pomieszczeniu obok Michael nucił pod nosem jakąś wesołą melodię i polerował kawałek szkła, który miał udawać maleńki witraż w hallu rezydencji. Rudowłosy artysta uniósł lekko brwi, kiedy zza ściany dobiegło głośne skrzypnięcie.

Stara kanapa w biurze nie była zbyt wygodna. Zrobił jeszcze jedno lub dwa okna, zanim tam wejdzie. W końcu wcale nie miał ochoty znowu wrócić na ulicę. Te londyńskie ulice nawet w środku lata były paskudnie wilgotne.

Poza tym gdy ujrzał na własne oczy, że tych dwoje łączy prawdziwe uczucie, iluzja nie dawała mu już takiej przyjem-

## KLEJNOT

ności jak kiedyś. Uważał, że jego kuzyneczka to niezły oryginał. Wcale nie przeszkadzało jej to, że poślubia sklepikarza. On sam nie miałby nic przeciw temu, żeby też kiedyś spotkać podobną kobietę - prawdziwą kobietę, nie iluzję.

Ale tymczasem miał niezłą zabawę, siedząc z boku i przyglądając się rozkwitającej miłości córki markiza i człowieka, który sam zarabiał na życie. Z przyjemnością myślał o tym, że to on sam jest częściowo odpowiedzialny za miłosne odgłosy, które dobiegały z pokoju obok - on i naszyjnik z rubinem, oczywiście.

Pogwizdując, pstryknął palcami i wyjął spomiędzy nich maleńki klejnot. Za chwilę miał wsunąć go do szufladki miniaturowego sekretarzyka, czekającego na swe miejsce w replice rezydencji. Promienie południowego słońca rozpałały rubinową czerwień kamyka. Rudowłosy magik uśmiechnął się do siebie.

Teraz, gdy Reginald Montague miał prawdziwy klejnot, nie będzie nawet pamiętał o tym kawałku szkła.